Shitshow!

Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje

CHARLIE LeDUFF

Całe miasta się rozpadały, tymczasem polityczni przywódcy brykali sobie beztrosko w brylantynie i męskich gorsetach, opychali się żarciem z grilla (...). Ludność amerykańskich miast mogła równie dobrze mieszkać na innym kontynencie, biorąc pod uwagę, ile uwagi poświęcali jej wszyscy kandydaci.

Jednak media wciąż donosiły o brutalności policji wobec nieuzbrojonych młodych czarnych mężczyzn. Zacząłem się nad tym zastanawiać: czy był to przewidywalny moment w brutalnym i absurdalnym cyklu, który powtarza się w Ameryce co pół wieku? A może raczej przesadna frustracja, podsycana przez obrzydliwe dziesięciosekundowe nagrania wideo, powtarzane w kółko w wiadomościach na kablówce?

Jedno było pewne: lato 2015 roku szykowało się długie i gwałtowne (...).



Shitshow!

Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje

CHARLIE LEDUFF

Całe miasta się rozpadały, tymczasem polityczni przywódcy brykali sobie beztrosko w brylantynie i męskich gorsetach, opychali się żarciem z grilla (...). Ludność amerykańskich miast mogła równie dobrze mieszkać na innym kontynencie, biorąc pod uwagę, ile uwagi poświęcali jej wszyscy kandydaci.

Jednak media wciąż donosiły o brutalności policji wobec nieuzbrojonych młodych czarnych mężczyzn. Zacząłem się nad tym zastanawiać: czy był to przewidywalny moment w brutalnym i absurdalnym cyklu, który powtarza się w Ameryce co pół wieku? A może raczej przesadna frustracja, podsycana przez obrzydliwe dziesięciosekundowe nagrania wideo, powtarzane w kółko w wiadomościach na kablówce?

Jedno było pewne: lato 2015 roku szykowało się długie i gwałtowne (...).



S E R I A A M E R Y K A Ń S K A

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*

Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero* Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki* Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały* Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia. Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary* S. C. Gwynne *Imperium księżyca w pełni. Wzlot i upadek Komanczów* David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu* Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija* Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z wężami w południowych Appalachach* Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu* Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze. Amerykańska droga do oświecenia* Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu* James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły* Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa* Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce* Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego* Hampton Sides *Ogar piekielny ściga mnie. Zamach na Martina Luthera Kinga i wielka obława na jego zabójcę*

Paul Theroux *Głębokie Południe. Cztery pory roku na głuchej prowincji* S. C. Gwynne *Wrzask rebeliantów. Historia geniusza wojny secesyjnej* Jon Krakauer *Missoula. Gwałty w amerykańskim miasteczku uniwersyteckim* James McBride *Załatw publikę i spadaj. W poszukiwaniu Jamesa Browna, amerykańskiej duszy i muzyki soul*

Dan Baum *Wolność i spluwa. Podróż przez uzbrojoną Amerykę* Legs McNeil Gillian McCain *Please kill me. Punkowa historia punka* David McCullough *Bracia Wright*

Lawrence Wright *Wyniosłe wieże. Al-Kaida i atak na Amerykę* Linda Polman *Laleczki skazańców. Życie z karą śmierci* Sam Quinones *Dreamland. Opiatowa epidemia w USA* Jan Błaszczak *The Dom. Nowojorska bohema na polskim Lower East Side* Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*

C H A R L I E LED U F F

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2019

SHITSHOW!

Ameryka się sypie, a oglądalność szybuje

Przełożyła Kaja Gucio

Tytuł oryginału angielskiego *Sh*tshow! The Country's Collapsing… and the Ratings Are Great* Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka Fotografia na okładce © by William Campbell / Corbis via Getty Images Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Redakcja Marta Höffner

Korekta d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d 2 d . p l

I S B N 9 7 8 - 8 3 - 8 0 4 9 - 8 6 2 - 4

W Y D AW N I C T W O C Z A R N E sp. z o.o.

c z a r n e . c o m . p l

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

r e d a k c j a @ c z a r n e . c o m . p l

Wołowiec 2019

Wydanie I

Spis treści

Mamie

Nowy Jork

Jesień

Na spotkanie z Rogerem Ailesem przybyłem z fasonem i na pełnym gazie, zwarty i gotowy, żeby sprzedać mu pomysł na ogólnokrajowy segment telewizyjny *Amerykanie*, ale atmosfera była jak w kostnicy, więc mój entuzjazm nieco przygasł. Biura stacji Fox News na Manhattanie to labirynt boksów z popierdującymi cicho świetlówkami i ponurą, żółknącą farbą na ścianach. Za tanim biurkami siedziały jakieś wypłosze; wpatrywały się przed siebie pustym wzrokiem i apatycznie stukały w klawisze. Środkiem lobby przemknął Bill O'Reilly. Był rozkojarzony, twarz wykrzywiał mu grymas.

Bez makijażu wyglądał koszmarnie, dupsko miał obwisłe i w ogóle przypominał starą, wyżętą ścierę.

– O, Tata Miś, siemka! – krzyknąłem do niego i uniosłem dłoń zaciśniętą w pięść. *Fight the power!*

Odmachał mi niechętnie i ruszył w stronę windy. Bill Bez Ściemy, we własnej

osobie,

dźwigający

ciężar

najpopularniejszego

programu

informacyjnego w telewizji kablowej na swoich powabnych, przygarbionych barkach.

– Tata Miś im wszystkim pokaże!

Roger Ailes, prezes Fox News, miał ładne biuro. Wstępu strzegł kociak w czarnych pończochach, spódnicy i obcisłym sweterku, wyglądający dokładnie tak samo jak cała masa innych wydekoltowanych kociaków w

czarnych pończochach, kręcących się po korytarzach siedziby stacji. Kto stworzył ten plastelinowy raj? Kim był geniusz, który wpadł na to, żeby zmiksować wartości rodzinne z niewyżytym geriatrycznym libido?

Chwilę później dwie szychy z zarządu stacji Fox wprowadziły mnie do sanktuarium Ailesa.

Nie ma to tamto, Ailes wiedział, jak się ustawić. Duże, eleganckie biuro.

Okno z widokiem na przedmieścia. Kanapa. Prywatna łazienka. Biurko bez choćby skrawka papieru. Nic a nic, ani jednego kawałeczka. Żadnego kalendarza. Żadnej umowy. Żadnej chusteczki. Żadnego jednorazowego kubka. Żadnego paprocha.

– Tu wszystko trzymam – powiedział Rog, okrągławy mężczyzna o ściągniętej twarzy, i popukał się palcem wskazującym w bladą, łysą czaszkę. Nosił w głowie mapę całego królestwa.

Roger to geniusz, wyjaśnił mi jeden z dyrektorów, który przyprowadził

mnie na spotkanie z Jego Magnificencją. Zbudował to wszystko od podstaw i nikomu nie chce powiedzieć jak.

– Moje gwiazdy nie bardzo za tym przepadają – zagaił Rog – ale ja zdaję się na instynkt. A jak tam moje gwiazdy? Narzekają na nowy harmonogram?

Gwiazdy, pomyślałem. On tak mówi o swoich komentatorach.

– Jestem reporterem – zacząłem – i pracuję dla lokalnego oddziału pana stacji w Detroit.

– Wiem – odparł i wskazał na swój magiczny czerep. – Książkę napisałeś.

– No więc, proszę pana, tak jak napisałem w tej książce, tu wcale nie chodzi o to, że Detroit to tylko taki mały cyrk. Cały kraj się sypie, wszędzie wrze. Jeden wielki shitshow. Mam taki pomysł, żeby zrobić serię reportaży dla lokalnej telewizji (Fox posiadał osiemnaście lokalnych stacji na największych

rynkach USA, z czego większość z własną drużyną ligi NFL do kompletu). Chciałbym przejechać się po Ameryce z kamerą, pokazać, jak to naprawdę wygląda między Los Angeles a Nowym Jorkiem. Porozmawiać z prawdziwymi ludźmi. Mało ich u pana. A wybory są bliżej, niż się panu wydaje.

Rog spojrzał na swoich dyrektorów.

– Da się go jakoś przypilnować? – zapytał.

– Że jak, do chuja wafla? – wypaliłem, bo Rog to zaprawiony w bojach twardziel, jego byle co nie gorszy. Stary wyga, co na niejednym froncie bywał, zawsze z szerokim, protetycznym uśmiechem, śliski i niebezpieczny, obły, z ziemistą cerą i szklistymi oczkami. Z nim można było kawę na ławę –

w końcu to Rog wymyślił na nowo Richarda Nixona, a potem stworzył

prawackie telewizyjne wiadomości z dupy. I to on pierwszy zorientował się, że istnieje ogromna widownia, która ma dość wciskanych im od

kilkudziesięciu lat lewackich wiadomości z dupy. Rog był geniuszem, jasna sprawa.

A teraz proponowałem mu coś z samych bebechów: chciałem pokazać zwykłych ludzi i ich codzienne zmagania na tle sypiącego się kraju i życia.

– Żebyś mi tylko nie robił żadnych historii o organizacjach charytatywnych Ruperta Murdocha – powiedział Rog śmiertelnie poważnie.

Tak naprawdę mój czarodziej miał na myśli to, że mam nie ruszać niczego, co mogłoby go kosztować pieniądze lub reklamodawców albo sprowokować telefon od kogoś z elitarnego klubu czy nawet samego Szefa.

Dokładnie takie same obawy żywiło kierownictwo liberalnych mediów.

Ostatecznie w wiadomościach nie chodzi ani o to, żeby informować opinię publiczną, ani o to, żeby rozliczać możnych tego świata. Wszystko rozbija się

o gotówkę. Konstytucyjna pierwsza poprawka to dobra rzecz, ale ojcowie założyciele zapomnieli zorganizować mediom źródło dochodu. Właśnie dlatego branża wciska nam tyle historii o naćpanych celebrytach, świrach w czapkach z celofanu i kotach – zwłaszcza o kotach, kotach na gigancie, kotach, które mówią, kotach-duchach, kotach na kiblu i kotach bez łapek na wózkach inwalidzkich. To pieniądz napędza dwudziestoczterogodzinny cykl informacyjny. Nauczyły mnie tego lata spędzone w redakcjach gazet.

Szczerze mówiąc, organizacje charytatywne Ruperta zupełnie mi zwisały.

Nie jestem kolaborantem, nie jestem skamlącym psem na pasku korporacji.

Nie jestem narzędziem, organem ani tubą klasy rządzącej. Nie chodzę z nimi na wódkę, nie wyjeżdżam z nimi na wakacje, nie bywam w Białym Domu na obiadach dla korespondentów. Bliskość władzy nic dla mnie nie znaczy.

Nawet nie mówię o sobie „dziennikarz”. Reporter, i tyle. Ale nie ogarniam czegoś tak tajemniczego jak organizacje charytatywne Ruperta. Zostawiam to gadającym szympansom i opiniotwórczym publicystom. Chciałem po prostu pokazać amerykańskie życie od podszewki.

– No dobra – powiedział, węsząc tym swoim słynnym nosem. – Jedziemy z tym koksem.

Trzeba mu przyznać, że nie bawił się w żadne podchody. Żadnego „obróć się, niech no ci się przypatrzę”. Żadnego macania po klacie ani bicepsach.

Żadnego zaproszenia na obiad w eleganckim hotelu. Żadnych akcji z molestowaniem, które trzy lata później miały doprowadzić do odsunięcia go od stacji, którą sam zbudował. Pracę w telewizji łatwiej dostać, jak człowiek jest odpicowany, upudrowany i zrobiony na siłowni, zwłaszcza gdy

nie jest tytanem intelektu. Masz przerzedzone włosy i żółte zęby? Daleko nie zajdziesz, nie ma bata. Ale Rog zobaczył we mnie coś więcej. Powiedział, że jest na „tak”, i jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Oddaję wam teraz do rąk chronologicznie ułożone historie spisywane przez

trzy lata, które spędziłem, podróżując po USA jako reporter ogólnokrajowego programu *Amerykanie*; trzy lata, podczas których amerykański krajobraz polityczny, rasowy i gospodarczy przeszedł głęboką transformację. Od skutków nowego globalizmu – tych ewidentnych i tych mniej oczywistych –

po narastające napięcia na tle rasowym i konflikt między ludźmi a rządem, który w ich przekonaniu odwrócił się od nich i ich oszukał. Stawałem na głowie, żeby do nich dotrzeć i ich zrozumieć: ich prawdziwe lęki i desperację. Amerykański sen się sypał, nie miałem co do tego wątpliwości.

Był zadłużony po zęby. Ale co – nie licząc mediów społecznościowych, pracy w niepełnym wymiarze godzin i leków na receptę – mogło go zastąpić?

Black Lives Matter. Rebelia ranczerów. Zatruta woda we Flint.

Prezydentura Trumpa. To właśnie te wydarzenia i kryzysy zostaną najprawdopodobniej

zapamiętane

jako

przełomowe

momenty

we

współczesnej historii USA. A my byliśmy na miejscu, przepychając się przez tłum w kłębach gazu łzawiącego, kurczowo ściskając w dłoniach kamery i notesy, bez choćby grama makijażu na twarzach.

Przez trzy lata z rozmaitych ulic i barów obserwowałem, jak Ameryka powoli się rozpada, słuchałem, jak ludzie mówią, że chcą czegoś nowego, więc wybór Donalda J. Trumpa na prezydenta wcale mnie nie zaskoczył, i mam nadzieję, że po lekturze tej książki będziecie wiedzieli dlaczego.

Razem z fokami z wędrownego medialnego cyrku Trump spektakularnie

wpasował się w nasz shitshow, a my zrobiliśmy z nich wszystkich rekwizyty, bo się do tego idealnie nadawali.

Kiedyś na początku kampanii Trumpa podszedłem do niego podczas konferencji prasowej w okolicach Flint, tuż zanim zaczął przemawiać do nabitej po same brzegi sali, i powiedziałem, że moim zdaniem ma spore szanse na wygraną. Musi tylko lepiej *mówić*. Znaleźć z ludźmi wspólny język, ale taki, który nie wywoła wojny rasowej. Trump nadął się jak polana wodą gąbka, widać było, że moja diagnoza mile go połechtała, że podziwia moją dziennikarską przenikliwość i wiarygodność. No to poprosiłem go o rozważenie mojej kandydatury na stanowisko wiceprezydenta.

Na chwilę zbiło go to z tropu.

– Ty chcesz zostać wiceprezydentem?

– Jasne. Dlaczego nie?

Zmienił taktykę. Zaczął podważać moją wiarygodność. Zapytał, skąd się tu wziąłem. W sensie: kto tutaj wpuścił tego gościa? Potem odwrócił się do sali. Skąd on się urwał?

Dziennikarze zaczęli się ze mnie śmiać. Wtedy pierwszy i ostatni raz słyszałem, żeby Trump i przedstawiciele mediów byli w jakiejś sprawie tak jednomyślni.

Nie zamierzałem startować razem z nim w wyborach, to miał być performance z kandydatem na prezydenta, ot, widowisko na marginesie amerykańskiego cyrku, który gościł na ekranach waszych telewizorów.

Uważałem, że do tego, żeby uprawiać dziennikarstwo XXI wieku, potrzebne są nie tylko głowa (dosłownie) i jaja (w przenośni), ale także styl i prezencja, hiperbola i humor, ostentacja i oburzenie. Ale przede wszystkim potrzebna jest rzetelność.

Nie wiem, czy istnieje bardziej powierzchowna forma dziennikarstwa niż wiadomości telewizyjne. Hunter Thompson opisał je pięćdziesiąt lat temu

jako długi, plastikowy korytarz, po którym biegają swobodnie złodzieje i alfonsi, a dobrzy ludzie idą na śmierć. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że poza twarzami na ekranie niewiele się od tego czasu zmieniło.

Na kolejnych stronach znajdziecie historie o kobietach i mężczyznach w Ameryce, i to im właśnie dedykuję tę książkę. To o nich piszę –

o gliniarzach, komandosach, kowbojach, Indianach, imigrantach, robotnikach fabrycznych, fryzjerach, hodowcach świń, gospodyniach domowych, wdowach, przemytnikach, kieszonkowcach, politykach i innych złodziejach oraz o latynoskim ogrodniku, który kosi trawnik u Wielkiego Smoka Ku Klux Klanu, a także o wielu innych, przygniecionych ciężarem długów i brakiem sensownej pracy, o ludziach, którzy zbyt długo byli ignorowani, którzy musieli dokonywać niełatwych wyborów, żeby wyżywić dzieci. Im wszystkim dedykuję tę książkę – z wyjątkiem Wielkiego Smoka. On akurat może mnie pocałować w dupę.

Załatwiliśmy interesy i Rog przeszedł płynnie do rozmowy o broni palnej:

– Lubisz strzelać?

– Pewnie – powiedziałem. – Jak ktoś mi wejdzie do domu bez pozwolenia, to go rozwalę. Proste.

Spodobało mu się to podejście. Uśmiechnął się szeroko i pokazał mi swoje pozwolenie na noszenie ukrytej broni (obaj dyrektorzy natychmiast zabronili mi wrzucać zdjęcie na Twittera). Zapytałem go, czy podpisałby mi się na butach we wzór z amerykańskiej flagi, bo proszę o to każdego świra, na jakiego się natknę, od kongresmena po naćpaną dziwkę z Frisco i mistrza świata wagi średniej. Rog wziął ode mnie pisak i sięgnął po lewy but.

– Lepiej na prawym, Rog – powiedziałem. *Skrajnie* prawym. Właśnie tak.

Tak jest, proszę pana.

Zakręciłem pisak, dyrektorzy ruszyli przodem, żeby mnie wyprowadzić z gabinetu, a Rog wrócił za swoje puste biurko. Po drodze zatrzymałem się i

złapałem za klamkę drzwi po lewej. To była osobista toaleta Roga, a mnie strasznie chciało się srać. Za dużo kawy. Miałem zostać korespondentem krajowym – i to dla lokalnych wiadomości, czyli najgorszej formy komunikacji, jaką kiedykolwiek wynaleziono (choć w osiemnastu różnych miastach) – i planowałem zacząć od zdeponowania dwójeczki w fortecy Jedynki. A co tam, mogłem nawet wrzucić to na Twittera. Nawet nie zdążyłem rozpiąć spodni, kiedy powstrzymała mnie uprzejmie sekretarka.

– Bardzo pana przepraszam – wyszeptała – ale pan Ailes ma swoje zasady, jeśli chodzi o jego prywatną toaletę. Nikomu nie wolno z niej korzystać bez jego pozwolenia. Z pewnością pan to rozumie.

– Tak, tak, oczywiście. Z pewnością rozumiem. Pozwolenie. Tak, dziękuję.

Może i byłem za mało seksowny, żeby Rog mnie wpuścił do swojego prestiżowego klozetu, ale za to miałem własny show – nadszedł czas, by ruszyć w drogę.

2 0 1 4

Pomyślałem sobie, że nasza pierwsza historia powinna dotyczyć pracy.

Globalny kryzys trwał od ponad pięciu lat, a ludzie w Stanach Zjednoczonych nadal mieli problem ze znalezieniem zatrudnienia. Całe rzesze kierowały się w miejsce, które okrzyknięto stolicą współczesnej gorączki złota: na pola naftowe w Dakocie Północnej.

W epicentrum boomu znalazło się miasto Williston, położone nad rzeką Missouri w północno-zachodniej części stanu.

Na tych terenach mieszkali przodkowie Szoszonki Sakakawei, a z historycznych zapisków prowadzonych od dnia, w którym w czółnie przypłynął tu pierwszy biały człowiek, wyłania się obraz przekupstwa, nieporozumień, urażonych uczuć i doskwierającego braku kobiecego towarzystwa. Wystarczy zajrzeć do relacji Williama Clarka, kapitana wyprawy, którą dowodził wspólnie z Lewisem.

22 listopada 1804 roku, w czasie pobytu w obozie na północ od miejsca, gdzie dziś znajduje się miejscowość Bismarck, Clark zanotował w dzienniku, że do obozu przybyła Indianka, którą pobił i ugodził nożem mąż. Wszystko wskazywało, że niemal ją zabił za to, że bez jego zgody przespała się z jednym z sierżantów ekspedycji.

„Poszedłem tam i rozmówiłem się z mężem na temat nieroztropnego czynu, któren ów gotowił się popełnić – pisał Clark – i zabroniłem wszelkich czynów tego rodzaju w bliskości fortu. […] *Nakazaliśmy, ażeby nikt z naszej partii zbliżyć się do owej niewiasty nie poważył pod groźbą surowej kary.*

[…] *Poleciliśmy, ażeby sierżant ów dał* [*mężowi*] *nieco towarów, poczem powiedziałem Indianinowi, że wedle mej wiedzy żaden inny mężczyzna z naszej partii nie tknął był jego żony, z wyjątkiem tego, któremu* [*wcześniej*]

sam ją był ofiarował, ażeby z niej na jedną noc zrobił użytek w jego własnem łożu […] *i poradziłem mu, ażeby zabrał swą* squaw *do domu i żył z nią dalej szczęśliwie. Naonczas przybył wielki wódz plemienia i bardzo go o czemś pouczał, poczem obaj odeszli, a widać było, że wielce są niezadowoleni”.*

Przekupstwo i brak kobiecego towarzystwa. Równie dobrze mogłaby to być współczesna relacja z pól naftowych Dakoty Północnej. Spakowaliśmy

się i pojechaliśmy sprawdzić, jak dzisiaj wygląda poszukiwanie amerykańskiego snu. Czekało na nas miasto boomu.

Czarne złoto

Dakota Północna

Zima

Obskurny pokój w okolicy Fortu Berthold, w pół drogi między miastami Minot a Williston, kosztował co najmniej dwieście pięćdziesiąt dolców za noc. Za dodatkową osobę trzeba było wybulić jeszcze pięć dych. Ale i tak wszystko pękało w szwach i ciężko było w ogóle cokolwiek znaleźć. Razem z Bobem i Mattem, moimi kamerzystami, dorwaliśmy ostatnie wolne lokum.

Oni zajęli łóżka, a ja rozłożyłem śpiwór na lepkiej, cuchnącej szambem i szlaką podłodze. Rudera ledwo się trzymała kupy, po sam dach wypchana białasami z Alabamy, Missisipi, Teksasu i Idaho, którzy przybyli tu w poszukiwaniu ostatniej szansy. Sami bezrobotni mężczyźni, usiłujący ratować małżeństwo przed rozpadem albo dom przed licytacją. Ktoś im powiedział, że znajdą tu pracę na polach naftowych: głęboko pod zamarzniętą równiną Dakoty dziesięć miliardów baryłek czeka na wydobycie z łupków.

Krążyły plotki, że można tu nieźle zarobić, ponoć niektórzy wyciągali sto koła rocznie. Brali wszystkich jak leci, no to nazjeżdżało się tu rozmaitych zawodników z całego kraju.

– Sto koła! Ale by się stara ucieszyła – powiedział wieczorem jeden taki typek, zaciągając się dymem z mentola i siorbiąc bud lighta na oblodzonym parkingu przed syfiastym motelem. Może by to wystarczyło, żeby nie odeszła w siną dal z dziećmi albo, co gorsza, bez dzieci, zostawiając mu je na głowie.

Typek nie wynajął pokoju w hotelu, bo, jak stwierdził, całe to gadanie o kasie to ściema. Miał na to następujące wyjaśnienie: może i zarobisz te sto koła, tylko pierw se musisz znaleźć robotę. Jak już znajdziesz, to zapieprzasz po sto godzin na tydzień, a robota, jak to robota, raz jest, a raz nie ma, tylu się tu kutasiarzy nazjeżdżało, co chwila jakiś ładuje manatki do samochodu,

wskakuje za kółko i grzeje, ile fabryka dała, wali tu na północ, na tę lodową pustynię, po ostatnią szansę.

Zatem nasz typek był bez kasy i spał w samochodzie na parkingu, chociaż był styczeń i jakieś minus siedem stopni Celsjusza na dworze, o ostrym wietrze nie wspominając. Zresztą i tak musiał płacić recepcjoniście na nocnej zmianie dwadzieścia dolców za sam przywilej parkowania. Tylko rano ma cię tu już nie być, zanim kierownik przyjdzie.

– Kiedyś znaleźli tu trupa – oznajmił nam, ruchem brody wskazując ciemność rozciągającą się poza granicami miasteczka. – W takim rowie, tam, gdzie nie ma latarni. Był zawinięty w materac. Z kulką we łbie. Zamarznięty.

Meksykanin. Skąd tu się, do chuja, wzięli Meksykanie?

Powiedziałem mu, że teraz Meksykanie to jak kiedyś Chińczycy.

Wszędzie się wcisną. Jedziesz do Konga, a tam chińska knajpa. Detroit – to samo. Jak komuś kiszki marsza grają, to wszędzie pojedzie. Tak jak ty.

– Ja tam nic nie wiem – wymamrotał. – Tyle ci tylko powiem, że tam w rowie leży mrożone burrito. Tu jest rzeźnia, synu. Głęboka dupa. Czekam tylko na wypłatę i spierdalam w podskokach.

Kiedy wróciliśmy do motelu, smród zdążył już ewoluować, niczym zapachowa wersja kameleona. Teraz waliło starym potem, ropą, dymem i skisłym piwem. W sąsiednim pokoju ktoś strasznie darł ryja, wrzaski ostro niosło przez cienkie, gipsowe ściany, ale żaden z nas się nie poskarżył. Ktoś pewnie wrzucił trefny towar. Albo wyjątkowo dobry, czasem to ciężko rozpoznać. Paranoję po prochach trudno odróżnić od euforii. Tak czy inaczej, lepiej zamknąć drzwi na klucz. Lepiej otworzyć sobie piwo i mieć baczenie na świra, na wypadek gdyby wdarł się tutaj przez cienką jak papier ścianę lub zaczął strzelać na oślep. Matt nakrył głowę poduszką i poszedł spać. Bob chrapał tak, że zagłuszał wrzeszczenie. Ja nie byłem w stanie zmrużyć oka, leżałem więc na podłodze, trząsłem się z zimna i wsłuchiwałem w potępieńczy skowyt aż po świt.

Słońce wzeszło późno, martwe i blade. Na źdźbłach preriowej trawy połyskiwały kryształki lodu. Ani jednego drzewa. Jak okiem sięgnąć, wszędzie tylko gęsta, niedostępna tundra. Fort Berthold jest po drodze do przeżywającego właśnie rozkwit miasteczka Williston, położonego w samym centrum rejonu Bakken, o którym mówiono, że wytwarza najwięcej ropy w całej Ameryce, więcej nawet niż ma to miejsce za kołem podbiegunowym na Alasce. Blisko jedna trzecia tej produkcji pochodziła z Fortu Berthold,

zubożałego niegdyś indiańskiego rezerwatu, który obecnie był nieco mniej ubogi, choć nadal biedny. Mieszkają w nim Trzy Bratnie Plemiona: Mandanowie, Arikarowie i Hidatsa, czyli przybrany lud Indianki Sakakawei.

Przez wiele lat rdzenni mieszkańcy Ameryki patrzyli, jak biali rozkradają ich

terytorium, które skurczyło się do niecałego miliona akrów. Najpierw przyszli ranczerzy, potem kolej, a w końcu, w 1953 roku, Korpus Inżynieryjny Armii Stanów Zjednoczonych, który spiętrzył rzekę Missouri, zalał sto pięćdziesiąt tysięcy akrów najlepszej ziemi i zepchnął Indian na nierówne, jałowe pogórze. Z tymi nierównymi, jałowymi pogórzami to jest śmieszna sprawa. Pod ich powierzchnią często kryją się pokłady złota i uranu oraz złoża ropy naftowej.

Wszędzie, jak rezerwat długi i szeroki, pagórkowaty teren usiany był

słupami płonącego metanu z powstałych w wyniku szczelinowania odwiertów dzierżawionych przez białych poszukiwaczy ropy. Wyglądały jak rzymskie ognie. Do Bratnich Plemion trafiał jednak ułamek zysków z wydobycia. Ich przedstawiciele poszli z tym do sądu, bo uważali, że rząd federalny pozwolił na kradzież ponad miliarda dolarów, nie wywiązując się z obowiązku dbania o interesy rdzennej ludności. Biali spekulanci i nowojorskie fundusze hedgingowe wykupywały prawa do dzierżawy za bezcen: po trzydzieści pięć dolarów za akr.

Rezerwat przeistoczył się w ekologiczny nieużytek, pełen plam ropy naftowej, pocięty drogami dla ciężarówek, z zanieczyszczonym powietrzem.

Do tego nie było wiadomo, jaki wpływ na stan rzeki Missouri będą miały polimery pompowane w ziemię, żeby rozbić łupki naftowe. Warto o tym pomyśleć za każdym razem, gdy widzisz niebieski płomień palnika kuchenki.

Jakby tego było mało, biali domagali się również prawa drogi dla ropociągu i gazociągu pod świętym sztucznym jeziorem Sakakawea. Gdyby Indianie wiedzieli, jak kiedyś będzie wyglądała ich ziemia, to jestem pewien, że poderżnęliby Lewisowi i Clarkowi gardła, odcięli im kudłate łby i spławili je rzeką Missouri z powrotem do St. Louis.

Ale cóż, było, minęło. W dzisiejszych czasach starszyzna plemienia to takie samo bagno jak rząd białego człowieka – złodzieje, którzy myślą tylko o sobie. Tex Hall, przewodniczący rady plemiennej, kręcił na boku lukratywne interesy w branży naftowej razem z białym wspólnikiem, który zdążył się dorobić bardzo grubej teczki w kartotece policji stanowej w Oregonie. Gdy

przejeżdżaliśmy przez Dakotę Północną, lokalne gazety

pisały właśnie, że biały przydupas Halla był podejrzany o dwa morderstwa na zlecenie, jedno w Spokane w stanie Waszyngton, a drugie w rezerwacie, i to na terenie należącym do Halla – ofiarę zatłuczono na śmierć pałką w jego garażu, a przynajmniej taka była teoria. Poszło ponoć o spór o prawa do dzierżawy. Władze uważają, że ciało zakopano na polach naftowych. W 2016

roku biały partner Halla został skazany za zabójstwo, ale sam przewodniczący zaprzeczył, jakoby miał cokolwiek wspólnego z tą zbrodnią, i jak dotąd nie został oskarżony o bezpośredni udział.

A jeśli chodzi o perfidię Texa Halla, o to, że utuczył się, rzekomo reprezentując interesy ludzi, którzy oddychali brudnym powietrzem i przeważnie umierali, nie doczekawszy renty – cóż, w konstytucji plemiennej nie było żadnego zapisu, który by tego zabraniał, jak powiedział

dziennikarzom najwyższy *sachem*, po czym zadeklarował, że każda baryłka to coraz większa suwerenność.

Recepcjonistka w ponurej siedzibie władz plemienia powiedziała mi, że przewodniczący nie ma tego dnia ochoty na rozmowę z mediami. Był

jednocześnie chory i przytłoczony troską o dobro swojego wielkiego narodu.

– Ale byłem umówiony – przypomniałem jej. – Przyjechałem z daleka.

– Przykro mi.

– Ja też mam indiańskie korzenie. Moi przodkowie pochodzili z Odżibwejów. To się chyba liczy?

– Przykro mi, przewodniczący nikogo nie przyjmuje.

– Trochę dziwne imię jak na indiańskiego wodza – powiedziałem, nie kryjąc irytacji. – Tex.

– Jego plemienne imię to Strzała o Czerwonym Czubku – wyjaśniła. –

Niemniej, jak już powiedziałam, przewodniczący nikogo nie przyjmuje i nie może się z panem teraz spotkać.

Pośrodku rezerwatu, za wieżami wiertniczymi, przyczepami ciągników i białymi mężczyznami w płóciennych kombinezonach, kręcącymi się przy pompujących ropę kiwonach, stał most, który rozciągał się nad świętym sztucznym jeziorem. Widać było z niego imponujący przykład wielkoduszności przewodniczącego, jego dar dla ludu, fantastyczną inwestycję zakupioną za pieniądze z ropy, która miała wprowadzić jego pradawne plemię w XXI wiek. Tuż za kasynem, obok sklepu z przynętą wędkarską. Czyżby nowy szpital? Fabryka? Szkoła zawodowa? Nic bardziej mylnego. Dwupokładowy jacht imprezowy na bloczkach z cementu, Island

Girl. Koszt? Dwa i pół miliona dolarów. Miało to być pływające kasyno, klejnot, który ściągnąłby do rezerwatu turystów, nie tylko poszukiwaczy ropy. Problem w tym, że komandor Tex zapomniał o jednej rzeczy – jezioro zamarza na całą zimę. Każda baryłka to suwerenność.

Williston, zamieszkane głównie przez białą populację miasto na zachód od Fortu Berthold, okrzyknięto najszybciej rozwijającą się miejscowością w Ameryce. Wszechobecne neony, asfalt oraz sprzęt budowlany dają najlepsze pojęcie o liczbie ludności, która w ciągu pięciu lat uległa podwojeniu, sięgając dwudziestu pięciu tysięcy. Tyle tylko, że te dane obejmują wyłącznie tych, którzy rzeczywiście osiedli w Williston i zapuścili tu korzenie. Nie uwzględniają ogromnej rzeszy zdesperowanych mężczyzn, którzy mają nadzieję wpaść tu na chwilkę, zbić fortunę i wrócić pędem do domu. Częściowo w wyniku tego napływu niegdyś senne miasteczko, pełne metodystycznych kościołów i schludnych, murowanych domów, teraz budziło skojarzenia z syfiastym kurwiszonem na podmiejskim parkingu dla tirów.

Prawdę mówiąc, niejeden taki kurwiszon kręcił się po parkingach między Holiday Inn, KFC i hotelem El Rancho a wyrastającymi znienacka męskimi obozowiskami i prowizorycznymi osiedlami przyczep na obrzeżach miasta.

Mówiło się, że w Dakocie Północnej co miesiąc ktoś zostaje milionerem. Ale

gdzie mieszkali ci magnaci? Gdzie były ich posiadłości? Ich apartamenty?

Lokalny kaznodzieja radiowy – usłyszałem go podczas jazdy przez równinę – wygłaszał kazanie o tubkach pasty do zębów na lotnisku JFK

i o braku człowieczeństwa w Nowym Jorku, oraz o tym, że trzeba zawierzyć Jezusowi, tutaj, na tej roponośnej działce. Jezus da nam coś dla ducha i dla ciała. Kiedy to usłyszałem, postanowiłem, że koniecznie muszę się spotkać z tym człowiekiem o boskiej przenikliwości.

Wielebny Ron Evitt mieszkał w prostym domu w stylu kolonialnym, w dzielnicy budynków pokrytych zniszczonym i poplamionym sidingiem z aluminium. Przyszedł na świat w rodzinie domokrążnego sprzedawcy Biblii Gedeonitów. Studiował inżynierię naftową na Uniwersytecie Wyoming. Na początku XXI wieku kupił ziemię na kredyt, znalazł ropę i stał się bogatym człowiekiem. Biorąc pod uwagę, że baryłka kosztowała 107,57 dolara, z każdą chwilą był coraz bogatszy. Ale pieniądze to za mało. Kaznodziei marzyły się dusze, ludzie, wyznawcy, akolici, rankingi! Chciał mieć dla

siebie kawałek nielsenowskiego tortu. Co komu po zyskach, jeśli twoja audycja nie dorównuje popularnością państwowej stacji radiowej w republikańskim bastionie? Wymyślił nawet chwytliwy slogan: „Pastor na działce – działce naftowej". Mimo to mało kto słuchał jego płatnych spotów – paru więźniów z lokalnego pierdla, kilku ćpunów śpiących w ciężarówkach i garstka robotników przy odwiertach. Ci ostatni pożądali pieniędzy, a nie zbawienia.

Postanowiliśmy nakręcić Evitta podczas głoszenia dobrej nowiny przy odwiercie. Przyniósł pizzę. Powiedział, że dzięki temu ludzie chętniej się przysiądą i go posłuchają. Odrobina pepperoni doda smaku modlitwie.

Wszyscy robotnicy byli biali, co do jednego, i nagle dotarło do mnie, że w całej Dakocie Północnej nie widziałem jeszcze ani jednego ciemnoskórego człowieka. Nie zauważyłem też, żeby na polach naftowych pracowali jacyś Indianie. Ale pamiętałem, że w podłej chińskiej restauracji w Minot gotował

Azjata. Był jeszcze ten Meksykanin w rowie, zawinięty w materac jak

tortilla, śpiący snem wiecznym – i to wszystko.

Dotarliśmy z kaznodzieją do odwiertu położonego daleko w głębi równiny, prawie pod granicą z Kanadą. Wiatr zmienił kierunek i wiał teraz z północy. Było wściekle zimno, palce u rąk i nóg pulsowały bólem od mrozu i miało się wrażenie, jakby ktoś ci przejechał po twarzy kamieniem szlifierskim. Pracowałem kiedyś w rzeźni, ale tutaj to była najcięższa, najgorsza robota, jaką kiedykolwiek widziałem.

Jak stwierdził Bobby, kierowca ciężarówki z Arkansas, to nie jest prawdziwa praca. Czekał właśnie, aż maszyna skończy pompować resztki pozostałego po szczelinowaniu płynu z jednej spośród należących do kaznodziei cystern (Bóg wie, gdzie je potem wylał). To nie jest bynajmniej spełnienie marzeń ani amerykańskiego snu o ciepłej posadce. To jest chujnia.

Żeby uciułać te sto tysięcy, musiałbyś robić na trzy etaty. Ale tego ci przed przyjazdem nie powiedzą. Jesteś zmęczony. Ciągle marzniesz. Jesteś wiecznie przybity i samotny. Ci kolesie w większości nie mają doświadczenia,

nie

pracowali

przy

wydobyciu

ani

nie

jeździli

ciężarówką, więc wszystko robi się po prostu bardzo niebezpieczne.

– Ten kaznodzieja? Po prostu mówię mu „nie, dziękuję”. Jestem ateistą.

Nie ma Boga. Rozejrzyj się dookoła. Widzisz tu jakiegoś Boga? Żona mnie zostawiła. W Arkansas nic na mnie nie czeka. Próbuję uzbierać trochę kasy.

Kupię sobie chatę w lesie w Idaho i zniknę na zawsze. Niczego więcej nie chcę od życia, tylko tę chatę. Oto mój amerykański sen.

Pod przyczepą kaznodzieja próbował urabiać robotników. On się modlił, oni nie. Pizzę przełknęli, ale jego przesłanie już niekoniecznie.

W podmiejskim osiedlu przyczep kaznodziei, który w dżinsowej kurtce i z fryzurą na pieczarkę wyglądał bardziej jak Opie Taylor niż Howard Hughes, też poszło słabo. Było tam kilka rodzin, ale większość mieszkańców stanowili mężczyźni, którzy wspólnie wynajmowali jedno lokum. Przeważnie nawet mu nie otwierali, a jeśli już tak się zdarzyło, to cierpko oznajmiali wielebnemu milionerowi, że to nie modlitwy potrzebują, a pracy. Pieniędzy.

Kaznodzieja powiedział, że i tak będzie się za nich modlił, co przyszło mu z łatwością, bo tak się składało, że to on był właścicielem tych paru odwiertów, z których wydobywano ropę.

Rozglądając się po nędznym, ośnieżonym parkingu, nad którym unosiło się niewidzialne widmo porażki, zamieszkanym przez cały legion samotników, odludków i alkoholików, pomyślałem, że Bóg musiał rzucić na tę ziemię jakąś szczególną klątwę. Zapytałem kaznodzieję, czy jego zdaniem właśnie tego chciał dla tych ludzi nasz pan i zbawiciel Jezus Chrystus?

– No więc, jakby to… – Kaznodzieja wyraźnie się zacukał. – No nie –

przyznał w końcu. Tak naprawdę to nie. Większość z nich nie spełni swojego marzenia.

Warda Koesera, burmistrza Williston, wytropiłem w biurze, w sypiącym się budynku przy głównej ulicy, podobnym do siedziby indiańskiej rady plemiennej: ściany z cegły, niegdyś czerwonej, a obecnie burej od sadzy, kurzu i błota pryskającego spod kół nieustannie jeżdżących tędy pojazdów.

Burmistrz właśnie oddawał władzę po dwudziestu latach urzędowania.

Zaczął od preambuły „tylko proszę mnie źle nie zrozumieć”, więc od razu pomyślałem, że kiepsko się dzieje na Wielkich Równinach. Oznajmił, że wszystko idzie świetnie. Rozwój. Milionowe inwestycje w budownictwo.

Nowi ludzie.

– Tak, ale?

– Nie no, problemy się zdarzają, jasna sprawa. Pan jesteś z mediów, to pan pewnie chcesz usłyszeć o problemach, prawda?

– W zasadzie tak – przyznałem, skoro mnie już rozszyfrował. Dobre wiadomości są nudne. Źle wypadają w telewizji. Wszyscy opowiadają

o wynikach produkcji i tej mitycznej setce patoli. A co z ćpaniem, prostytucją i bezdomnymi?

– Wiem, że nieładnie tak mówić – odparł burmistrz monotonnym głosem – ale najchętniej bym im wszystkim zapłacił, byle tylko wrócili, skąd przyjechali.

Powiedział nam, że najgorzej jest przy stacji kolejowej, więc oczywiście od razu tam pojechaliśmy. Na Front Street, przy biegnących równolegle do rzeki Missouri torach, wyrosło miniaturowe męskie obozowisko ciężarówek i przyczep kempingowych. Zanim zaczęła się gorączka naftowa, ludzie nie przyjeżdżali do Williston, a raczej stąd uciekali. Teraz codziennie pojawiali się coraz to nowi przybysze – zjeżdżali tu pociągami, autobusami albo rozpadającymi się gruchotami, zdesperowani, bez mieszkania, bez znajomych, sypiając w furgonetkach. Ci mężczyźni kręcili się potem przy torach. To tutaj, w parku przy stacji, mieścił się ośrodek zatrudnienia, tyle że nikt nikogo nie zatrudniał. Działała tam Armia Zbawienia, która od czasu do czasu rozdawała gorącą zupę w samo południe, ale żeby dostać talerz, trzeba było ugiąć kark. Dalej były dworzec autobusowy i zajezdnia kolejowa, kawiarnia i pięć barów na Main Street – dwa z nich, Pod Złamanym Sercem i Szepty – działały też jako kluby ze striptizem.

Plotki nigdy specjalnie mnie nie interesowały, więc ominąłem Szepty i

ruszyłem prosto Pod Złamane Serce. Od progu było jasne, dlaczego tak nazwali to miejsce. Czterech wynędzniałych pijusów przy barze. Myśliwskie trofea na ścianie. Wyliniały dywan. Wyliniała rura. Stanowisko DJ-a.

Telewizor ustawiony na wiadomości na kablówce. Nie wiem, komu przyszło do głowy, że jakiś otłuszczony biały przychlast w babcinych okularach, który kłapał dziobem, choć dźwięk był wyłączony, w sam raz się nada do pełnej desperatów knajpy ze striptizem, ale ktoś tak właśnie postanowił, i oto proszę bardzo. Telewizja.

Barmanka powiedziała mi, że pod Szeptami niedawno kogoś zadźgali, po czym od razu dodała, że wybrałem znacznie bardziej elegancki lokal.

Odparłem, że na zachodzie ludzie w ogóle chyba wolą noże. Cios nożem jest dużo bardziej osobisty, intymny i chrześcijański niż seria kul z przejeżdżającego samochodu. Takie rzeczy odstawiają tylko miastowe pizdy. A jak szykujesz się, żeby dziabnąć kolesia w oczodół, to przynajmniej ma szansę się zorientować, co się święci. Podstawowa kindersztuba.

Barmanka zachichotała. Parę miesięcy temu też tu kogoś zastrzelili. Różni

się tu kręcą.

Była mormonką i pochodziła z Idaho. Całkiem przyjemna dla oka brunetka. Obcisły top i krótkie spodenki, za skąpe na taką pogodę, ale dziewczyna musi przecież jakoś podkreślić wdzięki. Tatusiowi by się to nie spodobało, ale, jak powiedziała, tatuś nie o wszystkim musi wiedzieć.

– Ja tam akurat taka nie jestem, ja tu za barem pracuję, nic więcej. Ale jakby co, to znajdzie się dziewczyna, która może dotrzymać ci towarzystwa.

Każdy potrzebuje towarzystwa. Bez towarzystwa człowiek tylko błąka się po świecie. Trzysta dolarów.

– Niezła sumka jak za parę minut w szafie na szczotki – powiedziałem.

– Jak od gościa capi, to jest jeszcze drożej. – Mrugnęła porozumiewawczo i

wskazała kciukiem jakiegoś zapuszczonego nafciarza.

Wyszedłem na papierosa, żeby to sobie przemyśleć. Przyjechałem tu zbierać różne smaczki, różne, prawda, detale do opowieści, wasz nieustraszony reporter donosi z samego środka amerykańskiego snu.

Numerek za trzy stówy w kiblu na zajezdni kolejowej. Coś w tej wizji bardzo mnie rozbawiło. Ale raczej marne szanse, żeby mi to uwzględnili w rozliczeniu delegacji.

Właśnie wtedy zawołał mnie menel, który mieszkał w samochodzie.

Otworzył okno i zaczął sępić o fajkę. Poszedłem na drugą stronę ulicy.

Meksykanin! Z Vegas. (Ja pierdykam, ci Meksykanie to faktycznie wszędzie pojadą, całkiem jak Chińczycy). Powiedział mi, że przyjechał trzy miesiące temu, trochę popracował, ale potem nic więcej nie znalazł.

– Policja wygoniła mnie z parku – wyjaśnił – więc teraz śpię tutaj, ale benzyna zaraz mi się skończy, a ja przez całą noc nie mogę wyłączyć silnika, bo inaczej zamarznę. Rozumiesz więc mój dylemat, *amigo*? Widzisz, jaki mam tutaj problem? Jak tylko zużyję resztki paliwa, zamienię się w mrożonkę. Ja cię nie proszę o jałmużnę. Nie chcę zapomogi. Widziałem, jak wychodzisz z tej knajpy. Może doskwiera ci samotność, albo coś w tym stylu? Mogę ci obciągnąć za dwadzieścia dolców. Nie proszę o jałmużnę, co to, to nie. Ja chcę na to zapracować. Dwadzieścia dolców?

– Słucham?

– No dobra, to może piętnaście? – W jego głosie brzmiała prawdziwa nadzieja.

Co to niby ma być, na rany Chrystusa, szanowny panie kaznodziejo?

Wściekłe, zdesperowane zadupie, oświetlone pomarańczowym blaskiem

neonów w przeraźliwie mroźną noc. Pokryte błotem, solą i lodem,

zamieszkane przez kundle na łańcuchu, które wylizałyby ci jaja, gdyby tylko dostały za to miskę zupy. Nie podobało mi się to miejsce. Ani śladu amerykańskiego snu. Nie tutaj. Nie ma tu czego szukać, trzeba iść dalej.

– Nie? Nie ma sprawy – powiedział. – W takim razie *muchas gracias* za papierosa. Niech ci Bóg błogosławi. Niech ci błogosławi. Tak jest. Niech ci Bóg błogosławi. Posłuchaj, przepraszam, że pytam, ale może masz jakieś drobne? Cokolwiek? Albo jeszcze jednego papierosa?

Żal mi było kolesia. Nie miałem serca mu powiedzieć, że prawdopodobnie wyceniał się znacznie poniżej średniej rynkowej. Przy takich stawkach musiałby obciągnąć pięć tysięcy kutasów, zanim zarobiłby te mityczne sto patyków. Dałem mu dziesięć dolców i fajkę na zapas.

– Dziękuję pięknie, *gracias*. Mam nadzieję, że jeszcze wyjdę na prostą, potrzeba mi tylko trochę szczęścia. Podobno szykuje się jakaś praca, jutro mają mi dać znać. Jakby to wypaliło, to skończyłyby się moje problemy.

Trochę szczęścia, nic więcej nie potrzeba.

Co się dzieje w tym kraju? Związki zawodowe są temu zdecydowanie przeciwne. Musimy jakoś odizolować naszą silną amerykańską gospodarkę od globalnej ekonomii, która chyba tylko czyha, żeby zrujnować nasz standard życia.

James P. Hoffa, przewodniczący Związku Zawodowego Teamsters Nigdy wcześniej żadne pokolenie nie miało jeszcze takiej szansy, jak my dzisiaj, żeby zbudować globalną gospodarkę, która nikogo nie pozostawi w tyle. To niepowtarzalna okazja.

Bill Clinton, były prezydent U S A

Już wcześniej o tym mówiłem, a teraz zrobię to raz jeszcze. Jesteśmy częścią gospodarki światowej. Nie zamierzamy tego zmieniać.

Barack Obama, były prezydent U S A

To ważny dzień w historii Michigan. Raz jeszcze pragnę podkreślić, że w najmniejszym stopniu nie jest to działanie wymierzone przeciwko związkom.

Wierzę, że jest to rozwiązanie propracownicze.

Rick Snyder, gubernator

Amerykański sen umierał. Nie tylko w Williston i wszystkich tych małych miasteczkach, skąd uciekli mężczyźni, którzy potem przyjechali na północ, ale również tam, gdzie się narodził.

Pewnego mroźnego popołudnia tysiące związkowców zebrało się na błoniach przed stanowym Kapitolem, gdzie ustępujące właśnie, w większości republikańskie władze głosowały nad ustawą „prawa do pracy". Michigan byłby dwudziestym czwartym stanem w USA, gdzie obowiązywałaby taka legislacja. Zdejmowała ona z pracowników zakładów związkowych obowiązek opłacania składek członkowskich przy jednoczesnym zachowaniu uprawnień do wszelkich świadczeń wynegocjowanych przez związek dla swoich członków. Był to ostateczny cios wymierzony w organizacje pracownicze, które i tak od dawna dogorywały. Nawet związkowcy nie lubią płacić składek. Kto przy zdrowych zmysłach zapłaciłby więc za coś, co mógł

otrzymać za darmo?

W analogicznej sytuacji byli pracownicy sektora publicznego w Wisconsin. I – podobnie jak w Wisconsin – gubernator stanu Michigan myślał, że jeśli zada negocjacjom zbiorowym cios miłosierdzia (on sam używał orwellowskiej nowomowy – lubował się zwłaszcza w takich frazach jak „rozwiązania propracownicze" i „wolność wyboru"), to droga do Białego Domu stanie przed nim otworem.

To był szok, przynajmniej dla związkowców z Michigan. Trzeba pamiętać, że organizacja United Auto Workers obchodziła właśnie rocznicę – powstała siedemdziesiąt pięć lat wcześniej w miejscowości Flint, niedaleko od stolicy stanu.

– Kurwa, nawet do setki nie udało nam się dociągnąć – poskarżył mi się

barczysty uczestnik protestu na schodach Kapitolu. W rękach trzymał

transparent z napisem: „Związkowiec na całe życie”.

Powiedziałem mu, że mam nadzieję, że ma jeszcze ubezpieczenie zdrowotne, bo życie trwa krócej, niż nam się wydaje. Nie roześmiał się.

– Ciebie to śmieszy? Tu jest Północ, kutasiarzu. Tu jest Michigan, a oni chcą z nas zrobić jebane Missisipi.

Missisipi. Był blisko, ale niezupełnie chodziło o Missisipi.

Niebieskie, szare i zielone

Alabama – Tennessee

Wiosna

Pośród rozległych, porośniętych orzesznikiem i sosną wzgórz Alabamy, gdzieś między Tuscaloosą a Birmingham, rozpościerają się ogromne zakłady Mercedes-Benz, w których trzy tysiące niezrzeszonych w żadnym związku zawodowym robotników montuje SUV-y dla mamusiek z przedmieścia i biedaprawników od wyciągania odszkodowań. Dziwne miejsce na fabrykę, pośrodku niczego, jakby firma chciała, żeby związkowcy nie mogli jej znaleźć.

Prawdę mówiąc, właśnie dlatego ją tutaj zbudowali, daleko, daleko na południu, w sosnowym lesie – żeby trzymać związki na bezpieczną odległość. Alabama, Georgia, Tennessee, Karolina Południowa oraz, a jakże, Missisipi. Ten obszar („pas słoneczny”, tak go nazywali) miał być nowym Detroit dla zagranicznych producentów samochodów. Rzeczywiście, przez ostatnie dwadzieścia lat przewinęli się tu wszyscy najwięksi gracze branży motoryzacyjnej: Volkswagen, BMW, Honda, Toyota, Nissan i Hyundai.

United Auto Workers, organizacja zrzeszająca pracowników sektora motoryzacyjnego, miała z tym jednak pewien problem, bo w żadnej z tych fabryk nie wymagano członkostwa w związku zawodowym. W 1997 roku

Mercedes-Benz otworzył tu zakład i na razie produkcja szła całkiem nieźle.

W Alabamie obowiązywała zasada „prawa do pracy" i nie trzeba się było zapisywać do związków – Jankesi zawsze sieją zamęt, więc po co im to ułatwiać?

Zaparkowaliśmy na poboczu pod główną bramą fabryki i postanowiliśmy zacząć od kilku szerokich ujęć gigantycznego zakładu lśniącego srebrem, ociekającego wielomiliardowym, ultranowoczesnym dostojeństwem, jakiego próżno szukać w pasie rdzy. Jednak ledwo zdążyliśmy wyciągnąć statywy z furgonetki, a już podjechały do nas mięśniaki w SUV-ach Mercedesa.

Sprytnie. Na pierwszy rzut oka było widać, że jesteśmy obcy – samochód z wypożyczalni, kamery, przystrzyżony zarost. Pewnie lewaki, hipisi, może nawet socjaliści. Albo jeszcze gorzej, elitaryści z północnych mediów.

Liberały. Ochroniarz wysiadł z auta, założył kapelusz i poprawił pas.

Prawdziwy szeryf Buford Pusser, nie ma to tamto. Przez krótkofalówkę podyktował dyspozytorowi numer tablicy rejestracyjnej naszego samochodu, w milczeniu zmierzył nas wzrokiem, po czym zażądał dowodów tożsamości.

Tak po prostu. Żadnego: „Dzień dobry, panowie" ani „Siemano, chłopaki".

Od razu: „Dokumenty poproszę".

Mam wielki szacunek dla policji. Zyskałem go dość wcześnie, kiedy jako nastolatek postanowiłem z kumplami włamać się do pustego skrzydła apartamentowca. Kradzież z włamaniem to nie był dla nas chleb powszedni, szło nam kiepsko, ale też niczego nie kradliśmy. Po prostu bakaliśmy zioło i piliśmy piwo, gdy nagle zjawili się policjanci. Nie pamiętam, żeby prosili o dokumenty. Zabrali nas na tyły budynku, a potem kilkoma szybkimi, precyzyjnymi ciosami w nerki nauczyli nas szacunku. Zawsze uważałem, że wyświadczyli mi tym przysługę. To było jak dzwonek alarmowy. Punki takie jak my zazwyczaj kończyły w więzieniu albo jeszcze gorzej, w tym samym pustym apartamentowcu nad zanieczyszczoną rzeką. Na szczęście mieszkam teraz w domu przy autostradzie międzystanowej, więc poszło mi w życiu

lepiej, niż się spodziewałem, biorąc pod uwagę okoliczności. I – jak już wspomniałem – wpojono mi szacunek dla policji. Nauczono mnie *słuchać*.

Mam jednak również szacunek dla takich pojęć jak podstawa prawna i niewpieprzanie się w cudze sprawy. Kto punkiem za młodu nasiąknie, ten zawsze punkiem trąci, jak to mawiają. Tyle że teraz byłem punkiem z legitymacją prasową.

(Uwaga: to jest legitymacja domowej roboty. Z jakiegoś powodu nasza firma nie dawała legitymacji reporterom. Może myśleli, że nie są nam potrzebne. Może kierownictwo nie wierzyło, że zajmujemy się prawdziwymi wiadomościami. Jednak dobre papiery są bardzo ważne, gdy usiłujesz dopchać się do korytarzy władzy, musisz pokazać coś, co wygląda oficjalnie, żeby jakiś kmiot z osiedla przyczep nie ukradł ci sprzętu, albo gdy nadęty ochroniarz z marketu próbuje podbudować własne ego twoim kosztem. Tak czy inaczej, wzięliśmy własne zdjęcia, dołożyliśmy logo stacji, na to przykleiliśmy kod paskowy wycięty z opakowania po batoniku, dodaliśmy jakieś farmazony w stylu MEDIA – PRASA – OFICJALNA LEGITYMACJA

R E P O RT E R S K A , wsadziliśmy to w laminat, przyczepiliśmy sznurek na szyję i *voilà*! Legitymacja prasowa jak malowana).

Przepraszam za dygresję. Wróćmy do naszego szeryfa.

Było w tym kolesiu coś, co mnie strasznie wkurwiało. Całe to niepotrzebne kozaczenie. „Dokumenty poproszę” . Byliśmy na terenie autostrady, nie miał tu żadnej jurysdykcji. Gówno ci pokażę.

– Na jakiej podstawie? – zapytałem go. (Śmiałem się w duchu, wyobrażając sobie, co tak naprawdę powinien teraz robić: ktoś w kantynie wrzucił puszkę po napoju do zwykłego kosza zamiast do odpadów metalowych, panie władzo. Pan się tym zajmie, biegusiem).

– Jesteście na terenie prywatnym – odpowiedział człowiek z fabryki.

Miał na głowie taki sam kapelusz, jaki nosi się w policji stanowej, ale do niej

nie należał. Ot, kolejny tyran, któremu płacą dziesięć dolców za godzinę za zastraszanie ludzi. W tym kraju roi się od takich gości. W końcu z czegoś trzeba żyć. Amerykański sen.

– To jest droga publiczna – odpowiedziałem.

– Wstrzymujecie ruch.

– Stoimy na poboczu – zripostowałem jego ciętą ripostę. – Skoro wstrzymujemy ruch, proszę zadzwonić po policję. Tę prawdziwą.

– Posłuchaj, synu…

– „Synu”? Raczej „proszę pana”. Nie jesteśmy na ty – odpowiedziałem, wymachując mu przed twarzą swoją lewą legitymacją.

– Posłuchaj, *synu*…

No więc zaczęliśmy go filmować.

– Śmiało – powiedziałem. – Proszę dzwonić po policję. My tu sobie zaczekamy.

Bob podszedł z włączoną kamerą kilka kroków bliżej, żeby koleś miał

piękne zbliżenie.

Powoli przyzwyczajałem się do takich akcji. Tak samo przyjęli nas dzień wcześniej, w Chattanooga w stanie Tennessee. Zarząd UAW wydał pięć milionów dolarów na kampanię, która miała przekonać robotników w fabryce Volkswagena, by przystąpili do organizacji, ale w głosowaniu większość szeregowych pracowników opowiedziała się za odrzuceniem związku, więc Jankesi musieli wrócić na Północ jak niepyszni. To była ogromna porażka.

Chattanooga miało być pierwszą kostką domino, a zaraz potem – zakłady Mercedesa, czyli klejnot w koronie. To miało być takie proste. Kierownictwo

Volkswagena prawdziwie po europejsku zachowało neutralność, a nawet

wpuściło związkowców z UAW na teren fabryki. Mimo to związek przegrał, a filia w Tennessee dołączyła do wąskiego grona czterech zakładów VW na świecie niezrzeszonych w żadnej organizacji pracowniczej; pozostałe znajdują się w Rosji i Chinach.

Szefowie związku obwiniali o to zewnętrznych agitatorów, opłacanych z kieszeni braci Kochów. Wzdłuż drogi międzystanowej pojawiły się billboardy przedstawiające opustoszałą fabrykę samochodów Packard, podpisane: „Detroit. Tak działa UAW”.

Izba Handlowa, senatorowie amerykańscy, a nawet gubernator stanu Tennessee zębami i pazurami bronili się przed UAW. Grozili cofnięciem ulg podatkowych i rozpowszechniali pogłoski o tym, że wszystkie firmy, nie tylko VW, przeniosą miejsca pracy do Meksyku. Faktycznie, przydupasy bogaczy ostro działały w Tennessee.

Z jednym takim typem, który wymyślił ten billboard, spotkałem się w Starbucksie przy autostradzie. Elegant z Manhattanu w dopasowanym garniturze i ciemnych okularach, tak miękki, że gdyby mu przywalić poduszką, to pewnie by się wykrwawił. Popijał latte. Pracował dla szemranej organizacji o nazwie Robotnicze Centrum Wolności. Źródła jej finansowania nie chciał ujawnić.

– Bardzo mi zależy, żeby ludzie dobrej roboty mogli godziwie zarabiać –

przekonywał mnie i tłumaczył, że właśnie po to tu przyjechał, zadbać o interesy robotników i przypilnować, żeby nie zrobili czegoś drastycznego, na przykład nie zagłosowali za związkiem zawodowym, przez co szef będzie musiał przenieść miejsca pracy, a co za tym idzie, także zarobki do Meksyku.

Po prostu na sercu leżało mu dobro maluczkich, i tyle.

– Jak to z tym jest? – zapytałem. – Winę za likwidację części miejsc pracy w amerykańskich zakładach przemysłowych można zrzucić na rozwój technologii, ale gdybyśmy nie podpisali porozumień NAFTA i WTO, niektóre udałoby się uratować, a związki zawodowe miałyby dzisiaj silniejszą kartę przetargową. A tak wielu ludziom nie zostało nic oprócz pracy w

centrum handlowym za dziewięć dolarów za godzinę.

– Wcale nie muszą zarabiać dziewięciu dolarów za godzinę – powiedział, wyraźnie mając na myśli, że gdyby tylko naprawdę się postarali, to znaleźliby sobie coś lepszego.

– Gówno prawda. Dziewięć dolców za godzinę, nic innego nie ma.

Na takie *dictum* Pan Latte nie miał odpowiedzi, bo dobrze wiedział, że teraz, gdy po długich zawirowaniach rynek nieruchomości w końcu się załamał, jedyne, na co poza fabryką mógł liczyć facet bez wyższego wykształcenia (a coraz częściej także i z dyplomem), to praca w przydrożnym McDonaldzie.

A jednak oczekiwano, że łykniemy historyjkę rozpowszechnianą przez związkowców i powtarzaną potem przez media, że ten siorbiący latte pizdeusz jakimś cudem potrafi przekonać całą załogę fabryki, wszystkich tych twardych robotników, że gdyby się zebrali i wspólnie zaczęli domagać podniesienia płac i poprawy warunków pracy, toby się to dla nich źle skończyło.

Serio?

A może było po prostu tak, że nikomu z UAW nie udało się dotrzeć do Południowców ani wyjaśnić im, dlaczego przemysł samochodowy zatrudniał

teraz więcej ludzi z Meksyku niż z USA. Pracownicy wiedzieli, że w Michigan przeszła ustawa o „prawie do pracy", a UAW mogło tylko bezsilnie się temu przyglądać. W skali całego kraju mniej niż siedem procent zatrudnionych w prywatnych przedsiębiorstwach należało do jakiegoś związku zawodowego. I nikt nie palił się, żeby to zmieniać.

Co teraz? Jaki był plan? W którą stronę to wszystko zmierzało?

Pojechałem do centrali UAW w Detroit, żeby o to zapytać, ale wywalili mnie na zbity pysk. Szefom związków w Chattanooga zakazano z nami gadać.

Volkswagen nie miał nic merytorycznego do powiedzenia, ale nasłał na nas

swoich karków na przeszpiegi, gdy rozmawialiśmy z grupą robotników za parkingiem. Powoli do mnie docierało, że cała branża motoryzacyjna jest wrogo nastawiona, chamska, skryta i ogarnięta paranoją, co wyjaśniałoby, dlaczego wizyta w wydziale komunikacji i transportu to droga przez mękę.

Zmyliśmy się więc chyłkiem do Alabamy, bo wydawało nam się, że tam na spokojnie dokończymy program, podczas gdy całą uwagę skupiono na Chattanoodze.

Łypiąc spode łba na włączoną kamerę, kapral Pała, ochroniarz z fabryki Mercedesa, mruknął pod nosem, że lepiej by było, gdybyśmy się pospieszyli, po czym odjechał kawałek dalej i zaparkował za bramą główną. Włączył

światła i skierował je prosto na nas. Trzeba mu przyznać, że poważnie podchodził do swojej pracy.

Zadzwoniłem do pracownika Mercedesa, z który byłem umówiony pod bramą, i uprzedziłem go, że pełno tu ochroniarzy, więc o ile nie ma ochoty, żeby go rozebrali do gaci i tu i ówdzie mu pozaglądali, może powinniśmy się przenieść w jakieś ustronniejsze miejsce. Przyznał mi rację. Ale zanim wyruszyliśmy, nieśpiesznie powiedziałem parę słów do kamery, trochę pustych słów i analiz, których nie mieliśmy zamiaru potem wykorzystywać.

Chcieliśmy po prostu, żeby kapral Pała się wkurwił.

Mój łącznik wybrał na spotkanie knajpę z grillem przy drodze krajowej.

Tim Earnest, był dokładnie taki, jak sugerowało jego nazwisko – prosty, bezpretensjonalny biały facet w średnim wieku, który od ponad dziesięciu lat pracował w fabryce Mercedesa, i bardzo mu to odpowiadało. Kiedyś miał do pracy ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, ale odłożył z wypłaty i kupił dom bliżej zakładów. Odwieczny amerykański sen. Pracuj ciężko. Dobrze zarabiaj. Oszczędzaj. Kup dom. Szczęśliwa żona. Szczęśliwe życie.

Earnest przyprowadził grupę równie skromnych współpracowników przeciwnych związkowi, w tym kobietę, która kiedyś, dawno temu, mieszkała w rejonie Detroit.

Wyjaśnił, że nie chcieli UAW z całkiem prostej przyczyny. Czy związek uchronił pracowników „wielkiej trójki” branży motoryzacyjnej, których miejsca pracy przeniesiono teraz do Meksyku?

Miał rację. Dlaczego nikt się za nimi nie wstawił? Na co poszły ich składki? Earnest i jego współpracownicy byli zgodni, że dla Niemców dobrze się pracuje. Płacą dwadzieścia dolarów za godzinę i zapewniają opiekę zdrowotną oraz plan emerytalny. Po co to psuć? Po co ta agitacja, skoro mamy tu tak dobrze? Jaka jest strategia na te nowe czasy? Dlaczego mieliby zrazić do siebie firmę i dać jej powód, by tęsknym wzrokiem zaczęła spoglądać w stronę Guadalajary?

Można zrzucać winę na prawicowych agitatorów, kongresmanów z Partii Herbacianej albo braci Kochów, ale ci ludzie mieli własny rozum i motywy, które wydały mi się jak najbardziej sensowne. Nikt tutaj nie chciał stracić pracy i jechać do Dakoty Północnej za chlebem. Zarabiali mniej więcej tyle samo co zrzeszeni w związku robotnicy na Północy. Po co grzebać w czymś, co dobrze działa? Zamiast drażnić niemiecką firmę, lepiej jej zaufać.

Wystarczy spojrzeć na Detroit, Janesville, Wisconsin czy jakikolwiek uprzemysłowiony region Ameryki, aby zdać sobie sprawę, że UAW – ani żaden inny związek zawodowy – nie zdoła powstrzymać marszu globalizacji.

Na co idą twoje składki? Co z nich masz? Kilkuset związkowych przewodniczących, których w życiu nie zobaczysz na oczy, a którzy wyciągają te mityczne sto kawałków? Związek wydający twoje ciężko zarobione pieniądze na kandydatów politycznych, których nie popierasz?

Kandydatów, którzy potrafią wyłącznie przekładać papiery? Dziękuję uprzejmie. Jeśli chodzi o pracę, to jeden pies, czy masz do czynienia z republikaninem, demokratą czy przewodniczącym związku zawodowego.

Przynajmniej tak tu u nas mówią.

– Bill Clinton podpisał porozumienie NAFTA – ciągnął Earnest. – Obama popiera ten wielki układ handlowy z Azją. Dla nas, robotników, nic dobrego z tego nie wyniknie. To się zawsze kończy tak samo. Nie chcę jałmużny.

W życiu nie wziąłem ani centa zasiłku. Chcę po prostu pracować. Nic tu po związkach. Z nimi są tylko same kłopoty.

Biuro lokalnego oddziału UAW mieściło się niedaleko knajpy, więc pomyślałem sobie, że może do nich wpadniemy. W Tennessee wszystko się rypło, więc co zamierzali zrobić w Alabamie? Wszedłem do środka.

Działacze popatrzyli po sobie, a potem skierowali na mnie spanikowane oczy. Każdy powiedział swoje: „Bez komentarza”, po czym wystawili nas na chodnik i zamknęli drzwi na klucz.

Rzuciłem w kierunku zamkniętego okna, że gdybym miał ochotę na takie przyjęcie, to zostałbym w Detroit, gdzie ochrona UAW miała stały rozkaz pilnować, bym nie wszedł na teren siedziby. A teraz stałem na ulicy jakiejś wiochy w Alabamie i zastanawiałem się, czy takie same zalecenia obowiązują na całym świecie. Może przewodniczący każdego oddziału ma teraz w biurze moje zdjęcie.

Obok kanciapy UAW znajdował się punkt sprzedaży tanich papierosów.

Powolnym krokiem zbliżył się do niego klasyczny zawodnik – czapka z daszkiem, obwisłe dżinsy i kudłata broda, która zarastała mu obwisłe usta.

On mnie zapytał o kamerę. Ja go zapytałem o związki zawodowe.

Powiedział, że pewnie, dobrze zna związki, bo kiedyś pracował w hucie w pobliżu Birmingham, teraz już dawno zamkniętej. Nawet jeśli kiedykolwiek miał na ich temat dobre zdanie, to je zmienił, gdy przestały przychodzić czeki z zasiłkiem dla bezrobotnych. Kto wie, może i związek miał kiedyś jakieś ambicje, ale to samo można powiedzieć o nim samym.

A teraz się nie liczył. Teraz był zaledwie jednym punktem w comiesięcznym raporcie gospodarczym, jednym z milionów ludzi, o których zapomniał

mający ich serdecznie w dupie rząd. Tyle że on właśnie stał tu przed nami.

Może i dzięki umowie o wolnym handlu ceny faktycznie spadły, ale co ci po

tym, jeśli nie masz pracy?

– Pan się mie pytasz o związki? Ha, ha. Zniszczyły gospodarkę.

To było jasne. W Ameryce każdy był teraz zdany na samego dla siebie.

Swobodny przepływ kapitału przez granice międzynarodowe sprawił, że ktoś taki jak on stał się zbędny. Łapał, co się dało, zanim zabiorą mu talerz.

Związek zawodowy jest zajebisty, jak dostajesz wysoką pensję. Ale staje się twoim wrogiem, kiedy przez niego nie możesz znaleźć porządnej pracy.

Żadna firma nie chce otworzyć fabryki, jeśli będzie musiała użerać się ze związkami zawodowymi. Albo kiedy szef związku zamiast ciebie zatrudnia bratanka.

W dzisiejszej Ameryce nawet nie próbuj pouczać robotników z Południa na temat solidarności, braterstwa, wspólnego poświęcenia czy stażu pracy, chyba że chcesz ich rozśmieszyć. Nikt cię nie pyta o staż pracy, gdy starasz się o stanowisko operatora szczoty do podłogi albo podcierasz obsrane tyłki staruszkom w domu spokojnej starości.

– Czym się żywisz? – zapytałem go.

– Mam pełną zamrażarkę wiewiórek.

Wiewiórki? Ja pierdykam, pomyślałem, czy naprawdę już do tego doszło?

Opiekamy gryzonie na grillu? Odjechał poobijanym pickupem, a ja zostałem na parkingu i próbowałem sobie wyobrazić, że ten koleś mieszka pewnie gdzieś na głębokim zadupiu pośrodku lasu i szykuje się na apokalipsę z zamrażarką pełną zdechłych wiewiórek, skrzynią amunicji i kartonem lewych papierosów. On nie modlił się o wniebowstąpienie. Modlił się o to, żeby z ciężarówki zaopatrzeniowca spadły choć ze dwa mrożone indyki.

Facet na głębokim Południu z zapasami wiewiórczyny w zamrażarce. Jezu.

Ale ludzie chodzili głodni, a człowiek dla chleba zrobi wszystko. Nie tylko na

Południu. Nie inaczej było na Północy, w moim rodzinnym mieście.

Na molo siedzi sobie wędkarz i łowi ryby. Nagle patrzy, a tam noga.

Potem druga. I jeszcze jedna. Nogi nie występują trójkami, tyle to pamięta z biologii. Kawałki trupów – białych trupów – wypływają na brzeg rzeki Detroit. W wodzie unosi się prześcieradło – prąd miota nim tak, że wygląda jak żagiel szkunera. Poniżej linii wody widać też walizkę i piłę łańcuchową.

Wędkarz wzywa policję.

Zjawia się też facet z telewizji.

– Hej, ja ciebie skądś znam! – krzyczą do niego wędkarze. Tam, gdzie nikt nigdy nie przyjeżdża, dziennikarz telewizyjny to prawie celebryta. Strzelamy selfiki. Trupy niesie prąd, my niesiemy dobrą nowinę. Jak cię postawią na tle poćwiartowanego truposza, to od razu wiesz, żeś się, synu, przebił w tej przypałowej branży.

Uśmiech numer pięć!

W końcu przyjeżdżają panowie władzowie z wydziału zabójstw. Paru czarnych wędkarzy nadal twardo łowi z mola, ale pilnują, żeby zarzucać za tę pływającą jatkę. Tego nikt by nie wymyślił. Naturalna interakcja pomiędzy białym gliniarzem a czarnym świadkiem. Oni kontra my. Głodni kontra Władza. Tego nie zobaczycie w wiadomościach – to zbyt skomplikowane, za bardzo prawdziwe.

– A pan co tu najlepszego odpierdala? – wrzeszczy detektyw. – To jest miejsce zbrodni!

Wędkarz wskazuje głową kubeł pełen ryb.

– Akurat zaczęły brać. To co mam robić?

Jeden kolor – czerwony jak krew

Detroit

Wiosna

Stary dom po moim dziadku na Birwood Street był wystawiony na sprzedaż, cena wywoławcza: około pięciuset dolarów. Tak było od lat. Pomyślałem o dziadku i domu, który zbudował własnymi rękami w dzielnicy West Side w Detroit. Zawsze sobie mówię, że muszę go kiedyś kupić i wyremontować.

Ale wiem, że to nieprawda. Nigdy go nie kupię. Okolica jest za bardzo zdewastowana. Sklepowe witryny są zabite deskami, dachy budynków się pozapadały. Rzędy opuszczonych domów, bez okien, bo aluminiowe ramy ktoś dawno wyrwał i sprzedał na złom. Od czasu do czasu gdzieś widać zasłonkę.

Mój dziadek był czarny, kiedy przyszedł na świat w Baton Rouge, a biały, kiedy umierał w Detroit. Przyjechał na Północ i postanowił się podszyć. Nie mnie go za to osądzać. W Ameryce życie, rasa i klasa to rzeczy skomplikowane i pełne paradoksów. Ale białemu jest łatwiej. Dziadek o tym wiedział. Wszyscy o tym wiemy.

Myślałem o dziadku, gdy chodziłem po kompletnie zdewastowanej dzielnicy East Side. Zbierałem materiał do reportażu o człowieku, którego tłum zmasakrował, bo chwilę wcześniej przypadkowo potrącił dziecko.

Dzieciak wszedł mu pod koła, bo wybiegł na ulicę w ramach idiotycznego wyzwania. Kierowca zatrzymał się przed stacją benzynową i wysiadł, żeby udzielić pierwszej pomocy, a wtedy brutalnie go zaatakowano.

Huczało o tym w całym mieście. W całym kraju. W całym internecie.

Strach rozprzestrzeniał się w postępie geometrycznym. Elektronicznym.

Podejrzewam, że po tym, co się tam wtedy stało, wiele osób w Detroit kupiło broń. A jeśli nie mieli broni, to raczej nie zatrzymywali się, żeby zatankować.

Smaczku całej historii dodawał fakt, że kierowca, Steve Utash, był biały. Jak zeznali świadkowie, grupa napastników składała się z kilkunastu czarnych

mężczyzn. Wokół nich zebrał się tłum gapiów i patrzył, jak masakrują Utasha niemal na śmierć. Uratowała go Deborah Hughes, ciemnoskóra emerytowana pielęgniarka, która nosiła w torebce kaliber trzydzieści osiem.

Dotarłem do Hughes przez znajomego. Ukrywała się we własnym mieszkaniu, bała się wyjść na zewnątrz. Mieszkała w dwupoziomowym bloku, który wyglądał, jakby dawniej działał tu motel. W oknach i drzwiach tkwiły kraty. Hughes powiedziała mi, że w dniu ataku na Utasha zobaczyła przez okno sypialni agresywny tłum, złapała za broń i pobiegła na miejsce, choć wiedziała, że ryzykuje życie. Sprawdziła, w jakim stanie jest dziecko, które – jak się okazało – nie odniosło żadnych poważnych obrażeń, po czym zasłoniła pana Utasha własnym ciałem i oznajmiła, że wpakuje kulkę następnej osobie, która go uderzy.

– Co mnie obchodzi, jakiego jesteś koloru – powiedziała, kiedy zapytałem ją o to zdarzenie. – Wszyscy krwawimy na czerwono.

Ostatecznie czterech dorosłych mężczyzn usłyszało wyrok za napaść i pobicie z ciężkim uszczerbkiem na zdrowiu, a jeden młodociany został

skazany za napaść z zamiarem pozbawienia życia; zarzut zastraszenia na tle etnicznym został wycofany. Utash, którego po pobiciu ledwo można było rozpoznać, spędził dziewięć dni w śpiączce, ale przeżył.

Czy

pobicie

miało

coś

wspólnego

z

kwestiami

rasowymi?

Prawdopodobnie tak. To przecież jest Ameryka. To jest Detroit.

Uzbieraliśmy całą kartotekę. W mieście trzykrotnie doszło do poważnych zamieszek na tle rasowym. Za mojego życia, w 1982 roku, dwaj biali robotnicy, którzy właśnie stracili pracę, tak się wściekli na Japonię za kryzys amerykańskiego przemysłu samochodowego, że pobili na śmierć Amerykanina chińskiego pochodzenia, bo wzięli go za Japończyka. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku biali policjanci poszli do więzienia za pobicie na śmierć czarnego kierowcy. Rok wcześniej biały facet zastrzelił czarną kobietę, która chodziła po okolicy – zepsuł się jej samochód i prawdopodobnie szukała pomocy. A teraz to, pomyślałem sobie. I tak to się kręci. Czarny tłum. Biały strach. Więcej broni.

– Musisz być odważny, skoro tu przyjechałeś – powiedział starszy Arab przed sklepem z zakratowanymi oknami na rogu budynku, w którym mieszkała Hughes, po drugiej stronie ulicy od stacji benzynowej, gdzie pobito Utasha.

– Widziałem, jak bili tego człowieka – dodał. – To obrzydliwe. Rabują,

kradną, niczym się nie przejmują. Lepiej się tu nie kręć – ostrzegł mnie.

O proszę, oto ci wszechobecni ONI.

O N I rabują mój sklep. O N I kradną mi opony. O N I depczą mi po karku.

– To była zwykła wściekłość – wyjaśnił mi młody ciemnoskóry facet w sklepie monopolowym, który dopełniał ogólnego obrazu dysfunkcji.

Wściekłość. To poczucie, że ONI nas ograniczają. ONI nie dają nam żyć.

I znowu. ONI. ONI nas ograniczają. ONI nie dają nam żyć . O jakiej wściekłości mówił? Co takiego się zmieniło, czego ONI wcześniej już nie przeżyli? ONI. Co MY moglibyśmy zrobić dla NICH?

Kiedy w Ameryce zacznie chodzić o NAS?

Niestety, po ataku na Utasha nie rozmawiało się o NAS. Nie chodziło o człowieka, który zatrzymał się, żeby zrobić to, co trzeba. Nie chodziło o Deborę Hughes, wymachującego pistoletem anioła miłosierdzia, która poza czerwienią krwi nie rozróżniała żadnego innego koloru. Nie chodziło o użycie uzasadnionej siły ani o sens noszenia przy sobie broni. O to w ogóle nie chodziło. Jedyne, o co chodziło, to ONI .

Biali pytali, gdzie byli ONI, ci ze starej szkoły obrońców praw obywatelskich, którzy zwykle protestowali przeciwko takim napaściom?

Gdzie był pastor Al Sharpton? Dlaczego Jesse Jackson potrzebował prawie dwóch tygodni, żeby się wypowiedzieć? Biali nie chcieli, żeby do miasta przyjechali słynni działacze praw obywatelskich, urządzali tu marsze i wykrzykiwali swoje hasła. Wyglądało na to, że domagali się od przywódców tych organizacji przyznania, że czarni też ziali nienawiścią rasową.

Ale przywódcy w całym kraju, a szczególnie w Detroit, milczeli. Ktoś zorganizował zbiórkę na leczenie Utasha, ale potrzeba było ponad tygodnia, żeby urządzono na jego cześć nocne czuwanie, gdy wciąż jeszcze leżał

w śpiączce. Do tamtej pory nawet Mike Duggan – pierwszy od czterdziestu lat biały burmistrz Detroit, który zwyciężył w wyborach – nie wypowiedział

się publicznie na temat wydarzenia (wydał co prawda ogólnikowy komunikat prasowy i zamieścił wiadomość na Twitterze). Nie zrobił też tego żaden członek rady miasta. Ani prezydent Obama. Tego nie dało się usprawiedliwić wściekłością i poczuciem beznadziei. Całe Detroit – zarówno czarni, jak i biali – zauważyło to milczenie.

Trzej czarni mężczyźni, z którymi rozmawiałem na stacji benzynowej, przyznali, że to powinno działać w obie strony. Powiedzieli, że Utash musi

być szlachetnym człowiekiem, skoro zatrzymał się, żeby pomóc, a w tym mieście mieszka wiele osób, którym nawet nie przyszłoby to do głowy.

Wyśmiewali milczenie władz i liderów. Chcieli wiedzieć, dlaczego burmistrz ani razu nie pojawił się w ich dzielnicy. Znali historię. Byli Amerykanami.

Wiedzieli również, że nie można oczekiwać, że to ci liderzy znajdą rozwiązanie problemu.

Wiadomo, że w Ameryce białym też nie jest łatwo, zwłaszcza gdy ledwo dają sobie radę w takim miejscu jak Detroit. Robisz tyle, ile możesz.

Wystarczy zapytać Utasha leżącego w szpitalnym łóżku.

Zorganizowano zbiórkę na pokrycie kosztów jego leczenia. Na imprezę, która odbywała się w miejscowym barze, przyszedł syn Utasha, osobiście odebrał gotówkę i życzenia zdrowia dla ojca. Następnie udał się do urządzonej w stylu egipskim knajpy ze striptizem przy Ósmej Mili. Według tego, co później powiedzieli mi policjanci i striptizerki, Junior spędził w tym przybytku upojną noc. Skończyło się na tym, że zadzwonił po policję i poskarżył, że jedna z tancerek ukradła mu półtora tysiąca dolarów.

Zapytany o ich pochodzenie, rozpłakał się, po czym zmienił front i stwierdził

nagle, że nieco zawyżył skradzioną kwotę. Tak naprawdę było to tylko czterysta dolarów, które – jak się zarzekał – zostały mu z zasiłku dla bezrobotnych, i z całą pewnością nie były to pieniądze ze zbiórki na leczenie ojca.

Możliwe. Kto wie? Życie jest podłe i skomplikowane, a pieniądze nie spadają z nieba. Poza tym sami wiecie, jacy z NICH ludzie.

Tymczasem obdzwaniałem znajomych, żeby znaleźć nowe mieszkanie dla Debory Hughes. Tylko od niej zależało, czy garstka bandytów zostanie na wolności, czy pójdzie do więzienia. Prędzej czy później ktoś by ją zabił. Ale nie chciała się wyprowadzić.

– Chodzi o zasady – powiedziała. – ONI nie wypędzą mnie z mojego własnego domu.

O N I .

Tego dnia, gdy pobito Utasha, w Ameryce nastąpiła kolejna eksplozja wściekłości, dla odmiany na Zachodzie. Tym razem byli to biali i to ONI mieli broń. Sprawy toczyły się szybko, więc my też się nie ociągaliśmy.

Ostatni bastion białych

Nevada

Wiosna

Słońce wzeszło nad pustynią, a nas ogarnęło poczucie całkowitego i bezbrzeżnego skaszanienia. Czy winę za to ponosiło wątpliwej jakości zioło, które udało nam się skołować poprzedniego wieczoru pod niemrawym kurwidołkiem pośród zimnych, pustynnych gór? Byłem przekonany, że ktoś musiał do niego dodać wybielacza albo jakiegoś kadzidełka. W nosie paliło mnie żywym ogniem, flaki mi się przelewały, a jak okiem sięgnąć nie było ani jednego toi toia, ani nawet krzaka. Minęliśmy pluton spasionych rewolucjonistów, którzy rozłożyli obóz wzdłuż przęsła mostu rozpiętego nad rzeką Virgin. Siedzieli na krzesłach ogrodowych przed przyczepami umajonymi po sam dach flagami i napisami: „Waco”, „Ruby Ridge”

i „Alamo!”.

A może czułem się nieswojo przez snajpera, który stał na szczycie okopu wzmocnionego bryłami piaskowca i obserwował nas przez lornetkę, a lufa jego karabinu połyskiwała w słońcu. Przejechaliśmy przez most, a wtedy pojawił się jeszcze jeden wartownik, groźnie wyglądający wąsacz z automatem w dłoni, ubrany w oliwkowy kombinezon, kamizelkę kuloodporną i beret. Pilnował drogi dojazdowej do posiadłości Clivena Bundy’ego.

W zasięgu wzroku nie było ani jednej odznaki, bo wszystkich policjantów, agentów federalnych oraz zastępców szeryfa przegonili kilka dni wcześniej uzbrojeni bojówkarze i hodowcy na koniach, przy dopingu znudzonych mieszczan z przedmieść, którzy przyszli popatrzeć sobie na western na żywo,

a teraz siedzieli w przydrożnej knajpie i jedli na śniadanie naczosy maczane w sosie ranczerskim. *¡Viva la revolution!* A ten nowy dzbanek niekapek to prawdziwy cud ludzkiej pomysłowości!

Mieliśmy kilka godzin do tak-jakby-prawie-umówionego spotkania z Bundym, przywódcą całej tej przygody. Bundy pozostawał w stanie wojny z rządem federalnym od dwudziestu lat, odkąd uznał, że ma prawo do wypasu trzody na terenach publicznych za darmo. Teraz doszedł do wniosku, że nadszedł czas na ostateczne starcie. Pomyślałem, że lepiej nie drażnić kolesia w berecie, bo się jeszcze wkurwi. Dlatego postanowiliśmy podjechać do obozu bojówkarzy przy rozwidleniu w drodze na ranczo Bundy'ego i tam poczekać na wezwanie.

– Tylko bez popeliny – zapowiedziałem kamerzyście Bobowi, który dla ochrony przed słońcem owinął sobie łysy, pokryty plamami czerep bandaną ze wzorem w amerykańską flagę. Wystarczy jeden pochopny ruch, a komuś mogą puścić nerwy, zwłaszcza jeśli weźmie nas za federastów, szpicli z brygady antynarkotykowej albo przyjaciół sądu. Bob bardzo lubi broń i zawsze strasznie jara się na jej widok. A że wszyscy byliśmy skacowani po spaleniu lewego materiału, to pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli rozegramy to powolutku i bez zbędnej napinki. Oparłem się o samochód i zapaliłem papierosa. Wtedy właśnie dobiegł mnie znajomy kowbojski akcent.

– A niech mnie! Charlie, to naprawdę ty?

A niech mnie. Psinka we własnej osobie. Nie sposób było go z kimkolwiek pomylić: solidny kałdun, srebrzysta broda, goły do pasa, w buciorach, szortach khaki i wojskowym kapeluszu z szerokim rondem.

Weteran armii i emerytowany rybak. Miał sześćdziesiąt pięć lat i był

chodzącym bulgoczącym kociołkiem chaosu i teorii spiskowych, ochotnikiem niezliczonych obywatelskich kampanii przeciwko rządowej tyranii, federalnym zakusom, intruzom, którzy przekraczali granice i ogólnemu spizdowaceniu amerykańskiego ducha. Założył paramilitarny oddział bojówkarzy o nazwie Strażnicy Gór z siedzibą na Południowym Zachodzie, a ja poznałem go jakieś osiem lat wcześniej, kiedy byłem

dziennikarzem prasowym – wówczas po raz pierwszy zrobił z siebie widowisko na skalę ogólnokrajową.

W tamtym czasie trzymał wartę na granicy kalifornijsko-meksykańskiej, a jego rejonem działania stało się wzgórze położone bezpośrednio na szlaku przemytu wykorzystywanym przez kartele, chociaż nikt go o to nie prosił.

Uznał, że będzie tkwił na posterunku dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Zatknął wielgachną amerykańską flagę na dziesięciometrowym kiju, za pas wsadził czterdziestkę piątkę i tak sobie

mieszkał we względnie luksusowych warunkach, w przyczepie kempingowej z toaletą. Napisałem artykuł o nim i o wojnie, którą zapamiętale toczył –

bynajmniej nie z nielegalnymi imigrantami, bo jakoś żadnego nie udało mu się zatrzymać, ale z Cyklopem, jednookim weteranem z Wietnamu, który zorganizował sobie wartownię na sąsiednim wzniesieniu.

Przyczyną wojen często bywają kompletnie idiotyczne i błahe wydarzenia.

Ci dwaj mężczyźni, niegdyś przyjaciele i sąsiedzi, pokłócili się o pieska.

Najpierw wymienili słowa. Następnie obelgi. Cyklop przeniósł się na inne wzgórze. Psinka odpowiedział serią prowokacji – podał w wątpliwość wojenne bohaterstwo Cyklopa, przyrównał go do męskich narządów płciowych i wysmarował mejl do CNN, w którym nazwał rywala świnią i imputował, że ów mieszka w kociej kuwecie. Efektem była bójka na głównej ulicy przygranicznego miasta, gdy obaj przypadkiem w tym samym czasie zeszli ze swoich pagórków po wodę i zapasy. Cyklop, zawodnik energiczny i żylasty, czterokrotnie dał Psince szansę na odszczekanie zniewag, ale Psinka odmówił, za co został sklepany po papie tak, że pękły mu okulary.

Od tamtej pory o Psince zrobiło się głośno jeszcze raz, zamieścił bowiem w internecie niewyraźne wideo przedstawiające ponoć martwego imigranta, którego miał zastrzelić, kiedy ten nielegalnie przekraczał granicę. „Na tym filmie widzicie, co trzeba zrobić, żeby nikt się nie kręcił po parkingu przed Home Depot” – napisał w mejlu do sympatyków. Pod naciskiem internautów

i organów ścigania Psinka przyznał jednak, że film był fałszywką i że to on sam wcielił się w rolę imigranckich zwłok.

A teraz znowu znalazł się w samym środku najnowszego spektaklu medialnego. Jak sam stwierdził, chwilowo nie robił nic szczególnie ciekawego. Miał na koncie parę zajęć komorniczych, ciągnęło się za nim kilka drobnych kontrowersji z poprzednich jurysdykcji, ale teraz mieszkał

z nową towarzyszką – Amerykanką z meksykańskimi korzeniami – na zamkniętym osiedlu gdzieś pod Las Vegas.

Psinka powiedział, że kilka dni wcześniej zobaczył w telewizji, jak jeden z synów Bundy’ego został potraktowany paralizatorem, więc natychmiast wskoczył w samochód i ruszył międzystanową numer 15. Posiadłość starego otoczyli już wówczas uzbrojeni agenci federalni i z bronią w ręku przystąpili do konfiskaty należącego do rodziny bydła.

Bundy argumentował, że rząd federalny nie ma jurysdykcji nad ziemią

federalną, na której on przez ostatnie dwie dekady wypasał i poił swoje krowy. Uzasadniał to dwojako: po pierwsze, odziedziczył prawo do korzystania z ziemi po swoim dziadku, a po drugie, on sam, Bundy, był

suwerennym obywatelem Wielkiego Stanu Nevada, ale nie Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, a ziemia należała do Nevady. Zatem żadną miarą nie mógł być winien rządowi miliona dolarów.

Jednak Federalne Biuro Gospodarki Gruntowej zapatrywało się na to nieco inaczej. Twierdziło, że Bundy to oszust, sęp i leń, który zarobił miliony na sprzedaży bydła, podczas gdy reszta obywateli płaciła podatki na utrzymanie użytkowanych przez niego gruntów. Rzecz jasna, sąd przychylił

się do tej opinii. Wysłano więc na miejsce agentów federalnych, żeby zaopiekowali się zwierzętami Bundy’ego. Właśnie wtedy zjawiła się kilkusetosobowa armia uzbrojonych w broń długą obywateli, którzy postawili się przedstawicielom rządu i uwolnili krowy.

– Tyrania! – krzyknął Psinka przenikliwym dyszkantem, który poniósł się po dolinie echem, jakby odpowiedziało mu pół tuzina innych Psinek. – Oni nie mają prawa zabrać bydła tego człowieka – oświadczył. – Tyrania!

– Wiesz, Psinka, to są grunty państwowe – przypomniałem mu. – Moje, twoje, nasze. Ktoś musi płacić za ich utrzymanie. Dlaczego niby ja mam płacić za Bundy’ego?

W odpowiedzi Psinka wyrzucił z siebie całą litanię skarg: bezrobocie, bezdomni weterani, którzy grzebią w śmietnikach w zaułkach dużych miast, zasiłki dla nielegalnych imigrantów i ich dzieci, wyprowadzanie gotówki do obcych krajów. Mamy w dupie ludzi w naszym własnym kraju! Hańba!

Nie bardzo wiedziałem, co to wszystko ma wspólnego z wypasanym na krzywy ryj bydłem. Ale pomijając krowie dylematy, każdy, kto w ostatniej dekadzie choć raz znalazł się gdziekolwiek w Ameryce poza wzgórzami Hollywood, Manhattanem czy Waszyngtonem, od razu rozumiał, do czego pije Psinka. Ludzi wszędzie wyrzucano. Wyrzucano z domów. Wyrzucano z pracy. Na zbity pysk. Tracili grunt pod nogami. Często byli to weterani wojenni, a wielu niedawno skończyło służbę w Iraku albo Afganistanie, a czasem i tu, i tu. Mężczyźni i kobiety jechali na wojnę, tymczasem ich nadziani współobywatele szli sobie na zakupy. A potem wrócili do podzielonego narodu. Teraz mieszkali w chujowych mieszkaniach na zadupiu i kontemplowali swoje ponure perspektywy, zastanawiając się, gdzie podział

się ich kawałek amerykańskiego tortu. O co walczyli? Narastała w nich

konsternacja, a w ślad za nią wściekłość. Tak jak u tego dzieciaka z getta w Detroit: wściekłość.

A kto najlepiej trafia do sfrustrowanych weteranów? Kto docenia ich ofiarę? Pusta fraza „dziękujemy za waszą służbę” oznacza dziesięć procent zniżki na kanapki w knajpie i zaszczyt wejścia na pokład samolotu przed innymi pasażerami. Nigdzie nie ma pracy. Ludzie nie wytrzymują i odbierają sobie życie. Dziękujemy za waszą służbę.

Większość żołnierzy przyjmuje to ze stoickim spokojem i po prostu żyje

dalej. Ale inni włączają telewizor i nagle widzą faceta, który ich rozumie!

Wreszcie ktoś, kto ma rozwiązanie! Prawa wodne? Działki na pastwiska?

Dorabiam w Uberze, ale to brzmi jak tyrania! Dalej! Do Bundy’ego!

Psince udało się przyciągnąć całkiem spory tłumek. Nasza kamera działała jak lewatywa na zatwardzenie frustracji. Ustawiliśmy z chłopakami małe podwyższenie, owinęliśmy mikrofon amerykańską flagą i zaprosiliśmy publiczność do wypowiedzi. Patrioci zlecieli się jak muchy do krowy. Jeden bezrobotny weteran z Phoenix powiedział, że przyjechał tu w imię swobód jednostki, które zapisano w Karcie praw. Kiedy go przycisnęliśmy, żeby wymienił te prawa, trochę się zacukał.

– No dobra – powiedział niepewnie – chwilunia. Prawo do wolności słowa (możesz walić prosto z mostu) i prawo do noszenia broni (możesz walić z pistoletu). Nie będziesz miał… A nie, to nie to, poczekaj… Sorencje, akurat wypadło mi z głowy.

Dodaj do tego cały katalog skarg, począwszy od Obamacare przez pustynne żółwie, nielegalnych imigrantów, który walą tu tłumnie przez granicę, a skończywszy na cenie benzyny, pieniądzu fiducjarnym i chińskim planie kolonizacji Marsa, a w zasadzie masz pełny obraz.

Psinka zaprosił nas pod swój baldachim i poczęstował napojem gazowanym. Ktoś przygotowywał sobie obiad na patelni. Fasola i boczek. Na patelni. Zwierzyłem się Psince, że trochę mnie to przerasta. Normalnie jak film Mela Brooksa, tylko że tu wszyscy noszą broń.

– I jak trzeba, to będziemy z niej szczelać – zadeklarował. – Niech no tylko przyjdą tu jebane fedzie ze swoimi gnatami, to sam zobaczysz, co się będzie działo. Hahahahahahahahaha!

Pokazał mi, gdzie stał przenośny klozet, i poszedłem z niego skorzystać.

Nikt w nim od dawna nie sprzątał, więc trochę się tu przelewało – ubikator wyglądał jak gigantyczny rękaw cukierniczy. Ach! To są pewnie te słynne

obrazy i zapachy wolności, pomyślałem. Wygląda na to, że na czas rewolucji babcie klozetowe biorą sobie wolne.

Po drodze do obozu dotarło do mnie, że czas zwijać manatki, zanim coś pójdzie nie tak. Emocje powoli brały górę i powiedziałem Psince, że spróbujemy szczęścia i pojedziemy prosto do starego Bundy'ego, nawet jeśli nikt do nas nie oddzwoni.

– Po prostu pojedziemy koło tego snajpera w berecie i okularach przeciwsłonecznych, co tam stoi – powiedziałem. – Znasz go? Nie? Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, kapujesz?

Dałem słowo Psince, że wrócimy później z piwem i wódą, chociaż nie miałem najmniejszego zamiaru dotrzymać tej obietnicy. Jest jedna rzecz na całym świecie, od której Bobowi staje bardziej niż od strzelania z lufy, mianowicie strzelanie lufy. Jak połączysz jedno z drugim, *hombre*, to się robi nieprzyjemnie. Nie chciałem przypadkiem rozpętać festiwalu przemocy w królestwie Clivena Bundy'ego. Lepiej po prostu ruszyć w drogę. Spokojnie i powolutku.

Minęliśmy wyjazd z obozu bojówkarzy, wzięliśmy ostry skręt w lewo i

odjechaliśmy

w

chmurze

kurzu,

który

osiadł

na

okularach

przeciwsłonecznych snajpera. Nawet nie drgnął, nie próbował nas zatrzymać.

W przeciwieństwie do płatnego zbója z fabryki Mercedesa w Alabamie ten zawodnik najwyraźniej rozumiał, że drogi publiczne są publiczne. Niech mu Pan Bóg błogosławi. Wolność!

Okolica była piękna, dębina i szałwia porastały ciemnoczerwoną ziemię.

Droga wiła się, to opadała, to się wznosiła – wtedy na moment rozpościerał

się przed nami widok na falującą rzekę Virgin, jedyny naturalnie wyglądający dopływ, jaki kiedykolwiek widziałem w tej części Nevady. Nad brzegiem stały krowa Bundy'ego z cielęciem, a obok pasły się kolejne. Kilka dni wcześniej te same krowy zostały zaaresztowane przez rząd USA. Dzisiaj kowboje uważali, że zwycięstwo jest po ich stronie. Ja nie byłem o tym przekonany.

Harry Reid, senator stanu Nevada, podczas wystąpienia telewizyjnego nazwał

Bundy'ego i jego zwolenników wewnętrznymi terrorystami. A kiedy Harry dobiera ci się do dupy, wiesz, że masz przejebane. Reid, lider mniejszości senackiej, był najpotężniejszym człowiekiem w Nevadzie, a może i w całym kraju. Gdy szefował Stanowemu Komitetowi do Spraw Hazardu, pozbył się

mafii z Las Vegas, a jeśli Harry chce, żebyś zabrał swoje krowy znad rzeki, to żeby skały srały, zabierzesz swoje krowy znad rzeki, i to bez zbędnego lania wody.

Woda jest na Zachodzie siłą napędową. Woda jest źródłem pieniędzy.

A pieniądze napędzają politykę. Bez wody ogromne kasyna w Las Vegas nie będą działać płynnie, i to samo dotyczy gigantycznej inwestycji, która właśnie powstawała zaledwie trzydzieści parę kilometrów na zachód od rzeki Virgin. Miało to być miasto przyszłości o powierzchni niemal czterdziestu trzech tysięcy akrów, z polami golfowymi i basenami, w samym sercu pustyni. Jak na ironię, projekt chwilowo stanął pod znakiem zapytania, ponieważ inwestor przygotowywał się właśnie do przeprowadzki do

przytulnej celi w federalnym zakładzie karnym za nielegalnie finansowanie kampanii… lidera mniejszości senackiej Harry'ego Reida, syna górnika w kopalni złota.

Może w całej tej wojnie chodziło o wodę, może o złoto, a może po prostu o to, że rząd chciał wyegzekwować swoje pieniądze. Ale ludzie z tych stron połapali się, że człowiek odpowiedzialny za przepędzenie Bundy'ego znad rzeki, czyli Neil Kornze, dyrektor federalnego Biura Gospodarki Gruntowej, trzydziestosiedmioletni szczawik, był niegdyś stażystą w senackim biurze…

Harry'ego Reida.

Tak więc nietrudno było się zorientować, dlaczego nikt tu za Harrym szczególnie nie przepadał.

Kiedy dotarliśmy na ranczo Bundy'ego, przy głównej bramie zatrzymał

nas inny mężczyzna o aparycji kuli do kręgli ozdobionej szkaradnymi tatuażami, w kamizelce z kewlaru, z pistoletem w kaburze, w okularach ze szkłami, przez które nie było widać jego oczu, i arafatce. Tę ostatnią, jak nam wyjaśnił, przywiózł sobie ze służby na Bliskim Wschodzie.

– A, tak. Byłem tam – odpowiedziałem mu. – Tam na to mówią kefija.

Bardzo się przydaje w upale i piasku.

– Tak czy inaczej, ostrożność tutaj nigdy nie zawadzi – odparł

wartownik. – Jak cię nie pokona pogoda, to zrobi to jakiś snajper. Fedzie przysłały drony. Ludzie z Biura Gospodarki Gruntowej wystrzelali parę sztuk bydła. Kto wie, do czego jeszcze się posuną. Każdy może być kapusiem.

Nie chciałem, żeby mnie wziął za szpicla, więc pokazałem mu swoją lewą odznakę prasową. Mam tu napisane: MEDIA – PRASA – OFICJALNA L E G I T Y M A C J A R E P O RT E R S K A .

To go usatysfakcjonowało, więc wywołał ranczo przez radio.

– Tu Budda – warknął do krótkofalówki. – Mamy tu jakieś media. Odbiór .

– Budda? A jak masz w dokumentach?

– Buda. Przez jedno „d”.

– A powiesz mi, gdzie normalnie pracujesz? – zapytałem.

Krótkofalówka zacharczała. Z głośnika odezwał się czyjś głos:

– Buda, jesteś tam? Odbiór .

Buda mówi, że jest komandosem. Snajper w siłach specjalnych i były najemnik w prywatnej organizacji wojskowej Blackwater. Następnie rzuca do krótkofalówki:

– Tu Buda. Odbiór. – Buda dodaje, że służył w Iraku i Afganistanie.

– Mówisz, że masz tam media? Odbiór.

Buda mówi, że przysięgał bronić amerykańskiej konstytucji i właśnie to tutaj robi: chroni człowieka, który poprowadzi bojówki ochotników do walki przeciwko rządowi tyranów.

– Nie miałem pojęcia, że komandos może dostać przepustkę na coś takiego – powiedziałem.

– Tak, mam tu media – odpowiada Buda przez radio. – Mówią, że są umówieni. Odbiór.

Patrzy na mnie.

– Nic więcej nie mogę powiedzieć, rozumiesz? Tajne przez poufne. Tu jest ostra jazda, wiesz, o co mi chodzi? Jedno ci powiem, tam się dzieje niezła habanina.

– Dobra – odpowiedział głos przez radio. – Dawaj ich tutaj. Szef właśnie kończy gadać z jakimiś ludźmi. Zdjęcia se z nim teraz robią. Odbiór.

– Zrozumiałem – rzuca Buda, po czym prowadzi nas w głąb posiadłości.

Bundy miał ładny dom, dobrze utrzymany, niewielki i bezpretensjonalny.

Teraz budynek wyglądał na jeszcze mniejszy, bo kręciło się wokół niego sporo osób. Brama z koła od wozu, rośliny doniczkowe przy drzwiach, kwiaty w oknie, podkowa, drewniana rzeźba przedstawiająca wąsatego kowboja – wszystko to wyglądało niczym z jakiegoś snu, bo oto o drewnianą belkę opierał się prawdziwy kowboj z krwi i kości. Bundy był wysoki, miał

spory brzuch, lecz w przeciwieństwie do ochroniarzy otaczała go aura gościnności.

– Przestrzegam wszystkich praw stanu Nevada – wyjaśnił, podając mi rękę – ale nie uznaję rządu Stanów Zjednoczonych.

– To dość ciekawy punkt widzenia – odpowiedziałem – biorąc pod uwagę fakt, że na tamtym maszcie wiszą flagi USA i Korpusu Piechoty Morskiej.

Sąd Najwyższy orzekł, że to są grunty federalne, a pan korzysta z nich bezprawnie. Takie jest prawo. Takie jest prawo stanowe. Takie jest prawo federalne. Jedno i drugie zostało nadane na mocy konstytucji.

– Może i tak. Ale ja mówię, że mam prawo do tej ziemi. Mój dziadek ją uprawiał.

Przypomniałem mu, że czerwonoskórzy mieszkali tu na długo przed białymi, na długo przed jego dziaduniem, i że jego dziadunio zajął był tę ziemię z pomocą i przy współpracy rządu Stanów Zjednoczonych.

– Ale ja to widzę tak, że mnie potraktowali jeszcze gorzej niż Indian –

odparł Bundy. – Ze strony rządu federalnego spotkały mnie przemoc i okrucieństwo.

Tu go bolało. Rząd, który niegdyś pomagał białym, teraz zwraca się przeciwko wnukowi białego człowieka. Teraz, kiedy to od niego czegoś

chciał, potraktował go jak Indianina – a przynajmniej tak to widział Bundy –

i wypędził go z należnego mu miejsca. A kiedy tak się dzieje, wówczas ludzie tacy jak on przestają uznawać rząd. Teorie spiskowe wypiekane na półprawdach mają tendencję do pęcznienia jak ciasto drożdżowe. Wyrwane z kontekstu fragmenty konstytucji recytuje się z nabożeństwem zwykle zarezerwowanym dla psalmów.

Jak można było się spodziewać, fakt, że Bundy dochodził praw, powołując się na swoich przodków, nie budził entuzjazmu wśród Indian mieszkających w okolicy. Traktaty stanowią element najwyższego prawa państwowego, a traktaty między USA a Indianami od dawna były łamane albo w ogóle je całkowicie ignorowano. Zgodnie z zapisami do Szoszonów należą dwie trzecie obszaru Nevady, a jeśli rząd miałby egzekwować swoje prawa, to musiałby się stąd wynieść, a wraz z nim ludzie tacy jak Bundy.

– To ważna kwestia – zgodził się Bundy. Byłby ewentualnie skłonny oddać ziemię Indianom, ale przysiągł, że prędzej go szlag trafi, niż ugnie się przed amerykańskim rządem.

Powiedziałem mu, że znam Indian, którzy chętnie pomogliby mu się spakować. Tak naprawdę to całe plemię może się tu zgłosić w ciągu godziny ze sprzętem do przeprowadzki. Uzbrojone po zęby przydupasy Bundy’ego głośno wciągnęły powietrze. Buda, bohater supertajnych historii wojennych, stał obok faceta w za dużym kapeluszu, który filmował, jak my filmujemy.

Nie podobało mi się to wszystko. Było coś niepokojącego w tych typach, coś sztucznego w ich słomkowych kapelusikach, w ich tatuażach, które wyglądały jak kalkomanie, bo możliwe, że miały zamaskować brak prawdziwych blizn, autentycznych i zasłużonych.

Nie da się zaprzeczyć, że Bundy miał swoje powody, nawet jeśli uzasadniał je w co najmniej wątpliwy sposób. A jego zwolennikom udało się wypchnąć przedstawicieli rządu federalnego z federalnych terenów. Jednak wuj Sam tu wróci – czy to za tydzień, miesiąc, rok, czy to za sto lat. Rząd bierze, co chce, i w dupie ma prawa przodków. Wystarczy zapytać współczesnego Geronimo, który z trudem wiąże koniec z końcem prawie siedemset kilometrów stąd, w

pustynnej dolinie Cortez Range.

Zielona dolina czerwonej kobiety

Nevada

Wiosna

Grzmiało coraz głośniej. Wszystko dudniło. Chmura pyłu unosiła się nad asfaltową drogą, która przecinała dolinę. Załadowane żużlem półciężarówki sunęły przed siebie niczym starożytne stado. A potem nastała cisza. Słychać było tylko odgłos deszczu łagodnie i smutno uderzającego o blaszany dach.

Wszystko zniknęło, bydło, konie. Wzniesione dziesięć lat temu zagrody dla trzody dawno się zawaliły. Po pickupie został rdzewiejący szkielet.

Jabłonie zwiędły i wyglądały jak stare kości. Okna domu były stare i brudne.

W środku stół wciąż był nakryty do kolacji. Łyżka. Talerz. Solniczka.

Nieumyte naczynia w zlewie. Mąka kukurydziana w szafce. Koc na starym żółtym materacu. Deszcz grzechoczący o dach jak śmierć.

– Zabili nas – powiedziała stara Indianka, przeglądając jakieś stare listy na blacie. – Ziemia to życie.

Poznałem Carrie Dann dziesięć lat wcześniej, gdy prowadziła wojnę z rządem amerykańskim, i bardzo ją polubiłem. Razem ustawialiśmy słupy ogrodzeniowe i rozciągaliśmy drut kolczasty w zagrodzie dla jej inwentarza.

Jedliśmy gulasz z zająca i chleb z margaryną. Pewnego wieczoru, gdy pustynne powietrze zaczynało się ochładzać, a wokół nas skakały koniki polne, powiedziała mi, że jeśli Szoszoni zostaną pozbawieni ziemi, to znikną.

Teraz dobiegała osiemdziesiątki. Stara, ale jara, metr pięćdziesiąt wzrostu, siwe włosy, posiekana zmarszczkami twarz, sękate dłonie wystające z rękawów brudnej, płóciennej kurtki. Kilka lat temu, kiedy jej siostra Mary zginęła w wypadku na farmie, Carrie załamała się i porzuciła

ośmiusetakrowe gospodarstwo, którym nie była w stanie sama się zajmować.

Z Clifforda, jej brata, nie było już pożytku. Nie widział i nie słyszał, całymi dniami siedział przed telewizorem. Mieszkał w miasteczku, niedaleko drogi lokalnej, na której szkliły się potłuczone butelki po piwie.

Podobnie jak Cliven Bundy, klan Dannów przez dziesięciolecia walczył

z rządem federalnym o prawo do swobodnego wypasu zwierząt gospodarskich na terenach, które władze uważały za publiczne. Podobnie jak Bundy, siostry Dann powoływały się na dziedzictwo przodków – z tą różnicą, że Szoszoni mieszkali tutaj od tysiąca lat, a ich prawa zostały zapisane w traktacie z Ruby Valley. Na jego mocy do plemienia miało należeć niemal osiemdziesiąt milionów akrów, około dwóch trzecich obszaru współczesnej Nevady, a także tereny w Utah i wododział, który zaopatruje w wodę Kalifornię Południową.

Zgodnie z zapisami traktatu biali osadnicy mieli prawo do przemieszczania się przez ziemie Szoszonów na terenie Wielkiej Kotliny, ale nie wolno im było się tam osiedlać. To była czysto pokojowa i przyjacielska umowa. Ale przybysze wraz ze swoim rządem w końcu i tak zabrali ziemię, a wraz z nią całe złoto, srebro i wodę, jakie się tam znajdowały.

Pod koniec lat siedemdziesiątych panel złożony z federalnych biurokratów uznał ważność traktatu, ale powołując się na nowatorską koncepcję

„stopniowego wkraczania”, orzekli, że Nevada nie należy już do Szoszonów, co więcej, nie należała do nich od 1872 roku. Przyznali członkom plemienia rekompensatę w wysokości piętnastu centów za akr, przy czym kwotę wyliczono na podstawie wartości ziemi z 1872 roku.

Szoszoni odmówili przyjęcia pieniędzy, więc rząd federalny przyjął

dwadzieścia sześć milionów dolarów w ich imieniu i zdeponował je w banku naliczającym od tej sumy odsetki. Rodzina Carrie zaskarżyła tę ugodę w Sądzie Najwyższym, który orzekł, że skoro rząd federalny przyjął

pieniądze od rządu federalnego w imieniu Indian, ugoda z plemieniem została dopełniona, a zatem traktat jest nieważny.

Wynoś się z ziemi, czerwona kobieto.

Dannowie walczyli dalej. Nie pistoletem, ale zapałkami, benzyną oraz protestami. Clifford został ukarany więzieniem za próbę samospalenia.

Starsze siostry próbowały ukryć swoje konie na tyłach rancza, ale agenci federalni wparowali tam w helikopterach, z karabinami i ciężarówkami na bydło. Zwierzęta zarekwirowano i sprzedano na licytacji, a pieniądze z niej poszły na spłatę wymierzonej Dannom grzywny w wysokości pięciu milionów dolarów za bezprawne wypasanie na ziemi ich przodków.

Żaden ochotnik z organizacji paramilitarnej nie przyszedł Indianom na pomoc. Żaden bojówkarz. Żaden Buda. Żaden biały mężczyzna w przyczepie kempingowej. Nie było reporterów telewizji kablowej ubranych w gustowne stroje w odcieniach ziemi. Wszyscy uwielbiają rdzennych mieszkańców Ameryki i im współczują, dopóki nie trzeba wyskoczyć z gotówki. To właśnie wtedy czerwony romantyzm ustępuje miejsca białym realiom władzy. Może pamiętacie, co powiedział Bundy – że rozważy oddanie swojej ziemi Indianom, ale przecież ani przez chwilę nie zamierzał tego zrobić.

– Podejrzewam, że po prostu byłyśmy za mało seksowne – zachichotała staruszka. – Dwie leciwe autochtonki. Nie jestem specjalnie ładna i w ogóle nie jestem biała. Ale wiesz co? My i tak nie jesteśmy agresywnym ludem.

Nie powinno się odbierać życia żadnej istocie, chyba że zamierzasz ją zjeść.

No cóż.

Biuro Gospodarki Gruntowej stwierdziło, że siostry Dann niszczyły życie na ranczo. Przepasały pastwiska. Zagrażały naturalnemu porządkowi. Można się zastanawiać, czy aby na pewno właśnie dlatego je przepędzono, ponieważ zaledwie kilka tygodni po skonfiskowaniu bydła Dannów w dolinie otwarto jedną z największych na kontynencie kopalń złota, w pobliżu miejsca, gdzie

droga skręca na wschód, a asfalt przechodzi w żwir. W tej kopalni wykorzystuje się cyjanek i wody gruntowe do oddzielania cząsteczek kruszcu od kamienia. Proces odbywa się w gigantycznym otwartym wykopie.

Kopalnia należy do Barrick Gold, kolosa połączonego finansowymi i rodzinnymi więzami z… senatorem Harrym Reidem.

Patrząc teraz ponad ramieniem Carrie Dann, na zachód, gdzie za horyzontem znikało pomarańczowe słońce, widziałem szczyt pogórza, które zostało odcięte przez górników. Nad ciężarówkami unosił się różowy pył.

– Wyruchali cię – powiedziałam.

– Nie – poprawiła mnie Carrie. – Oni mnie zgwałcili.

To była istotna różnica. Wyruchać można kogoś, kto o to poprosi.

Kilka miesięcy później Cliven Bundy zostanie aresztowany w Oregonie. Za rolę, jaką odegrał podczas wydarzeń w Bunkerville, zostaną mu postawione liczne zarzuty, w tym spisek, stawianie oporu i napaść na funkcjonariusza władz federalnych. Budę ktoś zdemaskuje jako pierwszej wody konfabulanta i łgarza, okaże się też, że całe jego doświadczenie na Bliskim Wschodzie sprowadzało się do wizyty w pakistańskiej knajpie.

Clifford Dann nadal całymi dniami będzie wpatrywał się niewidzącymi oczami w telewizyjne kreskówki. A Carrie Dann, bez środków do życia

i załamana, wprowadzi się do pełnego przeciągów domu za imponującym drewnianym płotem, tuż przy drodze do kopalni złota.

A Harry? Cóż, senator Reid, chłopak ze wsi Searchlight na zadupiu stanu Nevada, sprzeda swoją starą rodzinną posiadłość i czternaście opuszczonych kopalń innej firmie wydobywającej złoto za 1,7 miliona dolarów. Po pięćdziesięciu latach służby publicznej ustąpi z Senatu, przeniesie się do Las Vegas i przejdzie na emeryturę jako bardzo zamożny człowiek.

Harry nie chciał z nami rozmawiać. Nie odbierał od nas telefonów.

Zakazano nam wstępu do jego biura. Jego nowy adres w Las Vegas był tajny.

Nie mieliśmy czasu czekać, aż jego eminencja wyłoni się ze swojej luksusowej skorupy. Granicę w Teksasie oblegały masy biednych i zdesperowanych ludzi spragnionych wolności.

N A F TA oznacza miejsca pracy. Miejsca pracy w Ameryce. Gdybym w to nie wierzył, nie poparłabym tej umowy.

Bill Clinton, były prezydent U S A

Prawdziwym wygranym układu NAFTA będzie Meksyk, ponieważ dysponujemy ludzkim kapitałem. Mamy zasoby niezbędne dla powodzenia gospodarki Stanów Zjednoczonych.

Vicente Fox, były prezydent Meksyku

Nasz kraj stracił jedną trzecią miejsc pracy od czasu zawarcia porozumienia N A F TA , podpisanego przez Billa Clintona i popieranego przez Hillary Clinton.

A nawiasem mówiąc, to była najgorsza transakcja handlowa w historii.

Donald Trump

N A F TA , wspierana przez panią Sekretarz [*Hillary Clinton*] *, kosztowała nas osiemset tysięcy miejsc pracy w całym kraju, dziesiątki tysięcy miejsc pracy na Środkowym Zachodzie. Stałe stosunki handlowe z Chinami kosztowały nas miliony miejsc pracy. Na początku lat dziewięćdziesiątych byłem na pikiecie przeciwko NAFTA, ponieważ nie trzeba było mieć doktoratu z ekonomii, żeby zrozumieć, że amerykańscy pracownicy nie powinni być zmuszeni do konkurowania z ludźmi w Meksyku, którzy zarabiają dwadzieścia pięć centów na godzinę.*

Bernie Sanders, senator

Oto nagie fakty: w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci w Ameryce

zlikwidowano pięć milionów miejsc pracy w przemyśle wytwórczym. Po części przyczyną była postępująca automatyzacja. Mówiąc po ludzku, ludzi zastąpiły roboty i komputery. W ekonomicznym żargonie oznacza to, że ci, którzy jeszcze mieli pracę, stali się „bardziej produktywni", ponieważ produkcja i zyski wzrosły w przeliczeniu na pracownika. Tyle że pracownicy nie skorzystali na tym wzroście wydajności. Ich płace pozostawały na tym samym poziomie, podczas gdy wynagrodzenia dyrektorów generalnych potroiły się i wynosiły nawet ponad trzysta razy więcej niż przeciętna płaca szeregowego

pracownika,

do

tego

przedsiębiorstwa

wielokrotnie

z powodzeniem uchylały się od płacenia podatków federalnych.

Potem nastąpiła celowa likwidacja etatów będąca skutkiem globalnych transakcji handlowych, które sprawiły, że amerykańskie miejsca pracy trafiły do krajów Trzeciego Świata lub zapewniły tym krajom preferencyjne warunki dostępu do rynków amerykańskich – trzy czwarte miliona miejsc pracy trafiło do Meksyku, co najmniej dwa miliony – do Chin i tak dalej.

Teraz, gdy pękła bańka na rynku nieruchomości, Amerykanie z klasy robotniczej rywalizowali o najgorzej płatne zajęcia z robotnikami latynoskimi. W całym kraju widziałem białych i czarnych mężczyzn, którzy wrócili do kosiarki.

Niektórzy eksperci twierdzą, że swobodny przepływ kapitału i ludzi przyniósł amerykańskim konsumentom korzyści w postaci tańszych towarów.

Jest w tym sporo prawdy, ale zastanówmy się nad tym nieco głębiej. To tak,

jakby wpuścić do środka tysiąc zagranicznych robotników zakładów mięsnych, a później oznajmić miejscowemu rzeźnikowi, że przecież teraz może taniej kupić sobie szynkę.

Pamiętacie, jak politycy radośnie szczebiotali na temat tych umów o wolnym handlu? Amerykańscy robotnicy pamiętają. Mieliśmy się wzbogacić. Meksykanie mieli się wzbogacić, a napływ nielegalnych imigrantów miał się skurczyć.

Tyle że było zupełnie inaczej.

Brązowe morze

McAllen, Texas

Lato

– Dokumenty poproszę.

Tym razem byli to teksańscy rangersi. A może straż parkowa. Sam już nie wiem, lecz powoli zaczynałem dostrzegać w tym jakiś system. Naród, który wiecznie się o coś podejrzewa, staje się państwem policyjnym. Ale odznaka to odznaka. Ameryka, bezpieczna i podejrzliwa. Jak się nie podoba, to wypad.

– Jasne, panie władzo. Proszę uprzejmie: MEDIA – PRASA – OFICJALNA L E G I T Y M A C J A R E P O RT E R S K A .

– Kto wam dał pozwolenie na wstęp tutaj? – Miał na sobie Te Okulary, takie z nieprzejrzystymi szkłami. Dokładnie takie same nosił Buda.

Właściciel tego terenu pozwolił mi się tu rozejrzeć. Odkąd rząd federalny zbudował wysoki na sześć metrów mur, żeby powstrzymać napływ nielegalnych imigrantów, teksańska działka tego hodowcy została odseparowana od reszty Stanów Zjednoczonych. Mieszkał na ziemi niczyjej, na granicy między Meksykiem a Teksasem. Teoretycznie wciąż było to amerykańskie terytorium, ale ponieważ mur graniczny ciągnął się półtora

kilometra na północ, znajdowaliśmy się w szarej strefie, w czyśćcu pełnym cieni.

Gliniarze nie zawracali sobie głowy patrolowaniem tego zapomnianego przez wszystkich zakątka Ameryki, a w końcu przemytnicy narkotyków przepędzili stąd ranczera. Splądrowali jego dom. Kobiety z dziećmi przybywające z Ameryki Środkowej zatrzymywały się tu na odpoczynek, a pod drzewem leżały zużyte pieluchy i środki higieniczne. Tego jednak nie zamierzałem mówić gliniarzowi.

– Filmujecie mnie?

– Tak jest.

– Przestańcie filmować – zażądał.

– Nie, proszę pana. Pierwsza poprawka. Przykro mi.

– Macie minutę, żeby się wynieść z tej drogi.

– Albo co?

– Albo zostaniecie aresztowani.

– Na jakiej podstawie?

– Wtargnięcia na cudzy teren.

– Wtargnięcia?

– Tak jest.

Sto tysięcy kobiet i dzieci przybywało do Stanów Zjednoczonych przeważnie tą właśnie drogą, na której teraz staliśmy. Każde z nich natychmiast oddałoby się w ręce przedstawicieli amerykańskiej władzy, wiedzieli bowiem, że luka w prawie uniemożliwia ich deportację; przynajmniej pozostawionych bez opieki dzieci, które stanowiły połowę przybywających. A druga połowa? Dorosłe kobiety? Ich dane także zbierano, a siedemdziesiąt dwie godziny

później wszystkie miały wyznaczoną datę rozprawy w sądzie imigracyjnym i bilet autobusowy do wybranego przez siebie miasta. Według szacunków Kongresu ponad dziewięćdziesiąt procent z nich nie stawiało się przed sądem.

– Zamierza mnie pan aresztować za wtargnięcie? Mnie, obywatela amerykańskiego? Cóż za ironia, panie władzo.

– Zostało wam trzydzieści sekund.

Podjechały kolejne samochody. Patrol graniczny. Policja Parku Stanowego. Cała enchilada. Dopiero kilka miesięcy temu zaczęliśmy kręcić *Amerykanów*, ale jedno było już oczywiste: wielu ludzi w tym kraju ma broń i uważa, że sprawują w ten sposób po trosze władzę. Ci, którzy oficjalnie nie mają żadnej władzy, zachowują się jak bandyci, gangsterzy i samozwańczy strażnicy.

Tym razem było inaczej. Teraz oficjalny przedstawiciel prawa wyganiał

mnie z drogi publicznej, ponieważ na Teksas najechały hordy mamusiek i osesków.

Od jedenastego września Stany Zjednoczone wydały ponad bilion dolarów na zabezpieczenie swoich granic, a teraz nie mogliśmy sobie poradzić z falą przedszkolaków. Było to upokorzenie na skalę całego kraju, więc teraz mścili się na dziennikarzach.

– Piętnaście sekund.

Zapaliłem papierosa. Ten trik z odliczaniem nie działa nawet na dziesięciolatków. Strażnik wrócił do swojego krążownika szos. Ja udawałem, że gdzieś dzwonię. Nie zamierzał nas aresztować, ale prędzej by pękł, niż wpuścił nas dalej nad Rio Grande, żebyśmy nakręcili, jak dzieci poddają się mundurowym.

– Dobra, chłopaki, zabieramy się stąd – powiedziałem do Boba i Matta, którzy strasznie się jarali całym tym zamieszaniem: Matt, bo wiedział, że to zajebiście wypadnie na ekranie, a Bob, bo on zawsze świruje, jak widzi

jakiegoś funkcjonariusza. – Spróbujemy w parku stanowym parę kilometrów stąd w górę rzeki.

– Ja pierdolę, poważnie was stamtąd przegonili?

Pytanie zadał Albert Spratte, duży, szpakowaty, biały facet, z obciętymi na krótko włosami i w tych lustrzanych okularach. Spratte był od wielu lat członkiem straży granicznej i tak wpieniło go to, że praca, której poświęcił

życie, polegała teraz na ganianiu za małymi dziećmi, że zgodził się spotkać z nami w swoim wolnym dniu, mimo żaru lejącego się z nieba.

– Stary, oni pewnie nawet nie mieli do tego prawa – powiedział. – Rząd po prostu nie chce, żeby ktoś zobaczył, jaka to porażka.

Sam nie wiem, ile razy już to słyszałem od funkcjonariuszy straży granicznej. Słyszałem to w Arizonie, w stanie Waszyngton, w Kalifornii, w Michigan. Granica to porażka. Większość stwierdzających to strażników stanowili Latynosi, których bolały przestępczość, przemyt narkotyków i to, że nielegalni imigranci wpychali się przed legalnych, próbujących dostać się do Stanów Zjednoczonych zgodnie z prawem. Słyszałem to od ekipy w Laredo w Teksasie, która sprawdzała wypełnioną butami i ubraniami rurę, którędy nielegalni imigranci omijali graniczny mur.

– Ziom – wyznał mi wtedy jeden ze strażników – pod nazwiskiem ci tego nie powiem, ale gdyby ludzie wiedzieli, co tu się naprawdę wyprawia, toby się chyba obsrali na miętowo.

Rozmawialiśmy z Sprattem w parku Anzalduas, ładnym, chłodnym zakątku położonym w zakolu Rio Grande w miejscowości McAllen. Były tu doły do grilla, drzewa dawały cień, a rzeka płynęła spokojnie, bo niedaleko znajdowała się zapora. Były tu też dziesiątki przedstawicieli rozmaitych organów ścigania z każdej jurysdykcji, ponieważ to właśnie tu przyjeżdżali

ludzie z telewizji, żeby nakręcić, jak nielegalni imigranci przedostają się do Stanów Zjednoczonych na skuterze wodnym, jak powiedział mi Spratte.

Na skuterze! Ależ pomysłowi ci przemytnicy. Potrafią sobie poradzić w każdych okolicznościach, dostosują się do każdej zmiany. Wiele lat wcześniej, kiedy pracowałem nad artykułem dla gazety, próbowałem wkraść się z powrotem do Stanów Zjednoczonych z pomocą kojota, czyli przemytnika. Pojechałem taksówką na meksykańską pustynię, na umówione miejsce spotkania. Kiedy poszedłem w dół wąwozu i rozchyliłem trzciny, zobaczyłem trzysta osób podzielonych na pięćdziesięcio- i stuosobowe grupy, gotowych wyruszyć w bardzo niebezpieczną trzydniową podróż przez nieznane i nieprzyjazne tereny pustynne. Ludzie pędzeni jak bydło. Ich oczy, w których w ciemnościach nocy odbijało się światło, rozszerzyły się strachem

na

widok

nadchodzącego

gringo.

A

teraz

wystarczy

dwudziestosekundowy kulig przez Rio Grande! *¡Que fantástico!*

Po meksykańskiej stronie rozciągała się piaszczysta plaża, na której bawiły się kobiety i dzieci. Sto metrów od nich obozowało około dwudziestu groźnie wyglądających kolesi, wyposażonych w skuter, przyczepy, pickupy z zaciemnionymi oknami i przenośne lodówki na piwo.

Wlazłem w chaszcze, nadmuchałem gumowy kajak, który zabrałem specjalnie na tę wyprawę, na głowę nasadziłem słomiany kapelusz i włożyłem czerwono-biało-niebieskie obcisłe kąpielówki z wielkim napisem

„USA” na dupie. *Güero* taki jak ja, w śmiesznym kostiumie, płynący na gigantycznym żółtym dmuchanym bananie, miał dwa zadania: przyciągnąć uwagę przemytników i dobrze wypaść na ekranie.

Zadziałało. I to aż za dobrze. Kiedy tak wiosłowałem po Rio Grande, sunąc samym środkiem przemytniczej autostrady i zagadując po drodze do plażowiczów, kolesie na skuterze wodnym zaczęli do mnie podpływać coraz bliżej i specjalnie robili fale na wodzie. Moim żółtym bananem coraz bardziej zarzucało. Pomachałem im. Jeden *hombre* na skuterze zwolnił, uśmiechnął

się do mnie, a następnie dłonią wykonał gest podcięcia gardła.

Godny uwagi był całkowity brak współpracy ze strony władz meksykańskich. Po ich stronie nie było policji ani straży granicznej. W biały dzień na oczach wszystkich odbywa się tu przerzut narkotyków i ludzi, międzynarodowe media toczą pianę, ja się tu pluskam w patriotycznym bikini, a tam jak okiem sięgnąć ani jednego *federale*.

Mało tego, gdy amerykańska straż graniczna zatrzymuje osoby

przybywające z terytorium Meksyku, Meksykanie przyjmują z powrotem własnych obywateli, ale cudzoziemców z innych krajów już nie. Co więcej, Stany Zjednoczone mają obowiązek zająć się każdym dzieckiem, jakie znajdzie się na amerykańskiej ziemi bez dorosłego opiekuna, co ma zapobiec handlowi ludźmi. Jednak jeśli dzieciak przyjeżdża z matką, to oboje mogą być natychmiast deportowani tam, skąd przybyli.

Henry Cuellar, członek Izby Reprezentantów z przygranicznego miasta Laredo w Teksasie, rozsądny demokrata z upodobaniem do prawa i porządku, zastanawiał się, dlaczego nie wysyłamy rodzin z Ameryki Środkowej pierwszym samolotem z powrotem do domu ani dlaczego bardziej nie naciskamy, żeby Meksyk robił to, co do niego należy.

Gdyby telewizja pokazała kilkanaście rodzin, które wyprzedały cały swój majątek, żeby dostać się do Stanów Zjednoczonych, a teraz wracają deportowane do Gwatemali, mogłoby to przyczynić się do powstrzymania tego ludzkiego przypływu lepiej niż jakiekolwiek pomysły Kongresu, jak

powiedział mi poprzedniego dnia Cuellar na pośpiesznie zwołanej konferencji prasowej w budynku Urzędu Miasta McAllen. Na prawdziwą reformę imigracyjną i tak potrzeba co najmniej dziesięciu lat.

W spotkaniu z prasą uczestniczyła również pierwsza dama Hondurasu; dla dziennikarzy przygotowano kawę i pączki. *Primera dama* prosiła o większą pomoc dla jej biednych i głodnych rodaków, więcej finansowanych przez U S A programów na rzecz *los niños pobres*. Pękało jej serce, gdy oglądała dzieci przetrzymywane w celach amerykańskich ośrodków detencyjnych.

Powiedziała, że one przecież chcą tylko lepszego życia. Musimy położyć kres tym tragediom, a do tego potrzebujemy pieniędzy, amerykańskich pieniędzy.

I współczucia – tak, tego właśnie teraz nam potrzeba.

Pierwsza dama otarła oczy na pyzatej, dobrze odkarmionej twarzy, odpowiedziała na kilka pytań i wyszła. Jednak nie zadała sobie trudu, żeby zabrać choćby jednego ze swoich *paisanos* do domu na pokładzie prezydenckiego samolotu. Zapakowałem resztki pączków do torby.

Dlaczego teraz przybywały same kobiety i dzieci? Proste. Prezydent Obama, sfrustrowany bezczynnością Waszyngtonu w sprawie imigracji, podpisał dekret umożliwiający osobom, które przed ukończeniem szesnastego roku życia zostały nielegalnie przywiezione do Stanów Zjednoczonych przez swoich rodziców, pozostanie tu na czas nieokreślony.

Zanim wieści o tym dotarły do Gwatemali, Hondurasu i Salwadoru, ludzie

uznali, że Obama udziela masowej amnestii każdemu dziecku i rodzicowi, którzy przedostaną się do Ameryki. Tak mi to wyjaśnili imigranci, z którymi rozmawiałem.

Jednym z nich był jedenastoletni Domingo, uroczy chłopiec z Gwatemali, którego poznałem na dworcu autobusowym w McAllen. Po trzech dniach w przepełnionym ośrodku detencyjnym on i jego matka dostali dwa bilety do Los Angeles, gdzie mieszkała ich rodzina, oraz odległy termin rozprawy w sądzie imigracyjnym.

Domingo był przerażony, i trudno mu się było dziwić. Razem z matką został przewieziony przez Meksyk przez brutalnych przemytników, co kosztowało ich pięć tysięcy dolarów. Kiedy któryś z kojotów uznał, że Domingo idzie za wolno, bił go po głowie. Kiedy wystraszył się rzeki i uciekł, dopadli go i pobili. Teraz na dworcu autobusowym były kamery, a w telewizji występowali protestujący.

– Myślisz, że w Los Angeles będzie nam się żyło lepiej? – zapytał.

– Pewnie. Mają tam dobre szkoły. I pyszne rzeczy do jedzenia.

– A ulice, tam są duże ulice, prawda?

– Bardzo.

– Mam nadzieję, że będzie dobrze.

– Na pewno będzie. Zobaczysz.

Dałem mu dwadzieścia dolarów i powiedziałem, żeby nie mówił mamie.

Kup sobie lody, gdy już będziesz w Los Angeles. Ucz się pilnie i nie zamień się w jednego z tych złych chłopców, z których wyrastają źli mężczyźni.

Powiedziałem mu, żeby nie zapomniał o poświęceniu matki, i powitałem go w Ameryce. Mam nadzieję, że kiedyś sobie o mnie przypomni, o obcym człowieku, który wsparł go w trudnym momencie, i zrobi to samo dla innego dziecka. Dałem mu też pączka z konferencji prasowej. Z nadzieniem czekoladowym.

Gracias, señor.

Claro.

Skierowałem się w stronę ponurego meksykańskiego konsulatu w McAllen.

Było tłoczno i śmierdziało potem. Wyłączyli prąd. Nie działały windy ani klimatyzacja. Zaprowadzono mnie na górę po schodach przeciwpożarowych,

posadzono w oszklonej poczekalni i podano kawę w filiżance z porcelany.

Ciekawe, jak ją zrobili.

Wyszedł do mnie elegancko ubrany rzecznik konsula generalnego.

Zapytałem go, dlaczego jego rząd nie robi więcej, żeby powstrzymać napływ przybyszy z jego kraju do Stanów Zjednoczonych.

– To oczywiście bardzo skomplikowana kwestia – powiedział. –

Naprawdę nie czas teraz o tym mówić. To jest… jak to się mówi? Palący problem. Jeśli będziemy o tym mówić, emocje jeszcze bardziej się nasilą.

Smakuje panu *café*?

– Tak, bardzo dziękuję. A może ma pan ochotę na pączka?

Sześciometrowy mur z betonu i ogrodzenie z siatki w McAllen powstały za administracji Busha, w czasach, gdy sporo mówiło się o zabezpieczeniu granic. Decyzja zapadła w 2006 roku głosami obu partii. Wśród znamienitych demokratów, którzy byli za jej przyjęciem, znaleźli się senatorzy Barack Obama, Hillary Clinton i Bernie Sanders, socjalista z Vermont. Jednak mur się nie sprawdza. Zacznijmy od tego, że znajduje się prawie dwa kilometry na północ od rzeczywistej granicy – Rio Grande –

więc wystarczy dotrzeć do brzegu i postawić stopę na amerykańskiej ziemi, a wszystkie kobiety i dzieci, którym się to uda, otrzymują pozwolenie na wjazd. Czasami, jak powiedział mi Spratte, godzinami czekają na przyjazd patrolu straży granicznej, żeby się poddać i dostać coś do jedzenia i picia.

Co tydzień patrol zbierał wzdłuż muru drabiny – zakupione w sklepie i prowizoryczne samoróbki – i wywoził je na wysypisko.

– Myślę, że robi je ktoś po naszej stronie – stwierdził Spratte. – Dawniej trzymaliśmy je w magazynie, ale się szybko zapełnił. Teraz po prostu wywalamy je na śmietnik.

Jak już mówiłem, te kojoty to geniusze. Powinni pracować na Wall Street.

Strasznie chciałem zobaczyć przemytników w akcji. Następnego dnia postanowiliśmy wrócić do parku Anzalduas i spróbować tam szczęścia.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, miejscowa policja zatrzymała trzech Chińczyków w nowych, czystych dresach, którzy właśnie dotarli na drugą stronę rzeki na skuterze. Chińczycy w dresach! Spróbujcie to sobie wyobrazić. Razem z Bobem i Mattem zaparkowaliśmy furgonetkę za żywopłotem i wypatrywaliśmy skutera. Gdy tylko ruszył w kierunku amerykańskiego brzegu, wyskoczyliśmy z samochodu i zaczęliśmy filmować. Na pokładzie siedziały dwie kobiety. Jedna z nich była w zaawansowanej ciąży. Nie wiem, czy sprawiły to kamery, czerwono-biało-

niebieska bandana Boba czy jego upstrzone plamami białe nogi w białych skarpetach, w każdym razie kojot zawrócił do Meksyku, ale najpierw pokazał

mi środkowy palec i wrzasnął: „Pieniądze przez ciebie tracę, kutasiarzu!”. To był ten sam ziomeczek, który wcześniej bujał moim kajakiem i groził, że mi poderżnie gardło.

Uśmiechnąłem się i pomachałem do niego wesoło.

Nagle jak spod ziemi wyrósł przed nami Spratte. Oprowadzał po parku innego dziennikarza. Wyglądało na to, że wszyscy stawili się w komplecie.

C N N . Breitbart News. „Texas Monthly”. B B C . Jak się dobrze rozejrzeć, to pewnie i „Poradnik Wędkarski”. Wskazałem kojota po przeciwnej stronie rzeki. Wziął ciężarną kobietę na ręce, jakby była jego świeżo poślubioną połowicą, i odstawił ją z powrotem na piasek.

– Ej, dlaczego ja muszę robić to, co do was należy? – zapytałem Spratte’a.

– Bez komentarza – odwarknął. – Jak tylko stąd znikniecie, oni tu wrócą.

Nie miałem co do tego wątpliwości. W dziennikarstwie jest takie stare powiedzenie: kiedy myślisz, że już skończyłeś, zapukaj do jeszcze jednych

drzwi. Przy odrobinie determinacji być może udałoby się nam zobaczyć na własne oczy, jak ta kobieta w ciąży schodzi na ląd i poddaje się Amerykanom. Materiał z kojotem, który pokazał mi środkowego palucha i obiecał, że mi poderżnie gardło, był niezły, ale jeszcze lepiej byłoby pokazać, jak kursuje swoim promem wte i wewte, a w tle amerykańska straż pomaga kobiecie wejść po śliskim zboczu.

Kazałem Mattowi iść na wschód od zakola rzeki, a Boba wysłałem na zachód. Sam stanąłem na czatach pośrodku i usiłowałem się z nimi porozumiewać gestami rąk.

Skutery odbiły od meksykańskiego brzegu, a przemytnicy urządzili sobie wyścigi, próbując odwrócić naszą uwagę. Nagle Matt zaczął coś krzyczeć, ale nie rozumiałem ani słowa. Trochę się spietrałem, że może ktoś go dźgnął nożem. Pobiegłem do niego. Nic mu nie było, za to znalazł dwóch kolesi przyczajonych z nogami w wodzie w wysokich trzcinach. Kiedy trzech reporterów z Detroit znajduje nielegalnych imigrantów w błocie na teksańskim zadupiu, mimo że wokół roi się od rozmaitych mundurowych, to wiedz, że sytuacja na granicy wymknęła się spod kontroli.

W cieniu rosnących nad rzeką drzew nie było widać ich twarzy, ale jeden wyraźnie się uśmiechał. Szczerzył zęby w szerokim, radosnym uśmiechu.

Dziwne. Właśnie ich zdybaliśmy na próbie nielegalnego przekroczenia granicy, a ten tu jest nonszalancko rozpromieniony, jak nastolatek przyłapany w sklepie na kradzieży cukierków. Wyglądał, jakby był szczęśliwy.

Podałem im butelki z wodą.

– *Gracias. Gracias, señor*. – Przedstawił się jako Ciro.

– *¿Como viniste?* Jak żeś się tu dostał, Ciro?

– *Nadamos*. Przepłynęliśmy.

Zauważyłem, że Ciro i jego towarzysz podróży mieli na nogach japonki.

Spróbujcie to sobie wyobrazić: dwóch mężczyzn w średnim wieku, o przeciętnej budowie ciała, w bermudach i obuwiu plażowym, przedostaje się wpław przez międzynarodową granicę, po której śmigają skutery przemytników i łodzie policyjne, woda w rzece jest mętna, a prąd wartki, i żaden z nich nie zgubił nawet klapka? *¡Increíble!! Estas pierdolando, amigo*. Weź mnie nie kituj.

Znowu się wyszczerzył i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć:

„Co robić?”. Potem jednak uśmiech zniknął mu z twarzy, bo oto zjawił się mundurowy, żeby sprawdzić, co robimy.

Przeprosiłem Ciro:

– *Lo siento*. Nie chciałem, żeby cię przeze mnie aresztowali. Ja po prostu wykonuję swoją pracę, a oni zobaczyli, co się dzieje. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz.

– *No te preocupes* – pocieszył mnie. – Nie przejmuj się. Dopiero drugi raz mnie łapią. Po prostu odeślą mnie do domu. Spróbuję jeszcze z dziesięć razy, aż mi się w końcu uda. Tak jak wcześniej.

– Możesz tu zginąć – powiedziałem mu.

– Mam sześcioro dzieci, przyjacielu.

Spojrzałem na drugą stronę Rio Grande, na miejsce, które pokazał mi Ciro, kiedy zapytałem, skąd wyruszyli. Widać było fabryki, błyszczące metalowe dachy i słupy dymu połyskujące się w świetle zachodzącego słońca.

– *¿Por qué no trabajas allí?* Dlaczego nie pójdziesz do pracy tam, po swojej stronie?

– *¿Allí?* – roześmiał się. – Tam? Tam się nie da po prostu pójść do pracy.

To są fabryki amerykańskie. *Maquiladoras*. Trzeba mieć znajomości, żeby dostać pracę. Wszystko jest ustawione. Poza tym mało płacą. Pracujesz,

a potem cię wywalają. – Znowu uśmiechnął się szeroko: – Nie, lepiej próbować po tej stronie, *amigo*.

Amerykańskie fabryki? Jasne. Tak, dziękuję ci za lekcję, Ciro.

I powodzenia.

N A F TA . Policzyłem lata. Porozumienie N A F TA obchodziło właśnie dwudziestolecie istnienia. A CAFTA, Strefa Wolnego Handlu Ameryki Środkowej, miała około dziesięciu lat. Obiecano nam lepsze wynagrodzenia.

Obiecano nam, że strumień nielegalnej imigracji ustanie. Wolny handel miał

wszystkim wyjść na dobre. To tyle, jeśli chodzi o obietnice. Rzeczywistość była jednak taka, że ciężarna kobieta z tonącego kraju gdzieś na południe stąd wsiadała na skuter wodny, postawiwszy wszystko na jedną kartę, żeby się przedostać przez amerykańską granicę, a wszystko, co mieli ci dwaj kolesie na siedzeniu policyjnego radiowozu, to para klapek i pół tuzina gąb do wykarmienia.

Szare osły / *Burros grises*

Reynosa, Meksyk

Musieliśmy się wynieść z McAllen i dotrzeć z kamerą do Meksyku.

Musieliśmy się przyjrzeć tym amerykańskim fabrykom, porozmawiać z ich pracownikami, zobaczyć, jak żyją. Ale sąsiednia miejscowość, położona tuż za granicą Reynosa, spływała krwią. Kilka miesięcy temu rząd Stanów Zjednoczonych zamknął tam swój konsulat z powodu wojny narkotykowej między meksykańskimi kartelami. Zaledwie kilka dni przed naszym przyjazdem do Teksasu w samo południe wybuchła tam strzelanina, w której zginęło dziesięć osób. Nasza stacja telewizyjna nalegała, że wyjazd do Meksyku wymaga zatrudnienia ochrony – której nie mieliśmy, na którą nie było nas stać, o której zapewnieniu stacja nie zająknęła się ani słowem. Ja pierdolę, przecież nawet nie mieliśmy prawdziwej akredytacji.

Gdy jedziesz kręcić materiał o zagranicznym konflikcie, zdarzają się sytuacje, w których poruszasz się z ochroną. Najczęściej jednak pracujesz z tłumaczem i kierowcą. Czasami po prostu jedziesz na rympał. Tu trzeba mieć instynkt. Znałem reporterów, którzy zginęli w akcji, a także paru takich, którzy zostali ranni albo porwani i przetrzymywani dla okupu. Ale to jest ryzyko zawodowe i trzeba się z nim pogodzić, jeśli uważasz, że masz do przekazania coś ważnego. Oczywiście ci korespondenci, o których wspomniałem, to na ogół dziennikarze prasowi i fotoreporterzy. Telewizja to zupełnie inna para kaloszy, inny sposób myślenia. Trochę mniej odważny.

Trochę bardziej wyreżyserowany.

Poza tym Reynosa nie stanowiła daleko wysuniętego przyczółku dogorywającego imperium amerykańskiego, hen daleko pośród obcych piasków, gdzie ludzie mówiliby w nieznanym języku i nie można było pić wody – no dobra, akurat wody to tam lepiej było nie pić, ale w ostateczności się dało. Zasadniczo było tam jak w domu. Miałem obowiązek przebić się

przez sztuczność reportaży telewizyjnych, powtarzane w kółko niezbite fakty i partyjną propagandę. Zobaczyć znaczy uwierzyć.

Widzieliśmy już zdjęcia głodnych dzieci w klatkach i gnijące szczątki imigranta w buszu, pochowane później we wspólnym bezimiennym grobie.

Czy bałem się ruszyć do Meksyku? Na litość boską, całą noc przez most przechodziły babcie z wózkami z supermarketu, pełnymi tubek kremu dla stóp i ciasteczek. Czego niby miałem się obawiać?

Ale teraz szalała tam przemoc, więc potrzebowałem kogoś, kto by wiedział, gdzie jechać. Albo jeszcze lepiej, gdzie *nie* jechać. W końcu trudno byłoby wytłumaczyć korposiom, gdzie się podziały nasze kamery i furgonetka z wypożyczalni. Zadzwoniłem więc do kolesia, który znał

jednego takiego kolesia, który podobno znał jednego kolesia.

W samo południe ktoś załomotał do naszego pokoju w motelu.

Uchyliłem lekko drzwi. Znad parkingu powiało gorącym, zatęchłym powietrzem. Na progu stała ogromna, niedźwiedziowata postać obramowana słonecznym światłem. Otworzyłem drzwi nieco szerzej.

– Poncho?

– To ja.

Wszedł do pokoju i podał mi rękę, rozmiarem przypominającą raczej stopę mniejszego mężczyzny. Mierzył coś koło dwu metrów i spokojnie mógł

ważyć sto pięćdziesiąt kilo. Miał kozią bródkę i ogoloną na łyso głowę. Ale najdziwniejszy był jego skórzany płaszcz. Temperatura na zewnątrz dobiegała czterdziestu stopni, a on był ubrany w skórę. Czaszkę miał

zroszoną potem. Rozejrzałem się za czymś, czym mógłbym go poczęstować.

Nie bardzo było w czym wybierać.

Kranówka pochodziła z Rio Grande, która zaczynała bieg ponad trzy tysiące kilometrów stąd, w Durango w stanie Kolorado. Zanim dotarła do kranu motelu w McAllen, po drodze przez zachodnią część Wielkich Równin zdążyła wchłonąć pestycydy z farm, ścieki z miejskich ulic, chemikalia fabryczne i psie gówno. Mocno uzdatniona woda z kranu i tak smakowała jak szmata namoczona w formalinie. Poza nią niewiele miałem mu do zaoferowania. Wypiliśmy już całe piwo.

– Whiskey? – zaproponowałem.

– Z miłą chęcią.

– Z lodem?

– Oczywiście.

W pokoju było pełno gęsto od papierosowego dymu. Unosił się w cienkich promieniach światła słonecznego przeciskających się przez żaluzje, tworząc mleczną, senną atmosferę. Kostki lodu dzwoniły cichutko.

Klimatyzator chrobotał.

Tym olbrzymem był Poncho Ortiz, najtwardszy skurwiel w okolicy, który nie zarabiał na życie mordowaniem, przemytem ani aresztowaniem ludzi. Był

to jedyny znany mi reporter, który na bieżąco zajmował się działalnością karteli narkotykowych i robił to po obu stronach granicy. Bardzo, bardzo niebezpieczne.

Jeśli chodzi o wojnę narkotykową, to większość amerykańskich dziennikarzy nie relacjonowała jej przebiegu. Z wyjątkiem naszego Poncho, który opierał się teraz o ścianę, bo podziękował za krzesło, i pocił się w skórzanych ciuchach, wyglądając przy tym, jakby wyszedł z filmu Tarantino, tyle że lepiej, bo był prawdziwy.

Jak on to robił? Jakim cudem udawało mu się działać na terytorium gangów, gdzie trup ścielił się gęsto, i nikt mu jeszcze nie wpakował jego własnych jajec do gardła? Człowiek jego rozmiarów nie mógł się tak po prostu schować za drzewem. Reporterzy ciągle giną na granicy i nikogo to specjalnie nie dziwi. Koleś miał jaja. Naprawdę wielkie jaja. I jedno pragnienie. *Respeto, loco malparido*. Szacunek, pojebany cycu.

– Podobno chcecie jechać do Reynosy? – roześmiał się cicho. – Nie polecam. Powiem szczerze, naprawdę nie polecam.

Uraczył nas paroma barwnymi historiami o egzekucjach, obciętych głowach i gwałtach. Kartel Gulf, jak powiedział, był w stanie wojny z kartelem Los Zetas, a oprócz tego z samym sobą. Za dużo pieniędzy wchodziło w grę. Kartele odpowiadały za masowe groby, zwłoki w piecach chlebowych, odcięte ręce i stopy bez ciał. Poncho powiedział, że zrobiło się tak źle, że największe amerykańskie gazety z Brownsville, McAllen i Laredo zakazały swoim korespondentom przekraczać granicę. Pamiętajmy, że reporterzy też umierają. Przynajmniej ci meksykańscy. Tylko w ciągu ostatnich dziesięciu lat zginęła ich ponad setka, przez co Meksyk stał się drugim najbardziej niebezpiecznym dla dziennikarzy miejscem na świecie, zaraz po Afganistanie. Poncho powiedział, że jak chcesz tutaj żyć, to musisz dać

materiał do akceptacji dyrektorowi kartelu do spraw relacji z mediami.

– Relacji z mediami? Serio? – spojrzałem na Boba, który popatrzył na

Matta, który popatrzył na mnie.

– Poważnie – zapewnił nas Poncho. – A co myśleliście? Że to szkolna wycieczka?

Zastanowiłem się przez chwilę. Niezależnie od dekapitacji i dyrektorów do spraw relacji z mediami musieliśmy tam pojechać. Bardziej się bałem, że przez wyjazd do Meksyku stracę robotę niż życie. Ale to była ważna historia, a ważne historie składa się do kupy właśnie dzięki łamaniu niepisanym zakazów niewidzialnej kadry kierowniczej.

– No dobra – powiedziałem do Poncho – możesz zadzwonić, gdzie trzeba?

Poncho zadzwonił, gdzie trzeba.

Następnego ranka Poncho zajechał pod motel swoim gruchotem. Matt, który miał dwójkę małych dzieci i nie zabrał paszportu, został w McAllen, żeby zbierać dodatkowe materiały. Bob, który miał jechać ze mną, wziął lżejszą, mniej rzucającą się w oczy kamerę. Był mocno podekscytowany.

W przeszłości zdarzyło mu się wyskoczyć na autostradę, żeby powstrzymać skorumpowanego kongresmena przed ucieczką. Kiedyś przejechał przez sam środek strzelaniny w getcie, jedną ręką prowadząc samochód, w drugiej trzymając kamerę, a w trzeciej – papierosa. Krótko mówiąc, Bob lubił

kłopoty.

– Zabraliście mniejszą kamerkę? Dobrze – pochwalił Poncho. –

W Meksyku mamy ustawkę z jednym takim typem. Podjedzie furgonetką.

Wy do niej wskoczycie. Nie będziecie nic mówić ani robić, dopóki nie znajdziecie się w furgonetce. Zrozumiano?

– Tak jest! – odpowiedział Bob.

Przeszliśmy z Poncho przez odprawę na granicy – powiedzieliśmy strażnikowi, że idziemy na piwo. Zatrzymaliśmy się na publicznym parkingu w Reynosie, po czym pieszo przeszliśmy na rynek, usiedliśmy na ławce i czekaliśmy. Bob, który miał na sobie szorty i tę swoją bandanę, wyciągnął

kamerę i zaczął kręcić jakieś napisy.

Poncho szturchnął mnie łokciem w żebra. Co on odpierdala?

– Bob – syknąłem. – Co ty odpierdalasz?

– Co ja odpierdalam? – Bob wzruszył ramionami. Odłożył kamerę i zapalił papierosa. Zza rogu podjechała biała furgonetka. Tylne drzwi się otworzyły.

Vamonos. Buena suerte. Powodzenia.

Ruszyliśmy ulicami Reynosy. Bulwary były szerokie, architektura ponura.

Wszędzie pełno było wojskowych ciężarówek. Na pakach przy karabinach maszynowych siedzieli zamaskowani agenci federalni, część sił wojskowych, które okupowały miasto anarchii. Nad horyzontem unosił się dron, Bóg jeden wie, kogo lub czego tam szukał. Przyglądaliśmy mu się przez chwilę, aż w końcu zniknął nam z oczu.

Nasz kierowca nazywał się Leo i był kiedyś dziennikarzem, dopóki nie doszedł do wniosku, że swobodniej mu się będzie oddychało, jeśli przejdzie na emeryturę, zanim ktoś sprawi, że raz na zawsze przestanie oddychać.

Zawiózł nas tam, gdzie tydzień wcześniej w strzelaninie zginęło dziesięć osób. W amerykańskich gazetach nie było o tym ani jednej wzmianki. Na chodniku jeszcze widać było plamy krwi. Bob odważył się zrobić parę ujęć.

Nie ma sprawy. Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

Następnie pojechaliśmy na misję, ogrodzoną tynkowanym murem z przesuwną żelazną bramą. Mieściła się w nim chrześcijańska parafia, która

zajmowała się kobietami i dziećmi z Ameryki Środkowej pozostawionymi na pastwę losu bez grosza przy duszy. Rio Grande płynęła tuż za północną ścianą. A dalej rozciągał się międzynarodowy most do ziemi obiecanej.

W budynku misji mieszkała Ingrid Bram z dwójką małych dzieci. Kiedy usłyszała, że Obama udziela amnestii, uciułała sto pięćdziesiąt dolarów, wyjechała z Hondurasu i przedostała się z Gwatemali do Meksyku na tratwie.

Razem z synkami przejechała spokojnie kolejnymi autobusami aż do Reynosy – tu skończyły się jej pieniądze. Powiedziała nam, że ma rodzinę w Miami, ale nie jak zapłacić przemytnikowi, który mógłby ich przetransportować do Stanów Zjednoczonych. Dałem jej dwadzieścia dolarów na jedzenie, ale pomyślałem, że pewnie kupi za nie dętkę i spróbuje na niej przepłynąć przez wąski odcinek rzeki tuż za ścianą, po czym podniesie ręce i poprosi o trzy bilety w jedną stronę do Małej Hawany.

Następnie przejechaliśmy przez slumsy, gdzie robotnicy z *maquiladoras*, wielkich amerykańskich fabryk, mieszkali w barakach z pustaków. Dachy zrobiono z blachy falistej. Nie było instalacji wodno-kanalizacyjnej ani bieżącej wody. Energia elektryczna pochodziła ze wspólnego przewodu zasilającego; toaletę zastępowało plastikowe wiadro. Szambiarz przyjeżdżał

wózkiem ciągniętym przez osła. Na ulicach leżała warstwa miału.

Filmowaliśmy przez okno furgonetki, a Leo zagadnął napotkaną robotnicę,

gdzie

pracuje.

Montowała

napęd

w

urządzeniach

klimatyzacyjnych. Była ładna, w typie kobiety po przejściach, z dużymi, smutnymi, niespokojnymi oczami – ciemniejsza, żywa wersja matki ze zdjęcia Dorothei Lange. Starszy chłopiec usiadł za barakiem.

Leo zapytał, czy możemy zobaczyć odcinek jej wypłaty. Od razu było widać, że to coś z Pierwszego Świata – był pięknie wydrukowany, z fioletowym nagłówkiem, zupełnie jak formularz podatkowy W-9 w Stanach Zjednoczonych. Leo sprawdził kurs wymiany na swoim smartfonie. Kobieta zarabiała jednego dolara i piętnaście centów za godzinę. Według amerykańskich firm i meksykańskiego rządu średnia płaca meksykańskiego pracownika w „amerykańskim” zakładzie wynosiła od pięciu do sześciu dolarów za godzinę. Jak widać, gówno prawda.

Weźmy też pod uwagę, że oficjalna meksykańska płaca minimalna wynosiła pięćdziesiąt osiem centów za godzinę. Kobieta zarabiała więc więcej niż wielu Meksykanów, w zasadzie dwa razy tyle co oni.

Jednocześnie minimalna płaca federalna w USA wynosiła siedem dolarów i dwadzieścia pięć centów za godzinę, czyli dwanaście i pół razy więcej niż w Meksyku (dla porównania w Gwatemali wynosiła dolara dwadzieścia centów za godzinę, w Hondurasie – jednego dolara za godzinę). A teraz wyobraźcie sobie, co by było, gdyby amerykańscy robotnicy mogli wyjechać do innego kraju i zarabiać równowartość dziewięćdziesięciu dolarów za godzinę, czyli sto dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, inseminując ręcznie owce. Zapomnij o Dakocie Północnej. Witaj, Calgary!

Gdzieś w tych rozbieżnościach między zarobkami leży pozornie nierozwiązywalna zagadka migracji ludności. Sześć dolarów na godzinę?

A kto sprawdzał „fakty” podawane przez te ordynarne świńskie ryje, mieszkające w swoich pałacach za żelaznymi bramami? Nic dziwnego, że pakt handlowy nie powstrzymał napływu imigrantów. To była czysta matematyka. Mogła zarobić dwanaście razy więcej, opiekując się ogrodem amerykańskiego kongresmana, tymczasem farma jej ojca upadała, bo nie była w stanie konkurować z dotowaną amerykańską kukurydzą.

– NAFTA nie *bueno* – powiedział nam Leo w żargonie będącym mieszanką

angielskiego i hiszpańskiego. – Człowiek żyje… *como un burro*. Jak osioł.

Furgonetka trzęsła się na wybojach, a następnie skręciła i wjechaliśmy na gładką nawierzchnię z czterema pasami ruchu, która poprowadziła nas przez Factory Row. Schludne, nowe obiekty z zielonymi trawnikami, całą masą strażników i kamer monitoringu. Były tam zakłady Caterpillar z Illinois.

Corning z Nowego Jorku. Fabryki włókiennicze z Południa. Chwilunia. A to co takiego? Delphi. Producent części samochodowych z Flint w stanie Michigan, który kiedyś był działem General Motors.

Flint. Mój zakątek świata, gdzie ludzie żyli teraz jak *burro*.

– Kurwa – powiedział chrapliwie Bob z rozgrzanego jak piec tyłu furgonetki. – To stara firma mojego taty.

Nagle przytłoczyło nas to wszystko. Kartele i głodne dzieci. Strzelaniny i brudna woda. Patrole graniczne i zamaskowani *federales*. Dolar piętnaście za godzinę i kubeł do srania. Żaden z nas nie odezwał się ani słowem. Bob wytarł oczy. Były czerwone, ale nie byłem pewien, czy to od potu.

Leo odstawił nas na granicę, wypiliśmy to piwo, a potem wróciliśmy do Stanów Zjednoczonych. Matt czekał na nas w pobliżu ogrodzenia z siatki.

– Jak poszło?

– Ziom, wracamy do domu, do Flint – powiedziałem. – Chyba powoli zaczynam kapować.

Czerwone zęby

Flint, Michigan

Lato

Na kool-aida była chyba jakaś promocja, bo wyglądało, jakby wszyscy w osiedlu przyczep go pili. Starszy facet w furgonetce, dzieci bawiące się w stercie złomu, który pozostał po starej, zdemontowanej przyczepie

kempingowej, biały maluch z pełną pieluchą, wychylający się przez okno.

Każdy mieszkaniec osiedla domków mobilnych Kirkwood miał zęby zabarwione na czerwono. Każdy, z wyjątkiem Dee Johnson, białej pięćdziesięciolatki. Akurat dziś Dee nie włożyła zębów.

– O co chodzi z tym kool-aidem? – zapytałem.

Jak mi wyjaśniła, kranówka wygląda jak gówno i dokładnie tak samo smakuje. Kiedyś mieli wodę z Detroit, ale potem miasto z jakiegoś powodu zmieniło dostawcę i teraz pobiera ją prosto z zatrutej rzeki Flint. Urzędnicy zapewniali ludzi, że wszystko z nią w porządku, ale mimo to bez cukru nie da się jej pić. Inaczej można się porzygać.

Za przyczepą z berbeciem zwisającym z okna znajdowało się pole poprzemysłowe,

półtora

kilometra

kwadratowego

cementu,

ostów

i rachitycznych drzew. Półtora kilometra kwadratowego postindustrialnej nicości. To tutaj działały kiedyś zakłady Delphi produkujące świece zapłonowe, pompy paliwowe, wskaźniki poziomu oleju, prędkościomierze.

Firma pompowała też wypłaty: w szczytowym okresie ponad dziesięć tysięcy wypłat tygodniowo. Plus benefity. Naprawdę niezłe benefity. O te benefity wszystko się rozbiło.

Delphi było oddziałem General Motors, ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych GM wydzieliło je w ramach oszczędności. Wtedy stało się samodzielnym przedsiębiorstwem. Jednak finansowe sztuczki nie zdołały

uratować firmy, więc Delphi, największy producent części samochodowych

na świecie, ogłosiło upadłość w 2005 roku, co wstrząsnęło całym przemysłem motoryzacyjnym.

Delphi zrzuciło swoje zobowiązania emerytalne na głowy amerykańskich podatników, ponieważ płace pracowników zostały zmniejszone o połowę, a kadra kierownicza przytuliła miliony dolarów premii. Następnie firma otrzymała miliardy dolarów w ramach pomocy od rządu federalnego, zamknęła większość swoich fabryk w USA i przeniosła siedzibę do Anglii, żeby uniknąć płacenia podatków do amerykańskiego budżetu.

W chwili ogłoszenia upadłości dla Delphi pracowało pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów. Niespełna dekadę później firma zatrudniała ponad pięćdziesiąt tysięcy meksykańskich pracowników, stając się tym samym jednym z największych pracodawców w tym kraju, z fabrykami w miejscach takich jak Reynosa. A w miejscach takich jak Flint zostały opustoszałe dzielnice.

Nie dziwi, że Flint, Samochodowe Miasto, należało do przeszłości. Miasto Morderców. Komenda policji zamknięta w weekendy. Nędzne szkoły. Cztery na dziesięć osób żyjących w ubóstwie. Wszystko stanęło na głowie. Flint: nie można pić wody. Delphi: *Hecho en México*.

Flint jest kolebką General Motors i United Auto Workers oraz masowych kredytów. Przez długie lata fabryki pracowały pełną parą, a do rzeki Flint trafiało tyle toksycznych odpadów przemysłowych, że podobno jak człowiek chciał wyczyścić coś z mosiądzu, to wystarczyło wrzucić to do wody. Ale Flint było bogate. Nie potrzebowało rzeki. Mogłoby sobie sprowadzić wodę z Detroit oddalonego o sto kilometrów. Jednak potem miejsca pracy trafiły do Meksyku, a lokalni politycy źle zarządzali i kradli. Tak nastąpił koniec Samochodowego Miasta. Uciekło stąd kilkadziesiąt tysięcy ludzi.

W 2011 roku Flint zostało przejęte przez rząd federalny i pozbawione aktywów, które poszły na spłatę zadłużenia. A teraz dla oszczędności gubernatorzy kazali ostatnim mieszkańcom pić wodę z rzeki Flint.

Nawet dzieci wiedziały, że bez kool-aida nie da się jej pić.

Kawałek dalej za osiedlem sypiących się przyczep rozciągał się kolejny poprzemysłowy teren, kolejna martwa fabryka, gdzie ograbione z przyszłości dzieci o krwistoczerwonych zębach grzebały w syfie. Żadne z nich nie miało najmniejszej szansy w życiu.

Może ktoś zdjąłby tego dzieciaka z okna, pomyślałem. Za chwilę spadnie i skręci sobie kark! No i, kurważeż mać, niech mu ktoś zmieni tę pieluchę, bardzo proszę.

„Bezrobocie i zabójstwa – w zasadzie tylko to zostało we Flint” –

powiedziała Dee, która tu dorastała, tu wychowała dzieci i tu przestała się liczyć. Nie liczyła się dla rządu. Nie liczyła się dla tych, którzy trzymali władzę. Nie liczyła się, ale ciągle jeszcze żyła.

Ślad po fabryce, której od dawna nie było. Praca poszła gdzie indziej, wykonywana przez kogoś innego, kto dostawał za nią ochłapy, albo przez maszynę, która nie potrzebowała ochłapów, ubezpieczenia zdrowotnego ani ewidencji czasu pracy. Serce krajało się na ten widok. Dorastałem w pobliżu fabryki przekładni Forda. Bob przez jakiś czas był zatrudniony w GM, a jego ojciec przepracował tam trzydzieści lat. Pod koniec to jego stary pomagał

fabrykom przenieść się do Meksyku, zorganizować je na miejscu na nowo i uruchomić. Teraz tego żałuje. Ale jak nie on, to ktoś inny i tak by to zrobił.

To właśnie tym zakładom dosłownie zawdzięczaliśmy jedzenie na stole, mięśnie na grzbiecie i dobre szkoły w dzielnicy. Byliśmy z nimi zrośnięci.

Jasne, chłopaki takie jak ja, Bob i Matt, który dorastał w pobliżu odlewni stali w Gary w stanie Indiana, podorabiały się i wyprowadziły z rodzinnych miast. Wyrośli z nas światowcy, ale zawsze będziemy dziećmi przemysłu metalurgicznego.

Tak samo było z Dee. Dee to nasza siostra. Jej dzieci to nasze dzieci.

Wyglądała na starszą niż w rzeczywistości. Zamieniła się w kobietę Trzeciego Świata, podczas gdy *campesina* w Reynosie przeistoczyła się w

więźnia w rozgrzanym boksie w slumsach nowej globalnej gospodarki.

Powołując się na koncepcje przewagi komparatywnej i kosztów alternatywnych, szefostwo obiecało, że zmiany wyjdą na dobre ludziom takim jak Dee i dzieciaki, które tu dziko żyją: wolny handel i nowe publiczne źródło wody. Tyle że tak się nie stało. Wystarczy spojrzeć na wodę, która płynie z kranu. Nie tylko wygląda jak gnojówka, ale i pewnie zawiera prawdziwe gówno.

Mówili, że można w niej kąpać dzieci. Mówili, że gospodarka się poprawia. A te kobiety i dzieci z Ameryki Centralnej, które pchają się przez granicę? No cóż, powiedzieli, znajdzie się tu miejsce dla tych zdesperowanych mas, ponieważ jesteśmy wspaniałomyślnym narodem.

Ale co z *nami*? – zapytali ludzie tacy jak Dee. Co z *naszymi* dziećmi?

Robimy wszystko dla tamtych dzieci, ale co z *naszymi* dziećmi tutaj?

Nikt cię nie słucha, siostro.

W zeszłym tygodniu Delphi ogłosiło rekordowe zyski. Ale na co te zyski

poszły? Bo na pewno nie na to syfiaste osiedle przyczep. Nie do amerykańskiego budżetu. Wielokrotnie próbowałem umówić się na spotkanie z Rodem O’Nealem, prezesem Delphi, ale nie udało mi się z nim porozmawiać. A raczej nie chciał nas przyjąć. Ale to jest telewizja, a od korporacyjnej nowomowy spada oglądalność. Czy Delphi jest coś winne Amerykanom? Czy to w ogóle jest jeszcze amerykańska firma? Czy teraz, kiedy pieniądze płynęły szerokim strumieniem, zamierzała zwrócić otrzymane środki ratunkowe i spłacić zobowiązania emerytalne? Jak Rod O’Neal zamierzał wydać 14,8 miliona dolarów na wynagrodzenia i premie?

A może na całodobowy zapas pampersów dla dzieciaka z przyczepy?

Przynajmniej tyle mógł zrobić.

Pojechaliśmy do „siedziby operacyjnej” Delphi. Mieści się na

przedmieściach Detroit, mniej więcej pół godziny jazdy międzystanową numer 75. Rod ma tam swoje biuro. Zdecydowałem, że Rod powinien powiedzieć to i owo do kamery.

Mama mnie nauczyła, że w gości nie idzie się z pustymi rękami. Trzeba przynieść jakiś prezent na znak szacunku i sympatii. Zatrzymaliśmy się więc przed sklepem. Mieli tu szeroki wybór towarów: sznurowadła z Bangladeszu, prezerwatywy wyprodukowane w Indiach, nawet siedziba tego pieprzonego sklepu była w Azji. W końcu znalazłem odpowiedni prezent: burrito do podgrzania w mikrofali „złożone w Meksyku".

– Prezent jak się patrzy – powiedział Bob ze śmiechem. – O'Nealowi na pewno się spodoba.

Tak zwane globalne biuro administracyjne Delphi to duży, paskudny bunkier na rozległym parkingu, tuż przy węźle drogowym, położony w samym środku absolutnie niczego. To tutaj pracuje biały establishment.

Garnitury. Zewnętrzni zleceniodawcy. Mózgi globalnego konglomeratu.

Oczywiście z wyjątkiem pana O'Neala. Pan O'Neal jest czarny. A więc Delphi zarobiło parę punktów za różnorodność, pomyślałem.

Zgubiliśmy się i błądziliśmy po rozległym terenie, aż w końcu po nas przyszli. Widok był niesamowity. Jak okiem sięgnąć żadnych oznak życia.

Żadnego

ruchu.

Żadnych

ludzi.

Żadnych

ptaków

na

starannie

przystrzyżonych trawnikach.

Weszliśmy do głównego budynku. Znowu ochrona. Ponownie pitolenie o kamerach. I to samo pytanie, co zawsze. Macie akredytację?

Jasne, oczywiście. MEDIA – PRASA – OFICJALNA LEGITYMACJA

R E P O RT E R S K A .

Wreszcie otoczona wianuszkiem ochroniarzy rzeczniczka w źle dopasowanej bluzce bez rękawów wywaliła nas na zbity pysk, ale przynajmniej zdążyliśmy jej wręczyć burrito dla Roda.

Powinienem był przynieść mu parę butelek wody, bo wkrótce po naszej wizycie pojawiło się takie ogłoszenie:

O S T R Z E Ż E N I E D L A M I A S TA F L I N T

D O T Y C Z Ą C E W O D Y P I T N E J

O B S Z A R M I A S TA F L I N T J E S T Z A N I E C Z Y S Z C Z O N Y

B A K T E R I A M I K A Ł O W Y M I

W O D Ę N A L E Ż Y Z A G O TO WA Ć P R Z E D U Ż Y C I E M

Biały to nowy czarny

Detroit

Lato

We Flint dzieci miały przynajmniej dostęp do wody. W Detroit musiały ją kraść. Niegdysiejsze „Motor City” znajdowało się teraz pod zarządem

państwowym i usiłowało podnieść się po najbardziej spektakularnym bankructwie w historii Stanów Zjednoczonych. W poszukiwaniu potencjalnych

źródeł

dochodów

zaglądano

pod

każdy

kamień,

przeczesywano wszystkie szczeliny i obmacywano poduszki na kanapie.

Emerytury i świadczenia zdrowotne dla pracowników sektora publicznego zostały ograniczone. Obcięto nadgodziny i fundusz urlopowy dla policjantów. Strażacy przejęli obowiązki ratowników medycznych.

Wyprzedano tunele i parkingi miejskie.

Przyszedł też komornik i wyrzucił na ulicę tysiące rodzin za to, że nie płaciły podatków od nieruchomości (albo raczej za to, że nie płacił ich kamienicznik). Ludzie gnieździli się jak gryzonie, sąsiedzi i krewni, a niekiedy także obcy dzielili jeden dom, pokój, szafę, a nawet podjazd, na których staruszki sypiały w furgonetkach bez żadnej ochrony. Jedyną alternatywą był squat. Tysiące ludzi włamywało się do niezamieszkanych domów i je zajmowało. Wystarczyło podłączyć się do skrzynki zasilania elektrycznego, zrobić obejście gazomierza za pomocą piłki ręcznej i gumowej rurki, i już można było gotować. Przynajmniej dopóki nie przyjadą gliny albo dom nie wyleci w powietrze.

Potem miasto odebrało samo źródło życia. Z powodu braku płatności wyłączono usługę wodociągową piętnastu tysiącom gospodarstw domowych,

a w nadchodzących miesiącach ten sam los miał spotkać kolejne dziesiątki tysięcy. Nie oszczędzono nikogo, kto zalegał z opłatami za sześćdziesiąt dni – starszych, inwalidów ani dzieci.

W dzielnicy East Side młoda ciemnoskóra kobieta imieniem Letishia kąpała swoje dziecko w plastikowej misce na podwórku przed domem, używając do tego wody ukradzionej z opuszczonego domu obok, w którym nie było okien, a trawnika od dawna nikt nie kosił, ale – jak na ironię – nadal miał dostęp do wody. Było upalne popołudnie, więc polałem sobie głowę z węża podłączonego do ciągle działającego kranu. Wieści szybko się rozchodzą i wkrótce zaroiło się od ludzi z okolicy, którym odcięto wodę.

Mieli ze sobą dzbanki, wiadra ogrodnicze i kubły po farbie. Zmierzali do studni jak plemię Beduinów, tyle że oni akurat byli tak biedni, że nie stać ich było na wielbłąda, który pomógłby im zanieść zapasy do domu.

Śródmieście Detroit to całkiem inna bajka. Rozkwitało dzięki inwestycjom miliarderów, którym przyznano hojne ulgi podatkowe i dotacje publiczne. Do śródmieścia wracali biali mieszkańcy. Wszystkie lofty były pozajmowane. Po raz pierwszy od czterdziestu lat wybrano białego burmistrza, ponieważ wyglądał na kompetentnego. W fontannie Horace'a Dodge'a leżało mnóstwo monet. Otwierano nowe restauracje, bary i galerie sztuki, sklepy z obuwiem tenisowym i butiki odzieżowe, a wszędzie było zdecydowanie za dużo koszulek z hasłami: „Detroit kontra reszta świata",

„Detroit ciśnie mocniej", „Importowane z Detroit", „Miasto Wielkiego Powrotu" i tak dalej.

Wszędzie wyrastały piaskownice, boiska do koszykówki i food trucki dla millenialsów pracujących dla Dana Gilberta, właściciela Quicken Loans, potentata na rynku kredytów hipotecznych, który wykupił dziesiątki opuszczonych budynków w centrum miasta i przeniósł tam swoich ludzi i biura. Jednocześnie Departament Sprawiedliwości pozwał jego firmę na kilkadziesiąt milionów dolarów, oskarżając ją o zawyżanie dochodów i wiarygodności finansowej kredytobiorców oraz nakłanianie rzeczoznawców do poświadczenia nieprawdy podczas wyceny nieruchomości, dzięki czemu o

federalne ubezpieczenie mogli ubiegać się kandydaci, którzy normalnie by się nie zakwalifikowali.

Dochody

z

podatku

od

nieruchomości

nie

trafiały

już

do

zbankrutowanego, ledwo zipiącego systemu szkolnictwa publicznego w Detroit; szły na budowę nowej profesjonalnej hali hokejowej dla obracającej miliardami rodziny Ilitchów, właściciela drużyn Detroit Red Wings i Detroit Tigers, sieci pizzerii Little Ceasars oraz kasyna Motor City.

Red Wings też zalegali z płatnością za wodę, ale miasto nic im nie robiło.

Hej, bez wody nie ma lodu.

Znad krawędzi filiżanki kawy za trzy dolary patrzyłem, jak dorośli hipsterzy na jakimś zorganizowanym przez Quicken firmowym seminarium integracyjnym piszczą z zachwytu i biegają między piaskownicami, obrzucając się balonami z wodą. Kupa śmiechu. Oto historia tryumfalnego powrotu.

A dokładniej mówiąc, to opowieść o dwóch miastach. Niewielki, zamożny, biały rdzeń, który przybył tu na wielkiej miotle gentryfikacji, beztrosko

nieświadom, że tuż za rogiem rozpościerają się wielkie, buzujące, dickensowskie czarne przedmieścia, nabrzmiałe i duszące się od rozgoryczenia. Budziło to skojarzenia z wygłodniałym człowiekiem, który stoi za szybą pokrywającą się powoli parą od jego oddechu i patrzy, jak po drugiej stronie okna ktoś zabiera się właśnie do ragoût z jagnięciny z warzywami prosto od rolnika (pyszne i bardzo popularne danie serwowane w jednej z nowych, luksusowych restauracji, rzut kamieniem od zaułka, gdzie ogrzewali się bezdomni). Takie sceny były na porządku dziennym w nowym Detroit.

– A co z nami? – zapytała Letishia w zdewastowanej czarnej dzielnicy, dokładnie tak samo, jak Dee w zdewastowanym białym osiedlu przyczep. –

Nawet wodę nam zabrali. Jak nie masz wody, to umierasz. Czy tego właśnie chcą? Żeby moje dziecko umarło? Bo jesteśmy biedni?

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, poza tym, że biedni nie mogli płacić, a bogaci nie chcieli. Spróbujcie sobie teraz wyobrazić wściekłość tych, którzy znaleźli się pośrodku, coraz bardziej ściśnięci i zmuszeni do wzięcia na siebie zobowiązań za oba skrajne bieguny. Wyobraźcie sobie, co będzie, kiedy ten cały wielki środek będzie miał dość.

Ale wcześniej wybuchnie getto. Czułem to przez skórę. Najpierw wybuchnie getto, a zaraz po nim park przyczep. Getto zawsze pierwsze odczuwa konsekwencje. Ubóstwo, bezrobocie, odpływ inwestorów, więzienie. Zostawiona na pastwę losu i wyrzucona poza społeczny nawias czarna biedota jest zawsze na pierwszej linii, gdy rozpętuje się piekło. To jest stały element amerykańskiego życia. W pozbawionej wody i nadziei najbiedniejszej metropolii Ameryki emocje wrzały. Prędzej czy później coś musiało pęknąć. Nie minęło kilka dni, a okazało się, że miałem rację. Tyle tylko, że wytypowałem niewłaściwe miasto. To nie było Detroit, ale Ferguson w stanie Missouri.

Prawdziwym powodem tego, że wśród Murzynów brak przemocy uchodzi za cnotę, jest to, że biali nie chcą, by cokolwiek zagroziło ich życiu, ich wyobrażeniu o nich samych ani ich własności.

James Baldwin

Próbując wyjaśnić mi, na czym polega afrykańskie doświadczenie w Missouri, Charles, czarnoskóry facet, opowiedział mi poniższą historię.

Staliśmy na przedmieściu St. Louis, w miejscu, gdzie wcześniej doszło do grabieży i podpaleń w odpowiedzi na zabicie przez policję nieuzbrojonego czarnego nastolatka.

Pierwsza znana wzmianka o wyrażeniu „sprzedać kogoś w dół rzeki", które oznacza tyle co „nabrać kogoś, oszukać, zdradzić", pochodzi z 1835

roku. Pojawiła się w dzienniku stolarza z Missouri. Pisze on, że pewien niewolnik o imieniu Elies dowiedział się, że ma zostać sprzedany i trafi na plantację położoną nieco dalej w dół rzeki Missisipi, gdzie pracujących na polach bawełny ludzi traktowano szczególnie brutalnie. Na wieść o tym Elies wpadł w straszliwą rozpacz, najpierw próbował odrąbać sobie nogi, potem podciąć sobie gardło, a następnie rzucił się do rzeki i utopił.

Brzmiało to trochę jak miejscowa legenda, ale na wszelki wypadek ją sobie zanotowałem. Sprzedał mnie w dół rzeki. Kiedy wróciłem do domu na Północ, sprawdziłem źródła. Okazało się, że Charles mówił prawdę, co kolejny raz uświadomiło mi, że Amerykanie na ogół słabo znają własną historię wcale nie dlatego, że jakoś szczególnie trudno jej się nauczyć, ale raczej dlatego, że niełatwo się o niej słucha.

Charles twierdził, że stan Missouri zniósł niewolnictwo jako ostatni.

Przyznam się od razu, że to też musiałem sprawdzić. W Ameryce uczą za mało historii. Z tym niewolnictwem w Missouri Charles również miał rację –

do pewnego stopnia. Kiedy w 1863 roku Abraham Lincoln podpisał

proklamację emancypacji, przyznał wolność niewolnikom Konfederacji.

Jednak pięć stanów przygranicznych, które nominalnie pozostawały lojalne wobec Unii, również zezwalało na niewolnictwo. Lincoln nie chciał, żeby

Delaware, Maryland, Kentucky, Virginia Zachodnia i Missouri odłączyły się od Północy, więc zwlekał jeszcze przez dwa lata z wyzwoleniem tamtejszych niewolników.

Tyle mówi historia. Charles podzielił się ze mną własną wizją przyszłości miasta St. Louis w stanie Missouri, jedną ręką wskazując na tlące się zgliszcza i potłuczone szkło, a drugą podtrzymując synka.

Media niedługo się stąd wyniosą, ale [*policja*] *St. Louis niczego nie zapomni.*

Charles uważał, że kiedy sytuacja się uspokoi i wszystko wróci do normy, gliniarze spuszczą komuś czarnemu wpierdol, żeby było kwita.

I właśnie dlatego, a także dla dobra synka, Charles planował

przeprowadzkę w górę rzeki.

St. Louis Blues

Ferguson, Missouri

Lato

Wylecieliśmy w powietrze jak Steve McQueen w Bullitcie. Ale to nie był

fastback 1968, tylko stary, na śmierć zajechany SUV, który ciągle się krztusił

i miał zdecydowanie za dużo na liczniku. Cisnąłem ostro pod górę, ale nie wiedziałem, że droga, która przecina północny kraniec miasta, w pewnym momencie stromo opada. Jechaliśmy jakieś sto trzydzieści na godzinę i wyrzuciło nas pod kątem. Mieliśmy do wyboru: owinąć się wokół latarni albo wrąbać się w kruchtę kościoła za nią. Kruchta była lepsza. Służby ratownicze zazwyczaj mają ręce pełne roboty podczas zamieszek. Jak się wbijesz w kościół, to jest szansa na spektakularną rzeź, więc karetka pogotowia może przyjechać na czas i uratować ci życie. Ale dwóch dziennikarzy nadzianych na słup? Łyknij ze dwie aspiryny i zadzwoń do mnie rano, synu.

Kuuurrrwaa! Razem z Mattem wydarliśmy się jak przyduszone kocury, kiedy samochód opadł, zahaczył o krawężnik, podskoczył dwa razy i w końcu wrócił na trasę bez najmniejszego uszczerbku. Zdjąłem nogę z gazu i powolutku podjechaliśmy na róg West Florissant Avenue w Ferguson, gdzie widać było coraz to nowe płomienie i tańczące w cieniu zamaskowane postacie.

Byliśmy tu wcześniej, gdy tysiące ludzi wyszło na ulicę, żeby uczcić wycofanie się sił policyjnych po długim, paskudnym tygodniu okupacji w stylu wojskowym. Powykręcane ruiny spalonej stacji benzynowej sieci QuickTrip spowijał mrok, a na otaczającym ją płocie z siatki ciągle jeszcze wisiały banery: „Ręce do góry! Nie strzelać".

Miejsce padło ofiarą przekazywanej z ust do ust i rozchodzącej się lotem błyskawicy po pobliskim osiedlu plotki, że jeden z pracowników tej stacji

zadzwonił ponoć na policję i powiedział, że Michael Brown, czarny osiemnastolatek, właśnie ją okrada.

Nieważne, ile prawdy było w tych pogłoskach – gliniarze przyjechali na wezwanie, uruchamiając całą serię kontrowersyjnych wydarzeń, wskutek których nieuzbrojony Brown padł martwy na ulicę, sześciokrotnie postrzelony w głowę, klatkę piersiową, ramię i rękę przez białego funkcjonariusza.

„Puścić z dymem skurwiela!" Rozgorzał karnawał ognia. Jakieś chujki zaczęły kraść felgi i opony, prasa ostrzyła sobie zęby, a dziennikarze telewizji kablowej mieli gotową historię. „Co za zwierzęta".

A potem przyszły posiłki, gaz łzawiący i ciężkie buciory, zamaskowani policjanci ubrani jak komandosi z Team Six. Całodobowa godzina policyjna i tarcze do tłumienia zamieszek. Zakaz szwendania się po mieście, aresztowania. Shitshow w sam raz dla bezdennej, żarłocznej paszczy wiadomości.

Przez kolejne dni QuickTrip stał się kaplicą, sanktuarium i Bramą Nikanora dla nowego ruchu. Pastorzy, gangsterzy, ciekawscy staruszkowie, politycy i

dzieci z okolicy przybywali tłumnie, żeby się tu pomodlić, podyskutować,

poplotkować,

wymienić

się

teoriami

spiskowymi,

najnowszymi informacjami i wzajemnymi zapewnieniami, a także udzielać wywiadów mediom.

No i media, nazjeżdżało się tu całe mnóstwo mediów. Co za widowisko!

Wielki cyrk informacyjny nadający na żywo przez całą dobę, dziennikarze w obowiązkowym makijażu[1] i ciuchach khaki, prowizoryczne stanowiska reporterskie organizowane na parkingach magazynów i chińskich restauracji.

Nie pogardzimy żadną historią. Zapraszamy wszystkich jak leci. Zjawiła się trupa mimów i dała przed kamerami milczące przedstawienie, a po nich wystąpił zespół breakdance. A dlaczego by nie? Zdarzyła się straszna tragedia, ale grzech byłoby stracić okazję do darmowej reklamy. Ferguson jest częścią Ameryki, chyba rozumiecie?

Mimo wszystko dyskutowano tutaj także o poważnych sprawach.

O oburzeniu na policję z Ferguson i St. Louis. „Czarny podczas prowadzenia pojazdu" – wszyscy tu rozumieli, że czterech czarnych mężczyzn w jednym samochodzie może stanowić zagrożenie dla zdrowia, to jest dla zdrowia przynajmniej jednego z tych czarnych mężczyzn. O zacofaniu Missouri,

terytorium białej hołoty, jednego z ostatnich stanów, które zrezygnowały z instytucji niewolnictwa, choć zgodnie z tym, co myśleli i czego doświadczali na co dzień mieszkający tu ludzie, nigdy go w pełni nie zniesiono. Tu od zawsze trzymali cię pod butem. Więzienie i bicie, grzywny sądowe.

Nowoczesna pańszczyzna. Więzienie to tylko inna wersja starego systemu dzierżawy skazańców.

– Jestem dumny z mojego ludu – powiedział mi Brian, młody, rozemocjonowany chłopak, kiedy zapytałem go o podpalenia i grabieże. – To nasz hymn. Czarna pięść. Wołanie o uwagę. Odwet za Trayvona Martina.

(Tego nieuzbrojonego czarnego siedemnastolatka zastrzelił nie policjant, ale pół biały, pół Latynos, zwykła menda ze straży sąsiedzkiej. Ale i tak blisko).

Erica Garnera policjanci udusili tylko dlatego, że próbował sprzedawać fajki po dolara za sztukę w nowojorskim Staten Island, gdzie paczka papierosów kosztuje czternaście dolarów. Garner miał sześcioro dzieci do wykarmienia. Dlaczego nie wypisaliście mu po prostu mandatu? Dlaczego musieliście go udusić? Sytuacja ekonomiczna przerodziła się w rasowy impas, a ten z kolei zaowocował kolejnym czarnym trupem.

No i Rodney. Nie możemy zapomnieć o Rodneyu Kingu. Widzieliście to wszyscy. Jak go pobili. A teraz – jak wyjaśnił mi Brian – St. Louis ma Michaela. On był nasz, ten szajs ciągnie się od czasów niewolnictwa, a my wywalczymy sobie wreszcie sprawiedliwość.

Wybuch zamieszek był spontanicznym, gwałtownym apelem o własny głos w tak zwanej Ameryce. A jeśli nie dostaną go ludzie tacy jak Brian i Charles czy Kerwin i Delmont, którzy kręcili się pod stacją QuickTrip, to wkrótce płomienie ogarną całą metropolię St. Louis – białą, czarną i arabską.

To była obietnica. A te kradzione opony i felgi?

– Walić to – powiedział Brian. To nie o to tu chodzi. To tylko parę fantów, takie coś ekstra do tej sprawiedliwości, dziesięcina dla arcykapłanów nieposłuszeństwa.

– Szkoda, że mnie tu nie było… Ej, mam gibona, zajarasz?

Przedmieścia St. Louis budziły się powoli, a osiemnastolatek zastrzelony z rękami podniesionymi do góry stanowił wybawienie. To, czy Michael Brown

naprawdę trzymał ręce w górze, pozostawało kwestią sporną. Było jasne, że nie miał przy sobie broni. Ale skoro jego przyjaciel stał tu w upalny letni dzień i opowiadał do kamer telewizji kablowej, że Michael trzymał ręce

w górze, a telewizja kablowa zamierzała to nadawać bez sprawdzania, to właśnie tak było, przynajmniej w oczach tutejszej czarnej społeczności.

Michael trzymał ręce w górze. To była egzekucja. W to wierzyli Brian i jego znajomi.

Były oczywiście dwie wersje: czarna i biała. Policjant bez powodu strzelił

w plecy dzieciakowi, który podniósł ręce; został zatrzymany na środku ulicy tylko dlatego, że był czarny. Tak mówiła pierwsza wersja.

Według drugiej wersji – białej – to rosły, ważący prawie sto pięćdziesiąt kilogramów mężczyzna, który przed chwilą obrabował sklep na stacji QuickTrip, zaatakował policjanta. Funkcjonariusz miał po prostu poprosić młodego człowieka i jego towarzysza, żeby zeszli z ulicy, żeby byli tak uprzejmi i skorzystali z chodnika. Brownowi odbiło, uderzył policjanta pięścią i sięgnął po jego broń. Obawiając się o swoje życie, funkcjonariusz musiał oczywiście użyć siły ze skutkiem śmiertelnym.

Tak czy inaczej, ciało Browna leżało ponad cztery godziny na ulicy pod oknami mieszkań na Canfield Drive w promieniach sierpniowego słońca, a policja nawet nie zadała sobie trudu, żeby je czymś przykryć. Ludzie patrzyli, szeptali między sobą, szeptali coraz głośniej, aż w końcu zaczęło się w nich gotować.

Gliniarze nie od dziś spuszczają nieuzbrojonym czarnym łomot i nie było to nic nowego, ani tutaj w Missouri, ani gdziekolwiek indziej w całej Ameryce. Ale w Ferguson szykowało się coś jeszcze, działał tu jeszcze inny czynnik, wprawdzie niewidzialny, ale namacalny i brutalny. Większy, groźniejszy wróg.

Rząd.

Ferguson nie mogło sobie samo na siebie pozwolić. Biurokracja przerastała możliwości podatników. Ratusz i policja pozostawały w przeważającej mierze białe, podczas gdy miasto w ciągu ostatniego dziesięciolecia zmieniło kolor.

Miejską kasę trzeba było jakoś zapełnić, ale władze nie chciały redukować swoich etatów ani uszczuplać własnego budżetu. Zamiast tego postanowiły przycisnąć obywateli Ferguson. Wykorzystano do tego policję. Dwie trzecie mieszkańców stanowili czarni, ale dziewięćdziesiąt procent policjantów to biali, przy czym osiemdziesiąt pięć procent przypadków zatrzymania przez policję dotyczyło czarnej ludności, podobnie jak dziewięćdziesiąt procent

przeszukań i dziewięćdziesiąt pięć procent aresztowań, choć badania przeprowadzone przez władze stanowe i federalne wykazały, że to biali częściej przewożą kontrabandę podczas jazdy samochodem.

Ponadto dziewięćdziesiąt pięć procent mandatów za prowadzenie pojazdu w stanie rozproszenia uwagi, nieprzestrzeganie przepisów lub dziwne, wcześniej mi nieznane wykroczenie – „sposób chodzenia” – wymierzano czarnym.

Według raportu Departamentu Sprawiedliwości, kiedy w 2012 roku do kasy sądów w Ferguson wpłynęło łącznie ponad dwa miliony dolarów, czyli dwukrotnie więcej niż w poprzednim roku, zarządca miasta – biały – wysłał

mejl do komendanta policji, również białego: „Super! Dzięki!”.

Jednak tego nie trzeba było mówić młodym czarnym ludziom, takim jak Brian. Oni mieli to na co dzień. Zawyżone opłaty sądowe, kary za opóźnienia w płatności, wpierdol od policji na posterunku, a potem rachunek za czyszczenie mundurów funkcjonariuszy z twojej krwi – nikt by długo nie wytrzymał. Dodaj martwego nastolatka leżącego przez cztery godziny na rozgrzanej jak patelnia ulicy i zacznij się szykować na niepokoje społeczne.

– Rząd nie jest dla ludzi – powiedział Brian, popijając teraz gin z sokiem.

Pojęcia nie mam, skąd to wytrzasnął, ale jakoś wytrzasnął. Nie tylko drinka,

ale i filozofię. – Rząd jest *wrogiem* ludu. Rząd pożera ludzi żywcem. Chcesz łyka?

Ja pierdykam, pomyślałem. Brzmiał zupełnie jak Carrie Dann na pustyni.

Albo jak Psinka na ranczo Bundy’ego. Jak ta starsza zawodniczka w osiedlu przyczep we Flint. *Rząd jest przeciwko mnie. Tyrania! Bunt przeciwko machinie!*

Kamery telewizyjne co wieczór pokazywały wojskowe metody policyjne w Ferguson, więc władze w końcu się ugięły i nie tylko ujawniły, jak nazywał się funkcjonariusz, który zastrzelił Michaela Browna – Darren Wilson – ale także wycofały siły porządkowe i zniosły trwający od tygodnia stan wyjątkowy, dając czarnej ludności poczucie, że udało się im wypędzić okupanta, uliczny gang niebieskich, armię *wroga*.

Zniknęły pojazdy opancerzone, zniknęli gliniarze w moro i kamizelkach kuloodpornych, wpatrujący się w celowniki karabinów, z których można strzelić do celu odległego o pół kilometra, mierzący z broni kalibru 5,56 milimetra do obywateli bez żadnego konkretnego powodu. Gubernator

postawił nawet na czele policji czarnego faceta – kapitana Rolanda Johnsona ze stanowej drogówki. Na polecenie kapitana policjanci pozwalali teraz ludziom stać na chodniku. I ludzie to robili. Gin z sokiem. Samochody po tuningu paliły gumę na ulicach. Tworzyły się kółka modlitewne. Ludzie chcieli pokazać swoim dzieciom *ten moment*, w którym to wszystko się wydarzyło. Zwycięstwo. Samochody stały w korku aż do autostrady. Nowe Czarne Pantery kierowały ruchem. Pojawił się nawet celebryta, chociaż, jak się okazało, wcale nie był w tych stronach tak popularny, jak można by się spodziewać.

– W dupie z Jesse’em. Dlaczego dopiero teraz przyjechał? A wcześniej to gdzie niby był? Widziałeś? Zdjęcia se robi.

– Pierdolę, ja też chcę fotę. Hej, Jesse! Mogę sobie zrobić z tobą zdjęcie?

Było to spokojne i ekscytujące jednocześnie. Na jedno krótkie, jasne

popołudnie zwycięstwo było po czarnej stronie St. Louis, która rzadko kiedy wygrywała.

A potem zapadły ciemności.

Pokręciliśmy się na rogu do około jedenastej. Było spokojnie, więc wróciliśmy do hotelu, żeby coś zjeść i przemyć twarze. Nagle w moim pokoju zadzwonił telefon – Matt. Oglądał szabrowników w programie lokalnej stacji telewizyjnej. Filmowano ich z daleka, przez mocny obiektyw zmiennoogniskowy. Żaden szanujący się kamerzysta nie wejdzie między latające koktajle Mołotowa i zamaskowanych obwiesi, którzy kradną mięso, przedłużki do włosów, wódkę i najdroższe papierosy.

Załomotaliśmy do drzwi Boba. Spał jak zabity, nie przestał chrapać nawet na chwilę. Zostawiliśmy go więc i pojechaliśmy na West Florissant Avenue.

Zatrzymaliśmy się tuż obok stacji benzynowej, przy pasażu handlowym, świeżo ogołoconym do czysta. Kiedy zabrakło poprzedniej władzy, na jej miejsce pojawiła się nowa i narzuciła nowy system wartości. Tłum.

Szarańcza. Anarchia. Egoistyczna destrukcja wyzwolona z oków moralności.

A któż to nadchodzi z naprzeciwka, podśpiewując pod nosem, zadowolony, jakby mu się poszczęściło na szkolnej dyskotece? Brian! Stary dobry Brian wyszedł sobie na wieczorny spacer.

– Policjanci wsiedli do radiowozów i odjechali – powiedział. – Po prostu wzięli i poszli. Jebać ich.

Miał rację. Nigdzie nie było ani jednego policjanta. To musiała być jakaś pomyłka. Miasto stało w ogniu. Zadzwoniłem więc na 911. Miejscowy dyspozytor skierował mnie do oddziału policji hrabstwa, ale mnie z nim nie połączył. Zadzwoniłem na posterunek policji hrabstwa, skąd odesłano mnie do policji stanowej. Zadzwoniłem do policji stanowej, która odesłała mnie z powrotem do miejscowej policji. Pokazywali, że mają Ferguson w dupie.

Równie dobrze mogli powiedzieć wprost: „Lecicie z nami w chuja? Chcecie

puścić z dymem własne bambetle? Śmiało”.

Matt wyciągnął z SUV-a swoją gigantyczną kamerę P2 na statywie i zaczął

filmować. Ta kamera jest o wiele za duża na zamieszki, a operator, który ją trzyma, musi przycisnąć skroń do obudowy. Jedno oko ma więc zamknięte, a drugim patrzy w wizjer, więc nie widzi, co się dzieje dookoła niego. Mijał

go tłum ludzi, ale on ich nie widział; niektórych zwabiły płomienie, innych kamera. Matt kręcił właśnie wybuch bomby zapalającej, która rozwaliła witrynę sklepu z mięsem. Ze środka buchnęły płomienie.

Był zajęty filmowaniem, kiedy ktoś nagle chwycił kamerę za obiektyw.

– Spierdalaj! – krzyknął Matt.

Jakiś szczurowaty knypek. Zamaskowany. Ubrany na czarno jak ninja.

Ale żaden tam Bruce Lee. Zwykły suchoklates, szczawik z cofniętym podbródkiem i piskliwym, nosowym głosikiem. Pewnie należał do jednej z tych anarchistycznych albo antyfaszystowskich lewackich grup, które zawsze się zlatują, kiedy tylko gdzieś wybuchną niepokoje społeczne, i odstawiają ostry rozpiździel. Uprzywilejowany biały typek, któremu marzyła się przygoda z dreszczykiem, bunt przeciwko machinie, której, jak podejrzewałem, sam był częścią.

– Ej, koleś, przestań filmować – zapiszczał. – Konfident! Jesteś konfident!

Niefajnie tak filmować, ej, weź przestań.

Odepchnąłem go.

– Nie rusz kamery – warknąłem. – I co tu w ogóle robi taka spierdolina?

Uważaj, bo zaraz ktoś ci się dobierze do dupska.

Tłum wokół nas miał niezłą radochę, a biały dzieciak ruszył dalej, popiskując pod nosem: „Konfident, konfident!”. Zastanawiałem się, czy tatuś dał mu

kieszonkowe.

Na schodach sklepu U Sama siedział kolejny zamaskowany facet z dużym pistoletem zatkniętym za pasek spodni. Był jak z okładki *Fear of the Black Planet*. Wysoki i muskularny, ciemny jak obsydian, przystojny, z włosami

splecionymi w dredy. I ta broń – normalnie wisienka na torcie. Krzyczał coś do kilkunastoosobowego motłochu, który próbował wedrzeć się do sklepu.

Skinąłem na Matta. Weszliśmy w sam środek buzującego ula i usiedliśmy obok niego.

Przez długi obiektyw z daleka nie było tego widać, ale na tych schodach, w żółtym świetle, rozgrywała się niezwykła scena. Wysoki, ciemnoskóry człowiek nie był przestępcą ani szabrownikiem. Był jedyną osobą, która mogła tu robić za przedstawiciela prawa i porządku. Próbował powstrzymać tłum przed wtargnięciem do arabskiego sklepu.

– Wy nawet nie jesteście stąd – krzyczał na szabrowników. – Co wy wyprawiacie?

Nazywał się DJ. Powiedział, że mieszka w okolicy. Wychowywał tu syna.

Kupował mięso w tym sklepie. Nie chciał, żeby jakieś nawalone menele spaliły mu dzielnicę. Ani żeby świat wyrobił sobie mylny obraz Ferguson, żeby widok szabrowników przesłonił pamięć o wcześniejszym pokojowym apelu o sprawiedliwość.

Zważywszy egoistyczną i tchórzliwą postawę policji, tylko DJ

reprezentował tu porządek.

Niektórzy w tłumie mieli twarze zasłonięte koszulkami, ale w oczach błyszczała im pijacka determinacja. Popatrzyli na mnie, a potem zapytali DJ-a: „Masz diabła za przyjaciela?”.

– Wszystkich mam za przyjaciół – odpowiedział dobitnie DJ. – Ale nie

będzie tu szabrowania.

Podeszli bliżej sklepu, skradając się jak padlinożercy, prowokując DJ-a, żeby do któregoś strzelił.

Nakurwiamy te mięsa!

Co miał zrobić DJ? Strzelać? Co by to dało? Kolejne trupy. Kolejna hańba na koncie jego społeczności. Machnął rękami, mruknął pod nosem parę gorzkich słów i zniknął w ciemności nocy.

Kiedy zniknął, a razem z nim broń, tłum ogołocił sklep, po czym zabrał

się do nas.

Wyłącz, kurwa, tę kamerę!

Kazałem Mattowi filmować. Nie zamierzaliśmy dać się stąd wygonić.

Mieliśmy zamiar dalej robić to, co do nas należy, a potem odejść jak mężczyźni. To jest także nasz kraj. Moi rodacy nie są moimi wrogami. Poza

tym byliśmy w telewizji. Obrazy mają znaczenie. Nie chciałem wyglądać jak ostatnia pizda.

W naszą stronę poleciały butelki, a potem grad baterii. Jak spod ziemi wyrósł facet z ciężkim, pomarańczowym pachołkiem drogowym i walnął

mnie nim w głowę. Nie ruszyłem się z miejsca. Czy się walczy, czy się ucieka, jak będą chcieli, to i tak cię zadepczą. W tłoku nigdy nic nie wiadomo. Koleś zamachnął się na kamerę, a Matt, który miał twarz przyciśniętą do wizjera, nie zauważył pachołka i nie zdążył się odsunąć.

Wizjer pękł, a napastnik wślizgnął się z powrotem w tłum. Wtedy z jakiegoś zakamarka wyłonił się facet – czarny facet – w skórzanych rękawiczkach i koszuli obcisłej jak prezerwatywa, który odprowadził nas do furgonetki.

– Już starczy. Zabierajcie się stąd.

– Dzięki, bracie.

Czy to była napaść na tle rasowym? Czy tłum rzucił się na nas z powodu koloru naszej skóry, struktury włosów, tego, jak się poruszaliśmy? Czy ludzi z zewnątrz trzeba było koniecznie obrzucić butelkami, pociąć i pobić? Czy to był odwet za Michaela Browna? Podejrzewam, że trochę tak. Już mówiłem, to jest Ameryka. I kolor ma tu znaczenie. Ale moim zdaniem głównym powodem ataku było co innego – i to akurat można udowodnić –

mianowicie ludzie nie lubią być filmowani, gdy popełniają przestępstwa.

Firma była zadowolona. „Świetny materiał!" Chcieli, żebyśmy wrzucili film do internetu: czarna tłuszcza atakuje białych dziennikarzy. Ale Matt i ja, a także ziewający Bob, uzgodniliśmy, że nie damy z tego ukręcić prowokacji rasowej. To miał być reportaż o DJ-u, a nie o pobiciu. Zależało nam, żeby pokazać pozytywny obraz, jeśli takie określenie w ogóle pasuje do grabieży i zamieszek. Było w tym coś głębszego, jakieś sumienie, jakaś wyższa prawda. W Ameryce zapanowała totalna chujoza, ale możemy to jeszcze naprawić. Ameryka jest największym eksperymentem w historii ludzkości, narodem złożonym z plemion, które usiłują przezwyciężyć odwieczne instynkty, społeczeństwem, które rozwija się poprzez rozum, a nie wyniszcza przemocą.

Wierzę głęboko, że bardziej przypominamy DJ-a niż bandę kilkudziesięciu pojebanych złodziei i podpalaczy. Poezja tego człowieka, jego postawa i pełna godności mowa, jego odwaga pośród mroku, choć świat nigdy by się tego po nim nie spodziewał – to była prawdziwa historia. To on stanowił

większość w Ferguson. Może i kosztowało nas to parę milionów kliknięć na YouTubie, ale taka właśnie była prawda.

Następnego dnia Bobowi było strasznie smutno. Był niepocieszony, że tyle się tu wczoraj działo, a on tymczasem ciął komara.

– Nie przejmuj się, takie chrapanie to nie w kij pierdział – podnosiłem go na duchu. – Poważnie, może idź z tym do lekarza.

– Weź, kurwa – jęknął. – Zły jestem na siebie.

– Nie przejmuj się – powtórzyłem, wskazując na telewizor za hotelowym barem. – Popatrz tylko.

Gubernator Missouri Jay Nixon ogłaszał właśnie w miejscowym kościele, że stan wyjątkowy wchodzi z powrotem w życie jeszcze tego dnia o północy:

„Stoimy w obliczu próby. Oczy świata zwrócone są na nas”.

– Co za miękka faja – powiedział Bob.

– Fakt, sam nie wie, czego chce – odparłem. – Przyślijcie komandosów.

Zabierzcie komandosów. Niech miasto spłonie. Myślisz, że w St. Louis i Ferguson o tym nie wiedzą? Że nie wyjdą dziś wieczorem na ulice?

Nie ma bata, wiadomo było, że wyjdą. W recepcji właśnie się meldował

orszak wielebnego Ala Sharptona. Zaczynało się. Zamieszki i shitshow.

Fajnie, że wpadłeś, Al.

Tego wieczoru w Ferguson było pełno policji, a całą West Florissant zamknęli dla ruchu. Podjechaliśmy do policjanta ze służb hrabstwa, ulokowanego na stacji benzynowej, która wyznaczyła granicę, i pokazaliśmy mu papiery: MEDIA – PRASA – OFICJALNA LEGITYMACJA REPORTERSKA.

Spojrzał na nas z uniesionymi wysoko brwiami.

– Wy naprawdę chcecie tam jechać? – zapytał z niedowierzaniem.

– Taka praca.

– Wasza sprawa. Ale ostrzegam, oni tam są jak zwierzęta. Jakby co, jesteście zdani na siebie.

Tłum pulsował, napięty, wrogi i czarny. Były też media, cały rój, biały.

Stanęliśmy pod markizą zabitej deskami knajpy z chińską smażeniną, rozłożyliśmy sprzęt i zaczęliśmy szykować plan gry. Postanowiliśmy trzymać się na dystans – nie wtrącamy się, żadnego kozaczenia. O tej porze każdy człowiek na zewnątrz oznacza kłopoty. Kto chodzi po ulicy o tej godzinie?

Dobrzy ludzie leżą we własnych łóżkach za zamkniętymi na klucz drzwiami i w telewizji oglądają to, co się tu dzieje.

Minęła nas grupa młodych, barczystych mężczyzn, którzy mruczeli między sobą: „Idziemy obić jakiegoś jebańca". Malik Shabazz, przewodniczący Nowej Partii Czarnych Panter, wziął sobie takie zapowiedzi do serca i błagał ludzi przez megafon, żeby uszanowali godzinę policyjną:

„Tylko bez przemocy, moi bracia! Proszę, wracajcie do domu!".

Ostatecznie to nie Shabazz ich przekonał, ale najwyraźniej sam Wszechmogący. Na kilka minut przed oficjalną godziną policyjną otworzyły się niebiosa i lunął deszcz. W mgnieniu oka West Florissant Avenue była wymyta do czysta i w dużej mierze pusta. Chociaż niezupełnie. Na miejscu zostało kilkadziesiąt najbardziej oddanych sprawie osób. Chwileczkę…

A któż to idzie ulicą, podskakując wesoło, z kubeczkiem w dłoni, nucąc coś i pokrzykując, klaszcząc i rozglądając się dookoła, delektując się atmosferą wieczornej scenerii?

Toż to Brian we własnej osobie! Uśmiechnął się szeroko.

– Tylko bez napinki – powiedział. – Bez nerwacji. Żebyście mi tylko wrócili bezpiecznie do domu.

I zniknął w tłumie.

Policja znowu ustawiła pojazdy opancerzone na południowym krańcu alei, więc protestujący pomaszerowali na północ. Bob poszedł na zachód i ustawił

się w pobliżu salonu kosmetycznego, a ja z Mattem na wschód, za wałem chińskiej restauracji. Dokładnie o północy deszcz ustał równie nagle, jak

wcześniej zaczął padać, a z jakiegoś niewidzialnego głośnika dobiegł gromki głos władzy, biały głos, rozkazujący: „Rozejść się! Natychmiast! To jest rozkaz. Rozejść się pod groźbą aresztu lub innych konsekwencji”.

Ci najbardziej rozochoceni, zagorzali i zacięci wyśmiewali policjantów.

„Macie tu palec, skurwysyny! Macie kamień, wy chuje! Nie ma sprawiedliwości, nie ma pokoju, pizdy!”

Zagrzewali ich do czynu, zachęcali i dopingowali dziennikarze, biali reporterzy zbrojni w kamery i mikrofony, którzy robili z nich gwiazdy, błyskawicznie transmitując na żywo kolejne wybryki i nadając je na cały świat. Protestujący świetnie zdawali sobie z tego sprawę; zaczęli wrzeszczeć już nie na policję, ale w obiektywy. Wystarczyło podłożyć rapsy i teledysk gotowy.

Pięćset metrów dalej, osłonięci od wschodu przez siły policyjne, stali nieco mniej odważni przedstawiciele mediów, przeważnie mainstreamowych, którzy nie chcieli sobie uwalać eleganckich ciuchów błotem ulicy. Stali za

metalowymi barykadami na parkingu przy McDonaldzie, oglądając rozwój wypadków z daleka, jak cielęta w zagrodzie. Była to oficjalna „sekcja dla mediów”, skąd można było obserwować akcję pod ochroną lokalnej policji.

Jezu, ależ mieli widok na cały ten shitshow!

Filmujący protestujących reporterzy na ulicy byli odwróceni plecami do policji, odsłonięci i bezbronni, ale dobrze wiedzieli, że policjanci nie zaczną do nich strzelać. Koniec końców biali, nawet ci najbardziej liberalni, mają zaufanie do władzy i głęboko w nią wierzą. Policja nigdy by ich nie wystrzelała. Oni to wiedzieli. I to na tym właśnie polega przywilej.

Czarni protestujący również rozumieli rasową arytmetykę. Z tłumem białych reporterów w roli ochronnego bufora byli odważniejsi. Ci, którzy dotąd kryli się w cieniu, teraz powoli wychodzili z powrotem na ulicę.

Wkrótce zaczęli rzucać różnymi rzeczami, prowokując policjantów do

reakcji. Nikt nie zamierzał ustępować ani o piędź.

Widać było wyraźnie, że telewizja pogarsza sytuację. Bycie reporterem wymaga zdrowego rozsądku i odpowiedzialności, ale wyglądało na to, że tej nocy i jedno, i drugie gdzieś wyparowały.

– Wyłącz kamerę – krzyknął do swojego operatora korespondent z Teksasu. W moją stronę dodał: – To obrzydliwe.

Miał rację. Spodobał mi się ten gość i podałem mu rękę. My też przestaliśmy nagrywać protestujących z tego samego powodu. Ale dalej filmowaliśmy resztę sceny. Wycofaliśmy się tuż przed ostatecznym starciem o północy. Może nie byliśmy lepsi od tych, którzy filmowali z bliska.

Prawdopodobnie nie. Niemniej wydarzenia dalej się toczyły.

– Rozejść się! Natychmiast! To jest rozkaz. Rozejść się pod groźbą aresztu lub innych konsekwencji.

– Jebać policję!

– Rozejść się! Natychmiast! To jest rozkaz. Rozejść się pod groźbą aresztu lub innych konsekwencji.

I znowu:

– Jebać policję! – I jeszcze raz. Ścieżka dźwiękowa zapętliła się na kilka minut.

Wreszcie cierpliwość policjantów się wyczerpała i zaczęły im puszczać nerwy. Z opancerzonych pojazdów poleciały pojemniki z gazem łzawiącym i posypały się gumowe kule. Jedna trafiła w brzuch białą reporterkę, blogerkę czy też turystkę z małą, drogą kamerą w dłoni. Kobieta uklękła na chodniku

obok nas i cicho jęczała. Tego dnia po południu gubernator obiecał, że władze nie użyją gazu łzawiącego ani gumowych kul. Media w zagrodzie dla cieląt donosiły, że kanistry to bomby dymne, ale ja wyraźnie czułem gaz

łzawiący. Pośród tego pandemonium zauważyłem sylwetkę Boba po drugiej stronie ulicy – wyglądał jak srebrny duch w chmurze gazu.

Bum! Z ciemności dobiegł mnie czyjś krzyk. Rozległy się strzały.

Kilkaset metrów dalej jakiś pojeb walnął z broni w tłum. Zaczekaliśmy z Mattem chwilę, żeby mieć pewność, że nie trafi nas żadna kula, po czym rzuciliśmy się biegiem na róg ulicy, w samą porę, by zobaczyć, jak ktoś wrzuca na tył samochodu bezwładne ciało i odjeżdża. Policja spokojnie wstrzymała ostrzał.

Opancerzone policyjne pojazdy ruszyły w stronę tłumu, w stronę nas, w stronę przemocy. Zadzwoniłem do Boba na komórkę. Zgubił się gdzieś wśród dymu i krzyków. Spierdalamy stąd, ale już! Spotkamy się przy samochodzie.

Kiedy dotarliśmy z powrotem do hotelu, barman właśnie sprzątał bar przed zamknięciem. Kontrast był niesamowity. Z jednej strony zniszczona i spalona dzielnica handlowa przy West Florissant, z drugiej – wyłożony kafelkami basen w Four Seasons. Czarna desperacja na poziomie ulicy i szlachetne przedsięwzięcie białej cywilizacji daleko ponad nią, gustownie wykończone chromem i drewnem. Barman, młody czarny facet, zauważył nasze rozczochrane łby i dzikie oczy i skinął głową porozumiewawczo.

– Co podać, panowie?

– Gin z sokiem, panie barman. Podwójny.

– Na koszt firmy – powiedział, podając mi drinka. – Ale się porobiło, co nie?

– Jeszcze jak.

– Powiedzcie światu, co tu widzieliście – poprosił szeptem. – Powiedzcie im, że czarne życie ma znaczenie.

Czarne życie ma znaczenie. Wtedy pierwszy raz usłyszałem to zdanie.

I od razu zrozumiałem, co to znaczy. Równe traktowanie i sprawiedliwość.

Nie mniej. Nie więcej. O czym tu debatować? Wielki amerykański ideał.

Black Lives Matter. Wtedy usłyszałem to po raz pierwszy, ale nie ostatni.

Z całą pewnością nie ostatni.

Wyciemnienie

Cela śmierci w Teksasie

Jesień

Wiosną po nieudanej egzekucji czarnego więźnia w Oklahomie w mediach pojawiły się pytania na temat kary śmierci w kontekście humanitarnego traktowania i równości rasowej. W Stanach Zjednoczonych na śmierć czekał

wówczas kolejny czarnoskóry skazaniec, Willie Trottie, który zamordował

swoją żonę i jej brata. Odwiedziłem Trottiego w celi śmierci w stanowym zakładzie karnym w Huntsville w Teksasie i napisałem o tym reportaż na kilka miesięcy przed wybuchem zamieszek w Ferguson.

Dziwnym zbiegiem okoliczności w swojej więziennej celi Trottie napisał

własny komentarz do mojej historii. Zrobił to tej samej nocy, której zabito Michaela Browna. Na kopercie były nadrukowane obrazki przedstawiające wieńce bożonarodzeniowe i napis: „Radość całemu światu”. Odebrałem tę przesyłkę po powrocie z Missouri.

Streszczając długi list: Trottiemu nie podobał się mój kawałek, uznał, że jest stronniczy i niesprawiedliwy.

„To był mój PIERWSZY wywiad – napisał – nie powinienem był za wiele oczekiwać od »mediów«, a raczej od reporterów, którzy są ZA ŚMIERCIĄ…”

Doszedłem wtedy do wniosku, że dziś każdy uważa się za znawcę mediów.

List Trottiego był smutny i dołujący. Mimo że jego sprawa była jasna –

przyznał się do zamordowania dwóch osób i postrzelenia dwóch innych – on sam twierdził, że jego morderczy szał był zbrodnią w afekcie, a nie morderstwem z premedytacją. A to premedytacja jest warunkiem koniecznym do zasądzenia kary śmierci. W swoim liście Trottie argumentował, że wyznaczony przez sąd obrońca nie przedstawił tego ważnego rozróżnienia ławie przysięgłych i jemu też nie pozwolił tego zrobić.

Jego zdaniem nie była to sprawiedliwość wymierzona przez system. To była szybka i prosta śmierć czarnego człowieka.

Nie kupiłem jego argumentu podczas pierwszego spotkania i teraz też mnie nie przekonał. Ale co szkodziło pozwolić mu, by przedstawił swoją sprawę w sądzie? Każdy Amerykanin ma do tego prawo.

Trottie wydawał się równie zaniepokojony twierdzeniem swojej byłej szwagierki, jakoby napisał do niej z więzienia i poprosił ją o pieniądze na ciastka i balsam do ciała.

„Łże jak bura suka – pisał Trottie, prawnik za kratami. – Pewnie zachowała te listy jako dowód?”

Willie Trottie został uznany za zmarłego 10 września 2014 roku o godzinie 18.35, dwadzieścia dwie minuty po otrzymaniu śmiertelnego zastrzyku z fenobarbitalu. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Wracam do domu, do mojego Pana. Obyście znaleźli w sobie siłę, żeby mi wybaczyć. Przepraszam”.

Zamknął oczy, potem usta, a po chwili przestał się ruszać. Na widowni siedziała jego szwagierka. Powiedziała, że nie wybaczyła Trottiemu i nigdy mu nie wybaczy. I nie, nie zachowała jego listów.

Pomijając kwestię balsamu do ciała, skargi Trottiego na niesprawiedliwość procesu skazywania na śmierć i moment, w którym przysłał swój list, przypomniały mi to, co powiedział Roland Burrow, czarny facet o łagodnym

głosie, uczestnik protestów w Ferguson.

Burrow stwierdził, że z jego punktu widzenia czarna społeczność St. Louis zaakceptowałaby decyzję ławy przysięgłych, by nie stawiać zarzutów białemu policjantowi, który zabił nieuzbrojonego czarnego nastolatka, o ile proces ten byłby postrzegany jako „sprawiedliwy".

Ale – pytał Burrow – co sprawiedliwego jest w tym, że nastolatek umiera z rąk policjanta, chociaż nie ma przy sobie broni? Na pewno nie skazaliby go na karę śmierci.

Bardzo rzadko zdarza się, aby w Stanach Zjednoczonych funkcjonariusz policji został oskarżony o użycie siły ze skutkiem śmiertelnym. Według analizy „Washington Post" w ostatniej dekadzie w ponad trzech tysiącach przypadków „śmierci z rąk gliniarza" pięćdziesięciu czterech policjantów oskarżono o zabicie kogoś na służbie, a tylko jedenaście tego rodzaju spraw zakończyło się skazaniem. W dwóch trzecich przypadków biały funkcjonariusz zastrzelił czarnego człowieka. Ani jeden nie dotyczył sytuacji, w której to czarny policjant zastrzeliłby białego.

Nawet jeśli jest dostępne nagranie ze zdarzenia, prawdopodobieństwo, że policjant stanie przed sądem, okazuje się niewielkie. A że w przypadku Browna takiego nagrania nie było, szanse, że Wilson zostałby oskarżony, były właściwie zerowe. Niezależnie, czy byłoby to uzasadnione, czy nie.

Zgliszcza jeszcze się tliły i w powietrzu wciąż unosił się zapach gazu, tymczasem obaj z Burrowem wiedzieliśmy już, jak się to wszystko potoczy na sali sądowej, a w konsekwencji także na amerykańskich ulicach. Niezależnie, czy byłoby to sprawiedliwe, czy nie.

Zaciemnienie

Ferguson, Missouri

Zima

W chaosie zamieszek dzieją się rzeczy złe i nieprzewidywalne. Kiedy

wciągnie cię wir zdarzeń, zachowujesz się nieobliczalnie, płochliwie, tchórzliwie. Nikt nie pali się do konfrontacji z własną śmiertelnością, wszyscy starają się za wszelką cenę tego uniknąć. Ale jeśli jesteś reporterem we współczesnej Ameryce, to zamieszki prędzej czy później same cię znajdą – strzelanina, mordobicie, porachunki – o ile jesteś reporterem ulicznym.

Wróciliśmy do Ferguson. W powietrzu było czuć, że szykują się kolejne zamieszki. Dziwny, metafizyczny, postmodernistyczny rodzaj planowej przemocy powoli dojrzewał i wkrótce miał się rozlać na ulice. Władze były wszędzie,

ale

pozostawały

niewidzialne,

spiskowały

w

salach

konferencyjnych i na komisariatach. Wyłaniały się tylko od czasu do czasu o uzgodnionych wcześniej porach i przedstawiały mediom swoje plany dotyczące sił policyjnych i scenariuszy reakcji oraz szczegółowo opisywały

„obiecujące” spotkania z działaczami społecznymi, dotyczące pokojowych demonstracji.

Od śmierci Michaela Browna minęły trzy miesiące, ale w Ferguson sklepy monopolowe i salony fryzjerskie jeszcze nie wstawiły nowych szyb.

Wszystkie witryny były zasłonięte płytami wiórowymi, bo przedsiębiorcy spodziewali się, że lada moment znowu zaczną się rozruchy. Właściciel sklepu mięsnego U Sama wywiesił nawet plakaty „Ręce do góry, nie strzelać”, żeby zademonstrować solidarność z czarną społecznością,

najwyraźniej uznawszy, że co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Oczekiwano, że ława przysięgłych lada dzień… lada dzień… lada dzień…

ogłosi, czy Darren Wilson, biały policjant z Ferguson, ma zostać oskarżony

o morderstwo czy o nieumyślne zabójstwo – albo zupełnie o nic – w sprawie o postrzelenie nieuzbrojonego Browna.

Hotele i motele wypełniły się po brzegi przedstawicielami całego spektrum dziennikarskiego wszechświata: strupieszały fotoreporter wojenny; jakiś

chcący

się

wykazać

absolwencina

wyższej

szkoły

nauk

humanistycznych; dupek ze stacji ogólnokrajowej, który darł japę, bo w hotelowym holu wystygła kawa w dzbanku; dziennikarze telewizyjni oddelegowani z małych oddziałów w całym kraju, którzy woleli kręcić zdjęcia na żywo z parkingu przed motelem, za leniwi albo za bardzo posrani, żeby wyjść na ulicę, bo jeszcze by się tam coś naprawdę zdarzyło.

Gdyby jednak zdecydowali się wyruszyć w miasto, to usłyszeliby, że ludzie generalnie nie spodziewali się postawienia zarzutów policjantowi: w salonie piękności, u fryzjera, w sklepie z częściami do samochodów czy w bloku mieszkaniowym – wszyscy byli zgodni.

– Wiesz, jak to jest – powiedział Antoine Drummond, fryzjer z zakładu przy

West Florissant i ojciec dwojga dzieci. – Gliniarzowi zawsze się upiecze, czy podniesiesz ręce, czy nie, dodał. Dlatego mówię ci, stary: jebać policję.

Decyzja o tym, żeby nie stawiać zarzutów Wilsonowi nie mogła się spodobać na ulicach Ferguson, na obrzeżach St. Louis czy w jakiejkolwiek innej części czarnej Ameryki, więc należało obstawiać, że znowu wybuchną zamieszki. Z każdym dniem obrad ławy przysięgłych zlatywało się coraz więcej dziennikarzy z coraz to nowym sprzętem, którzy urządzali ciągle konferencje prasowe, niezmiennie nie mając nic ciekawego do powiedzenia.

Medialną trzodę trzeba było czymś nakarmić.

Z punktu widzenia mediów moment ogłoszenia decyzji to byłaby *dobra telewizja*. Trochę ognia i gazu łzawiącego. Jakieś krzyki i grabieże. Broń sprzedawała się teraz jak świeże bułeczki. Może udałoby się zobaczyć, jak jakiś policjant malowniczo oddaje strzały. Makijaż byłby oczywiście stonowany. Stylistyka ubioru poszłaby w stronę stepowych zieleni i jesiennej odzieży turystycznej. Kto wie, może wpadłaby za to jakaś Emmy.

Odpowiedni ubiór może przechylić szalę zwycięstwa. Wyobraźcie sobie tylko! Reporter lokalnych wiadomości z nagrodą Emmy! Z tą wyrafinowaną błyskotką nicości. Wymarzonym stojakiem na duprolę. Stamtąd już prosta droga przed teleprompter. Zastępstwo za prowadzącego wydanie weekendowe, oto nachodzę!

W takich właśnie okolicznościach kwiat dziennikarstwa z obu wybrzeży zjechał do Ferguson w stanie Missouri, w samym sercu środkowych Stanów Zjednoczonych. Nie pasowali tutaj: wypindrzeni, odpicowani, żarłoczni, natarczywi i aroganccy. Dołóż do tego watahę białych liberałów, którzy uparcie wszystkich na siłę uszczęśliwiali, białych anarchistów, czarnych nacjonalistów, międzynarodowych komentatorów, miejscowych blogerów i całkiem nowy gatunek samozwańczych Hemingwayów internetowych, i oto masz prawdziwe, światowej klasy zjebowisko próżności i degrengolady.

Wzdłuż całej West Florissant technicy z ogólnokrajowych i lokalnych stacji rozkładali stanowiska. Ustawili się za żelaznymi kratami opustoszałego warsztatu samochodowego i naprzeciwko knajpy U Reda, która od śmierci

Browna została dwukrotnie zdemolowana i nadal jej nie otwarto.

Na miejscu było co najmniej pięć ekip telewizyjnych, mniej więcej tak dyskretnych i opanowanych jak dupa pawiana w rui. Ochroniarze, gwiazdy publicystyki, personel pomocniczy, samochody transmisyjne. Z fryzjerskiego fotela znowu dobiegł głos niezadowolenia.

Ja pierdolę, te chuje mają NADZIEJĘ, że to wszystko jebnie.

Jedna wyjątkowo przedsiębiorcza ekipa zainstalowała się wcześniej na dachu magazynu obok sklepu U Sama. Mieli nadzieję, że w ten sposób zyskają nad konkurencją przewagę w postaci lepszego punktu widokowego.

Zły pomysł, myślałem, równie dobrze mogli zajarać fajkę w stogu siana. Od poziomu chodnika dzieliło ich prawie pięć metrów, więc gdyby ONI podpalili tę budę, cała ekipa musiałaby uciekać przed płomieniami. A że będą musieli uciekać – co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Jedyną rzeczą, której tu brakowało, był baner po drugiej stronie ulicy: *W I A D O M O Ś C I T E L E W I Z Y J N E :*

P R AW D Z I W E Z A M I E S Z K I W T W O I M D O M U !

Tymczasem pod budynkiem sądu w pobliskim Clayton, gdzie obradowała ława przysięgłych, kotłowała się masa złożona z wozów transmisyjnych, furgonetek, anten satelitarnych, przewodów elektrycznych, reflektorów, krzeseł reżyserskich, parawanów ochronnych, producentów z notesami i reporterów – całe mnóstwo reporterów, w większości białych, ale kilku w

rozmaitych

odcieniach

cappuccino,

dla

zachowania

pozorów

różnorodności na ulicach, kiedy wreszcie wywali to szambo.

To tam właśnie zobaczyłem Pana Redaktora w akcji. Był niższy i jakiś taki bardziej ciastowaty niż w telewizji, przyodziany w nowiusieńką kurtkę ze śnieżnobiałym puszystym obszyciem i wielobarwną chustę, jaką zwykle noszą starsze panie – ot, futrowaty siusiak owinięty w poliester i gęsi puch.

Ostatni raz, a jednocześnie pierwszy, widziałem go jakieś dziesięć miesięcy wcześniej w Nowym Jorku.

Dowiedziałem się wtedy w tajemnicy od prywatnego detektywa, że przewodniczący rady miasta Detroit może ukrywać się w nowojorskim mieszkaniu Pana Redaktora. Przewodniczący Charles Pugh (wcześniej prowadził też wiadomości lokalnego oddziału telewizji w Detroit) zwiał

z miasta w środku nocy po tym, jak zdybaliśmy go z Bobem przy windzie w ratuszu i zapytaliśmy, czy to prawda, że nagabywał o seks i sprośne filmy chłopców z liceum, których „mentorował".

– To bzdura – wyskrzeczał Pugh głosikiem ściśniętym od poczucia winy. – To wierutne kłamstwo.

Było to jego ostatnie publiczne oświadczenie w czasie urzędowania.

Zaczailiśmy się pod nowojorskim apartamentowcem w naszym czarnym S U V -ie i czekaliśmy, aż pojawi się Pugh. W końcu jednak to Pan Redaktor zszedł na dół w jakiejś bonżurce czy innym peniuarze, z fularem na szyi, niosąc jednego z tych kieszonkowych piesków, który również był

przyodziany adekwatnie do pogody. Zanim się obejrzałem, Bob wyskoczył

z samochodu i podetknął mu kamerę prosto w twarz.

– Co to ma znaczyć? – obruszył się Pan Redaktor.

– Słyszeliśmy, że Charles Pugh, były przewodniczący rady miejskiej Detroit, mieszka u pana. Czy to prawda?

– A panowie to kto? – zapytał wyniośle.

Podałem mu wizytówkę, po czym pokazałem dokumenty: MEDIA –

P R A S A – O F I C J A L N A L E G I T Y M A C J A R E P O RT E R S K A .

– Czy Charles Pugh mieszka u pana? Czy przyjechał w odwiedziny?

– To oburzające. Nie rozumiem, co wy tu robicie.

– Ejże – powiedziałem. – Przecież pan wie, jak to działa. Ja zadaję pytania, pan na nie odpowiada. Potem puścimy te odpowiedzi w telewizji.

Widział to pan milion razy. No dobra, Charles Pugh. Spotkał się pan z nim?

– Jeśli to wyemitujecie, to spotkamy się w sądzie.

– Czyli „bez komentarza”, tak?

Pan Redaktor zakomunikował nam swoje oburzenie uniesieniem brwi

i zadzwonił do kogoś przez komórkę.

Przeszliśmy z Bobem na drugą stronę ulicy pod posterunek policji, powiesiliśmy tam ręcznej roboty plakat ze zdjęciem Pugha i informacją, że jest poszukiwany, rozdaliśmy w okolicy jeszcze kilkadziesiąt kopii, po czym ruszyliśmy w drogę.

A jeśli chodzi o Pugha, to w końcu przyznał się do zarzutów wielokrotnego gwałtu na czternastoletnim „stażyście” i został skazany na pięć do piętnastu lat więzienia.

Teraz ponownie się spotkaliśmy. Pan Redaktor w makijażu i kurtce nadający na żywo. Stanąłem tam i przyglądałem mu się przez chwilę… nigdy nie

odpowiedział na moje pytanie.

Według naszych źródeł ława przysięgłych… bla, bla, bla, bla.

Był dobry. Opanowany. Nawet się nie zająknął, ale kątem oka cały czas patrzył na mnie z odrazą. Musiał pamiętać Nowy Jork.

Dzisiaj byłem bez Boba. Biedny Bob, leżał teraz w Detroit, dopiero niedawno go odłączyli od respiratora, bo prawie się zabił, wjeżdżając motocyklem w tył samochodu. Zastępował go Doug, wielkie chłopisko o aparycji zawodowego hokeisty, biały facet z kozią bródką i fryzurą na Benjamina Franklina, który przybył z Detroit i robił za naszego producenta i ochroniarza jednocześnie. Matt wisiał na telefonie z inżynierami w studio i próbował uzgodnić czas transmisji satelitarnej na żywo. Normalnie robiłby to Bob, ale Bob miał mózg jak jajecznica. Matt musiałby teraz przejąć wszystkie obowiązki: operatora, montażysty, inżyniera, a także – gdyby tu w końcu wszystko się rypło – światowej klasy sprintera. Wszystko to za pensję kamerzysty lokalnych wiadomości.

Doug i ja zostawiliśmy to zjebowisko i poszliśmy sobie. Nadal jednak popatrywałem na dandysa w akcji. A dandys nadal popatrywał na mnie. A ja na niego.

Panie Redaktorze, proszę.

Tymczasem w Ferguson na West Florissant Avenue ekipy sprawdzały światła na swoich improwizowanych stanowiskach. Tłum rósł z każdą chwilą. Na parkingach gromadziły się samochody pełne turystów, gapiów i wścibskiej gawiedzi. Perspektywa przemocy – w telewizji i nie tylko – zawsze przyciąga publiczność. Poszliśmy do sklepu U Sama. Szukaliśmy DJ-a. Szukaliśmy

czegoś lub kogoś pozytywnego. Nie znaleźliśmy go jednak. Mohammed, rosły Arab, powiedział nam, że ostatni raz widział DJ-a kilka tygodni temu, kiedy przyszedł i poprosił o pracę.

– Zatrudniłeś go? – zapytałem.

– Nie.

– Dlaczego? Próbował uratować twój sklep. Jesteś mu coś winien, nie sądzisz?

Arab wzruszył ramionami i uniósł ręce w bezradnym geście. Powiedział, że interesy słabo idą.

To był błąd, pomyślałem. Za parę godzin, jeśli policjant nie zostanie oskarżony, miasto stanie w ogniu. Drobny dowód uznania, jakiś mały gest, na przykład pół etatu dla czarnego faceta, który obronił twój sklep, mogło ci przysporzyć niemało sympatii w tej dzielnicy.

Życzyłem mu powodzenia. Biedny patałach. Nie miał najmniejszych szans.

Przynajmniej jeden czarny facet dostał po tym wszystkim pracę. Devin James został zatrudniony przez białego burmistrza i białego szefa policji jako mediator do spraw relacji z czarną społecznością. Trzydziestodwuletni James miał wszystko, czego miasto St. Louis oczekiwało od czarnego człowieka: był elokwentny (w białej angielszczyźnie), ale dobrze znał również dialekt ulicy (czarny angielski). Prowadził własną firmę konsultingową, ale miał na koncie członkostwo w gangu, uliczną przedsiębiorczość i zabójstwo.

W oczach ludzi z ratusza James uosabiał młodego czarnego mieszkańca Ferguson, brutalnego mężczyznę, który mógł zburzyć miasto. James rozumiał. Czy też, jak powiedział mi burmistrz: James wniósł *pewne spojrzenie*. O kurwa. James dostał kiedyś nawet kulkę i mógł w każdej chwili zdjąć koszulę, żeby to udowodnić. Zatrudnić kolesia! On kogoś zabił! Wnosi pewne spojrzenie!

Jedną z pierwszych rzeczy, jaką James zrobił po objęciu stanowiska, było przekonanie naczelnika policji Toma Jacksona, żeby nagrał przeprosiny skierowane do rodziców Michaela Browna za to, że przez cztery godziny ich syn leżał na gorącym betonie.

Nagranie nie zostało dobrze przyjęte na ulicach ani w zakładzie fryzjerskim – obie społeczności, czarna i biała, widziały w tym obłudną grę pod publiczkę.

Czarni pytali, dlaczego nie przeprosił rodziców Browna

bezpośrednio. Dlaczego nie zrobił tego osobiście? Dlaczego trzy miesiące po fakcie? Dlaczego? – pytali ludzie. Dlaczego w ogóle przepraszać?

Drugi filar strategii Jamesa opierał się na pomyśle, by naczelnik dołączył

do protestujących w marszu pod komisariatem policji, tych samych protestujących, którzy non stop demonstrowali właśnie przeciwko naczelnikowi. Spodziewano się (w większości), że to nie może skończyć się dobrze. I nie skończyło się dobrze: naczelnik został obrzucony workami z moczem. Dwa dni później ktoś postrzelił policjanta z Ferguson.

– Czyli pan tam protestował? – zapytałem Jacksona. Wywiad zorganizował James na potrzeby materiału, który o nim przygotowywałem.

– Ja tam tylko spacerowałem – upierał się naczelnik.

– Nie, protestował pan.

Koleś był tak samo kompletnie bez pojęcia jak ten biały szczurek w masce, który złapał za naszą kamerę, gdy byliśmy tu pierwszy raz. Pan naczelnik został wypuszczony na przynętę. Na pożarcie. Lada moment miały go połknąć w całości wydarzenia, których nie umiał przewidzieć, ludzie, których nie rozumiał, a on przyjmował rady od byłego bandziora, który wniósł *pewne spojrzenie*.

Jeśli chodzi o Jamesa, to zwolniono go kilka dni po emisji naszego materiału poświęconego jego osobie na osiemnastu największych lokalnych rynkach telewizyjnych w kraju, w tym w jego rodzinnym mieście Memphis.

Powodem zwolnienia nie była jednak ani kanonada siuśków, ani buty ze skóry aligatora, ani też jego szczególne upodobanie do zdejmowania koszuli i demonstrowania blizny po kuli. Nie, najprawdopodobniej został zwolniony za taniec, jaki wykonał w tle, kiedy przeprowadzałem wywiad z naczelnikiem. Uchybienie godności czy coś w tym stylu. W przypadku policji w Ferguson jasne stały się dwie rzeczy.

Nic nie rozumieli i nie mieli najmniejszych szans.

Pojechaliśmy na posterunek policji po przeciwnej stronie miasta, zaparkowaliśmy i weszliśmy w morze protestujących. Matt niósł swoją kamerę na jedno oko i musiał trzymać się blisko Douga, bo był podłączony kablem do przenośnego nadajnika, który tamten taszczył. A żeby nie było mu przypadkiem za lekko, Doug był dodatkowo uzbrojony w kij do selfie.

Mieliśmy zamiar robić livestream, a nigdy wcześniej nie używaliśmy tej technologii i nie do końca ją rozumieliśmy. Podczas transmisji na żywo

nawet jeśli wciśniesz pauzę, kamera nadal przesyła obrazy do internetu w czasie rzeczywistym. Cały świat nas widział i słyszał każde nasze słowo, ale my wtedy nie mieliśmy o tym pojęcia.

W oczekiwaniu na werdykt ławy przysięgłych rozmawiałem z kilkoma grupkami młodych czarnych mężczyzn z okolic St. Louis. Wszyscy jak jeden mąż mówili o frustracji i gniewie z powodu braku pracy. O prześladowaniu przez policję. O pułapkach rasowej arytmetyki: czterech czarnych facetów w samochodzie to co najmniej jeden czarny facet, który spędzi noc w areszcie.

Nawet jeśli Michael Brown zaatakował policjanta, powiedział jeden z nich, nawet jeśli sięgnął po jego broń, nawet jeśli uciekał, to dlaczego go zastrzelili? Był nieuzbrojony. Dlaczego?

Dobre pytanie. Ale nie miałem na nie odpowiedzi, tylko jeszcze więcej pytań. Dlaczego ktokolwiek miałby podnosić rękę na policjanta? I dlaczego tylu młodych czarnych mężczyzn zabija się nawzajem? Czy te zabójstwa nie przyczyniają się do umocnienia stereotypu niebezpiecznego monstrum?

Jeden z tych chłopaków długo zmagał się z fundamentalnymi kwestiami z zakresu ekonomii społecznej i sprawiedliwości oraz odpowiedzialności własnej, aż w końcu przedstawił je tak, żeby każdy je zrozumiał: nie wiem, ziom, ale to po prostu niesprawiedliwe.

Ziom, to po prostu niesprawiedliwe.

Nad nami, przez całą szerokość ulicy rozciągały się świąteczne lampki.

Na banerze widniał napis „Wesołych Świąt”.

Krótko po dwudziestej ogłoszono przez megafon, że ławnicy podjęli decyzję o umorzeniu postępowania. Analiza śladów krwi i otarta skóra z kciuka nastolatka w samochodzie Wilsona, a także osad prochu na kciuku Browna wskazujący, że z broni Wilsona oddano strzał z bardzo bliskiej odległości, potwierdzały zeznania policjanta o szarpaninie o jego pistolet w pobliżu samochodu. A przynajmniej przysięgli uznali tę wersję wydarzeń za prawdopodobną. Co więcej, Brown wcale nie został postrzelony w plecy, choć jego przyjaciel opowiadał o tym całemu światu za pośrednictwem telewizji.

Osad. Testy balistyczne. Analiza śladu krwi. Pieprzyć naukę. Ulica nie chciała o tym słyszeć. Jakby tego było mało, prokurator okręgowy z sobie tylko znanych powodów czekał z ogłoszeniem decyzji przysięgłych aż do zapadnięcia zmroku. Ojczym Browna wszedł na maskę samochodu przed komisariatem policji Ferguson.

– Spalić jebańców – krzyczał. – Spalić psy!

Tłum go posłuchał. Rozpoczęła się orgia.

Protestujący przemaszerowali ulicą. Gdyby nikt im nie przeszkadzał, wkrótce wylądowaliby w ciemności na autostradzie międzystanowej. Policja jednak zablokowała z niewytłumaczalnych przyczyn ich pochód i tym samym uwięziła w centrum miasta. Protestujący nie mieli gdzie się ruszyć, więc postanowili rzucać cegłami i butelkami. Potem padły strzały. Podpalono dwa samochody policyjne, a od żaru eksplodowała amunicja w ich wnętrzu.

Jeden z młodych mężczyzn, z którym rozmawiałam wcześniej pod świątecznymi światełkami, wskoczył na radiowóz i rozbił przednią szybę.

Rozpoznał mnie i pomachał mi jak przyjazny sąsiad zza płotu, po czym ruszył w ciemną otchłań.

Dwie młode kobiety ubrane w eleganckie biurowe ciuchy rzucały kamieniami w szyby, chichocząc przy tym jak pensjonarki za każdym razem, gdy szkło pękało w drobny mak. Na jednookiego Matta i uwiązanego do niego Douga posypał się grad kamieni i kawałków cegieł, podczas gdy wokół

wybuchały pociski, a gaz łzawiący spowijał ulicę. Postanowili się ewakuować w bezpieczniejsze miejsce. Ja utknąłem w samym oku cyklonu i nie mogłem ich znaleźć. Kiedy mi się to w końcu udało, wdaliśmy się w ostrą pyskówę, zarzucając sobie nawzajem brak uczciwości i honoru oraz pozostawienie towarzysza na pastwę losu. Krztusiliśmy się w oparach gazu łzawiącego, a tymczasem nasza transmisja na żywo cały czas szła w eter.

Jak już powiedziałem, najwyraźniej wciśnięcie klawisza pauzy w kamerze nie przerywa livestreamu. Nigdy nie zebrałem się na odwagę, żeby obejrzeć ten materiał w całości, ale podejrzewam, że pada w nim kilka razy słowo

„pizda” oraz parę innych konkretnych epitetów. Byliśmy jak bracia, ale w trudnej chwili i pod wpływem emocji mówi się rzeczy przykre i upokarzające.

Zawsze można przeprosić rano. Tyle że przeprosiny są o wiele trudniejsze, kiedy jesteś hitem dnia na Facebooku.

Nieco dalej na ulicy, w pobliżu policyjnego kordonu, gdzie było względnie bezpiecznie, jeden reporter nieprawidłowo założył maskę przeciwgazową – zamknął w niej porcję gryzącego gazu i niechcący

zagazował się na żywo. Piskliwym głosem prosił o wodę. Rano on też okazał

się prawdziwym hitem. Telewizja nikogo nie oszczędza.

Poszliśmy na West Florissant; tam było jeszcze gorzej. Wydawało się, że cała dzielnica stoi w ogniu. Na ulicach rozbrzmiewały echa wystrzałów, nie było śladu Gwardii Narodowej, a strażacy porzucili swoje sikawki i uciekli.

Przez całą szerokość alei, od chodnika do chodnika, stali policjanci zaopatrzeni w sprzęt do tłumienia zamieszek, często źle dopasowany, z

kaskami na bakier, w krzywo założonych maskach przeciwgazowych, zaparowanych z powodu zbyt długiego użytkowania. Żal mi było tych mężczyzn i kobiet, zarówno czarnych, jak i białych, których przed kulą chroniły jedynie plastikowe tarcze.

Oparliśmy się o ścianę sklepu, gdy nagle jeden z policjantów zaczął coś do mnie krzyczeć. Nie byłem w stanie zrozumieć, co mówi przez zaparowaną maskę.

– Słucham?

Ponownie krzyknął. Podszedłem nieco bliżej.

– Słucham?

– Ej, to ty – krzyknął. – To ty nakręciłeś ten filmik o tej babie na squacie?

– Tak jest.

– Właśnie go widziałem na YouTubie. Normalnie skisłem. Zajebista robota!

I uścisnął mi rękę. W rzeczy samej, to były dziwne, postmodernistyczne zamieszki.

Poszliśmy dalej, starając się, żeby nikt po drodze nas nie zagazował, nie zastrzelił ani nie obrabował. Monopolowy płonął. Warsztat samochodowy płonął. Grill U Reda płonął. Po drugiej stronie ulicy wymiotło media, bo to właśnie dziennikarzy w pierwszej kolejności zaatakowali uczestnicy zamieszek. Tymczasowe stanowiska telewizyjne zostały podeptane, zniszczone i podpalone. Co się stało z ekipą na dachu magazynu? Spojrzałem w górę. Płomienie miały ponad dziesięć metrów wysokości, ale nikogo tam nie było. Sklep U Sama płonął. Znowu. Z budynku zostały tylko ściany.

Mimo woli pomyślałem, że trzeba było zatrudnić DJ-a.

Wczesnym rankiem wróciłem do hotelu, włączyłem telewizor i zapaliłem papierosa. Siedziałem przy oknie z wargami przyciśniętymi do rozciągniętej

na ramie siatki, wydmuchując dym w ciemne powietrze, które i tak było już gęste od rozmaitych oparów.

Prezenterzy wiadomości mówili z akcentami z imperium brytyjskiego.

Młody czarny facet o jasnej skórze pochodził z Anglii (przynajmniej tak mi się wydawało), a starsza biała kobieta z Australii.

Telewizor wisiał na ścianie, więc ja patrzyłem na niego z dołu, a on na mnie z góry. Czułem się przez to jak dziecko. Mama i tata przemawiają do mnie w moim własnym pokoju, pouczają, moralizują i wygłaszają kazania.

Zastanawiałem się, ile milionów innych osób w tym samym momencie doświadcza takich samych „połajanek". I, jak dziecku, ani trochę mi się to nie podobało.

Studio mieli niebieskie. Twarze schowane pod grubą warstwą makijażu.

Ubrania spod igły. Nie było wiadomo, skąd nadają program, ale z całą pewnością nie było to Ferguson. Jednak nie przeszkodziło im to w komentowaniu wieczornego chaosu tak, jakby tu byli, jakby tu dorastali i rozumieli niuanse i złożoność amerykańskiego życia. Cały świat usłyszał od nich, że oto kolejny biały policjant zabił nieuzbrojonego czarnego chłopaka, a szabrownicy i podpalacze po prostu wyrażali swoje odwieczne niezadowolenie, i że była to zwyczajnie jeszcze jedna totalna porażka amerykańskiego doświadczenia.

Oglądałem ich i płakałem.

2 0 1 5

To był ciężki rok: przeżyliśmy ukamieniowanie bateriami i atak pachołkiem drogowym, dwukrotnie użyto przy nas gazu łzawiącego, celowano do nas z broni i opowiadano nam posępne historie o dzieciach pobitych przez przemytników. Dezintegrację amerykańskiego stylu życia najlepiej oddawała przyziemna desperacja oferty zrobienia laski za dwadzieścia dolców.

Wąchaliśmy zimny, trupi odór poćwiartowanych zwłok w kanałach i wpatrywaliśmy się w martwe, obojętne oczy dyrektorów stacji telewizyjnych.

Przejechaliśmy prawie pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, odwiedziliśmy toalety na lotniskach, parkingi tirów, zapchlone motele i miasta ostatniej szansy, a kulminacją naszych przygód była noc upokorzeń, które sami na siebie sprowadziliśmy w Ferguson. Byliśmy wyczerpani i zmęczeni sobą nawzajem, potrzebowaliśmy wytchnienia od drogi.

Ferguson to ważne miejsce – czarną większością zarządzała tam głucha jak pień i chciwa biała biurokracja. Ale Ferguson to tylko jedno małe miasteczko. Prawdziwa amerykańska historia toczyła się w Detroit, monstrualnym mieście dysfunkcji. Po podniesieniu się z bankructwa Motown miało nowego białego burmistrza, który piastował urząd od roku.

Ludzie chcieli widzieć w nim „wielką nadzieję białych", kogoś świeżego i czystego. Ja byłem raczej sceptycznie nastawiony, bo w końcu do tego, żeby skutecznie przejąć i utrzymać władzę w przemysłowym mieście z długą historią korupcji, potrzebne są przede wszystkim takie umiejętności jak kumoterstwo, dwulicowość i zmowa.

Weźmy takiego Colemana A. Younga. Pierwszy czarny burmistrz Detroit, postać tyleż imponująca, co kontrowersyjna. Czarni obywatele przypisują mu zintegrowanie

sił

policyjnych

i

obsadzenie

wysokich

stanowisk

Afroamerykanami. W oczach białych to on odpowiada za przyspieszenie upadku miasta i w konsekwencji ich przymusowy exodus *na przedmieścia.*

Ale Young dogadywał się również doskonale z bogatymi elitami białych biznesmenów i umożliwił im nabijanie kabzy publicznymi pieniędzmi. Był też niemal stałym obiektem zainteresowania władz federalnych w sprawach o korupcję.

Przytoczone poniżej słowa o winie i rasie to rzadki przebłysk szczerości u polityka. Szczerości, dodajmy jednak, zupełnie niezamierzonej, ponieważ Young nie wiedział, że współpracownik nagrywał go wówczas na polecenie F B I .

Mieliśmy tu polityków, co przyjeżdżali i wygłaszali te swoje przemówienia. No to wynajmowaliśmy, kurwa, paru meneli czy co tam jeszcze, ustawialiśmy ich w szeregu, żeby se posłuchali… a potem po prostu ładowaliśmy ich w samochody, normalnie ciągle tych samych… żeby wykorzystać rasizm, jarzysz? Bo oni myśleli, że wszyscy czarni wyglądają tak samo, nie byli w stanie ich odróżnić. Po cztery przemówienia potrafili wygłosić do tych samych ludzi. Smutne, nie? Ja sam tak zrobiłem.

Young potwierdził, że to, co widzisz, to nie to samo, co dostajesz, lecz ludzie są za głupi, żeby się połapać. A już szczególnie media.

Dziś w ratuszu mamy inny kolor skóry i nieco inny język, ale kiedy czytałem wypowiedź Younga, przypomniało mi się, że nawet jeśli historia nie zawsze się powtarza, to z całą pewnością zdarza jej się jąkać.

Heban i kość słoniowa

Detroit

Zima

Po raz pierwszy spotkałem Mike’a Duggana w 2013 roku, kiedy kandydował

na burmistrza Detroit. Gdyby go wybrano, byłby pierwszym od czterech

dziesięcioleci białym na tym stanowisku. Ale wyścig nie był łatwy.

Z początku prowadził w sondażach, ale ostatecznie jego kandydatura przepadła, ponieważ był tu za krótko zameldowany – przeprowadził się z Livonii (najbiedniejszego miasta w stanie Michigan) do Detroit (najczarniejszego miasta w stanie Michigan) niecały rok przed wyborami.

Jako Jankes mógł jednak startować w prawyborach jako bezpartyjny kandydat *write-in*, czyli o ile wyborcy sami dopiszą jego nazwisko do listy, co w mieście, gdzie połowa dorosłych mieszkańców to w zasadzie funkcjonalni analfabeci, wydawało się przedsięwzięciem z góry skazanym na porażkę.

Duggan, demokrata, borykał się nie tylko z problemem braków w ortografii, ale musiał też stawić czoła sięgającej stulecia wstecz tradycji politycznych kocopałów w Detroit. Napisałem kiedyś felieton o tym, jak próbuje się mydlić ludziom oczy, wystawiając kandydatów, których nazwiska są podobne lub identyczne z nazwiskami osób sprawujących urząd.

Miasto zawsze słynęło z kreatywnego podejścia do kampanii wyborczej, więc wcale bym się nie zdziwił, gdyby jakiś inny Mike Duggan, Mike Doogan albo Miles Dillon dołączył nagle do imprezy, żeby skołować wyborców, zawłaszczyć ich głosy, albo też sprawić, że zostaną uznane za nieważnie z powodu błędnej pisowni.

Jakiś tydzień później, wczesnym rankiem zadzwonił do mnie politycznie ustosunkowany znajomy i poinformował mnie, że i owszem, w rzeczy samej jest taki jeden typ, który przygotowuje się do wejścia na ring jako kandydat *write-in*. Do prawyborów zostało mniej niż dwa tygodnie.

Jak stwierdził mój rozmówca, to niezła historia i powinienem się tym zająć od razu, zanim zrobi to konkurencja.

Dostałem adres tego podstawionego gościa i posłusznie pojechałem z Bobem do dzielnicy West Side. Zapukaliśmy do drzwi rozlatującego się domostwa niejakiego Mike’a Dugeona, młodego czarnoskórego fryzjera.

Czarny Mike otworzył nam zaspany i półgoły. Sprawiał wrażenie autentycznie skołowanego. Zarzekał się, że nie ma pojęcia, o czym mówimy.

Zaprzeczył, jakoby kontaktował się z nim jakikolwiek szef kampanii albo związku zawodowego.

Próbowałem wyjaśnić mu cały ten cyrk, polityczne szachy, kwestię błędnej pisowni. Jeśli wyborcy nie potrafili poprawnie napisać nazwiska Białego Mike'a, to skąd byłoby wiadomo, że nie próbowali poprawnie napisać

nazwiska

Mike'a

Czarnego?

D - U - G - G - A - N .

D - U - G - E - O - N .

Zapanowałby totalny chaos. Im dłużej Czarny Mike się nad tym zastanawiał, tym bardziej mu się ten pomysł zaczynał podobać.

– Potrzeba kogoś, kto by się zajął tym, co tu się wyprawia na dzielni –

powiedział mi wtedy, na dobry rok zanim Ferguson i Baltimore eksplodowały niekontrolowaną wściekłością. – Może jakbym kandydował na burmistrza – kontynuował – to ONI wreszcie zaczęliby NAS słuchać.

Później przyznał się jeszcze, że po cichu liczył na darmową reklamę, więcej klientów w swoim zakładzie fryzjerskim, może nawet własne reality show w telewizji.

Czarny Mike przeprosił nas na chwilę, poszedł na górę się ubrać, a potem ruszył do ratusza, żeby wykorzystać swoje konstytucyjne prawa.

Pojechaliśmy z Bobem tuż za nim.

Nie miał najmniejszych szans i bardzo dobrze o tym wiedział. Nigdy nigdzie nie kandydował, nawet do samorządu uczniowskiego. W zasadzie nigdy w życiu nie zagłosował nawet w wyborach. Ale była to świeża twarz z sąsiedztwa, młoda czarna twarz, która rozumiała problemy przestępczości i bezrobocia oraz nudy. Prowadził również kampanię w prawdziwie amerykańskim stylu, obiecując darmowe kanapki, frytki i napoje dla każdego obywatela. Wszystko było możliwe.

Jakimś tajemnym zrządzeniem losu, kiedy Czarny Mike zawitał do urzędu miasta, kobieta w okienku miała całą niezbędną dokumentację, jak gdyby na niego czekała. Co jeszcze bardziej tajemnicze, gdy naszemu fryzjerowi powiedziano, że będzie musiał pojechać na drugi koniec miasta i notarialnie

poświadczyć dokumenty w oddzielnym urzędzie administracji rządowej, notariusz z *tego oddzielnego urzędu administracji rządowej* wparował jak gdyby nigdy nic i podpisał się na wszystkich formularzach. A już najbardziej zagadkowe było to, że w ciągu kilku minut po złożeniu przez niego dokumentów nagle na Facebooku pojawiła się strona „Dugeon na burmistrza Detroit", a kolory i logotypy były niemal identyczne z tymi, których używał

Biały Mike w swojej kampanii pod hasłem „Duggan na burmistrza Detroit".

Jeszcze tego samego popołudnia do naszego fryzjera zaczęli wydzwaniać politycy i dziennikarze. Czarny Mike usiłował rozkminić, skąd wzięli jego numer. Wszystko to było bardzo dziwne.

Niektórzy lokalni dziennikarze zarzucili mi potem próbę zmanipulowania wyników prawyborów, jakbym to ja to wszystko ustawił. Inna teoria głosiła, że fryzjer tak naprawdę siedział w kieszeni szemranej elity, mianowicie oponentów Duggana. Zaczęły krążyć plotki. Niektórzy zauważyli, że Dugeon strzygł szwagra jednego z czołowych kandydatów.

Nikt jednak – co należy podkreślić – nie sugerował, że Czarny Mike działał sam.

Nabzdyczeni, dupiaści reporterzy oznajmiali pełnym troski barytonem, że jeszcze nigdy przez wszystkie lata w branży dziennikarskiej nie widzieli

czegoś równie oburzającego. Detroit złożyło oficjalny wniosek o ogłoszenie upadłości zaledwie tydzień wcześniej. Całe Motor City stało na krawędzi. Te wybory to była *poważna sprawa*. A teraz ktoś manipulował całą procedurą, wystawiając miasto na sromotę i pośmiewisko. W Detroit nawet najprostszej rzeczy nie dało się zrobić jak należy.

Wszystko wrzało, ja tymczasem zadzwoniłem do przedstawicieli Białego Mike'a i umówiłem się z nim na rozmowę po południu w jego nowym domu w Detroit, tym samym, od którego zaczęły się problemy.

Biały Mike powitał nas na okrągłym podjeździe. Przyjął nas uprzejmie.

Nie winił mnie za całe to zamieszanie. Obwiniał natomiast swojego głównego rywala, Benny'ego Napoleona, szeryfa hrabstwa Wayne. „Nie ma najmniejszych wątpliwości co do tego, kto podstawił fryzjera" – powiedział

naszym widzom Biały Mike. Było jasne jak słońce, kto za tym wszystkim stoi. „To szeryf dał nikczemny pokaz brudnej polityki" – poskarżył się Mike.

Tyle że to oczywiście gówno prawda, bo to człowiek Duggana zadzwonił

do mnie tego ranka z „podpowiedzią", która wprawiła w ruch dalsze wydarzenia. To właśnie człowiek Duggana podał mi adres fryzjera,

tłumacząc, że dostali jego nazwisko i plan działania od wtyki w sztabie wyborczym szeryfa.

Patrząc wstecz, jedyne, co mi przychodzi do głowy to… może. Może ludzie Napoleona rzeczywiście rozważali taki manewr i informacja trafiła do Duggana dzięki wtyce w sztabie. Może ta wtyka to tak naprawdę podwójny agent, którego zadaniem było podawanie Dugganowi fałszywych informacji, żeby go skompromitować. A może po prostu nie było w ogóle żadnej wtyki i człowiek Duggana dał mi fałszywą podpowiedź w nadziei, że sklecę krytyczny materiał o Napoleonie, a jednocześnie wiadomości podadzą prawidłową pisownię nazwiska jego szefa. D-U-G-G-A-N.

Zadzwoniłem do Napoleona. Zaprzeczył stanowczo, jakoby kiedykolwiek

coś takiego planował. Może. Fryzjer też twierdził, że nie znał nikogo od Napoleona. Może.

Wiem tyle, że Duggan stał przed naszą kamerą i bez mrugnięcia okiem wygłaszał jakieś farmazony o tym, że jego obóz nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. A to wiele mówi o charakterze tego człowieka. Ponownie utwierdził mnie w przekonaniu, że nieważne jak pokroisz polityczną gównokanapkę, i tak ciągle wpieprzasz gówno.

Niezależnie od okoliczności, w jakich doszło do kandydowania Czarnego Mike'a, Biały Mike trąbił o tym, gdzie tylko się dało. Był na pierwszych stronach gazet. Radio puszczało jego spoty, a w całym mieście na ścianach opuszczonych domów i witrynach sklepów zaroiło się od graffiti.

D - U - G - G - A - N . Mały biały człowieczek ubiegający się o najwyższy urząd w mieście zakasał nawet rękawy i osobiście zmywał sprej ze ścian, ale tylko wtedy, gdy w pobliżu były kamery.

Poczułem, że mnie wkręcili. Fryzjer poczuł, że go wkręcili. Co gorsza, fryzjer do pewnego stopnia uwierzył, że to ja wkręciłem jego, gdy go namówiłem do skoku na głęboką wodę. A może tak właśnie było. Pod pistoletem go co prawda nie trzymałem, ale to ja zapukałem do jego drzwi, obudziłem go z porannej drzemki i przedstawiłem mu cały scenariusz.

Na swoją obronę mam to, że gdyby nie ten telefon od człowieka Duggana, nigdy bym do Dugeona nie trafił. Ale kiedy już tam dotarłem, to go cisnąłem, póki nie podjął decyzji. Potrzebowałem odpowiedzi. Robię w mediach, pamiętacie? Bagno. Telewizja.

A jednak Czarny Mike wszedł w to, nie zdając sobie sprawy, że skacze na główkę do półmetrowego brodzika z betonu. Był jak mysz w maszynce do

mięsa. Medialne szakale piszczały i szczekały, wyśmiewały go, sugerowały, że to naiwniak i upośląd, narzędzie politycznej machiny – lub, co gorsza, marionetka telewizyjnego reportera. Marzenia o sławie rozpłynęły się i zamieniły w koszmar publicznego upokorzenia. Więc nasz fryzjer ukrył się, zdruzgotany, pozbawiony złudzeń, żyjąc w lęku przed szemranymi typami,

które wydzwaniały do niego i namawiały, żeby pozostał w wyścigu o urząd, oraz tymi, które go od tego odwodziły.

Ostatecznie Mike Duggan wygrał wybory na stanowisko burmistrza po niewiarygodnej, kosztującej miliony dolarów kampanii. Następnie opchnął

swój nowy dom w Detroit z dwudziestoprocentowym zyskiem i przeniósł się do

rezydencji

burmistrza.

Przynajmniej

tak

właśnie

powiedział

dziennikarzom. Nikt nigdy nie sprawdził, czy on i jego rodzina rzeczywiście się tam przeprowadzili.

A Mike Dugeon? Uzbrojeni złodzieje ukradli mu samochód.

Miałem spotkać się z Dugganem po raz drugi, rok po objęciu przez niego urzędu. Dotąd niewiele miał z tego tytułu obowiązków, zważywszy, że miasto-bankrut znajdowało się pod zarządem mianowanego przez państwo komisarza nadzwyczajnego i dopiero niedawno trafiło na powrót pod kontrolę władz cywilnych. Ale to nie przeszkodziło „jegokscelencji”

przypisać sobie zasługi za szereg osiągnięć, które były albo nieprawdziwe, albo dokonane przez kogoś innego. Na ulice wróciło oświetlenie. (Prawda).

Budżet był zbilansowany. (Prawda). Przestępczość spadała. (Niejasne).

Zatrzymał się odpływ ludności, a biali wracali do domów. (Fałsz).

Duggan przyszedł na umówiony lunch w wygniecionych ciuchach i czerwony jak burak, jak ktoś, kto przyjechał do szpitala z bólem w klatce piersiowej. Resztki włosów miał potargane. Marynarkę zniszczoną i wymiętoszoną, krawat wystrzępiony. Sznurowadło w lewym bucie wlokło się rozwiązane. Pomyślałem, że w jego niechlujnej aparycji było coś z artysty i szczwanego lisa. Coś bardzo stonowanego, co niczym szczególnym się nie wyróżniało, jak pusta restauracja, którą wybrał na spotkanie. Mieliśmy dla siebie całe drugie piętro nad barem, nie licząc policjanta w rogu i samotnego kelnera w pogotowiu.

Polityka – polityka Duggana – to partia pokera. Im mniej ujawnisz, tym większe masz szanse.

Oto człowiek, o którym społeczeństwo wiedziało bardzo mało, mimo że od trzydziestu lat należał do grona najbardziej prominentnych demokratów.

Głowica machiny. Szef partii. Mężczyzna, którego nazwiska połowa miasta nie potrafiła prawidłowo wymówić, i to mimo tych wszystkich spotów radiowych.

– Zupa z kurczaka z makaronem i wrap z kurczakiem. – Burmistrz złożył

zamówienie, nawet nie patrząc na kelnera. – I mrożona herbata, nie za dużo lodu.

Skromnie, pomyślałem. Niezobowiązująco. Dobre zagranie. Wyrównam twoją zupę z kurczaka i kurczakowego wrapa. Przebijam kawą ze śmietanką, prawdziwą śmietanką, żadnych chujowych podróbek w plastikowym naparstku.

Kelner skinął głową i znikł.

Kilka dni temu w swoim orędziu o stanie miasta Duggan wspominał

o moim materiale – usłyszałem o włamaniu i razem z właścicielką domu czekałem na przybycie policji. Zdążyłem dwa razy pójść do McDonalda, wykąpać się w wannie pełnej piany, pochodzić sobie po podwórku w

szlafroku (Matt niepotrzebnie wypikselował mi jajca w postprodukcji), przeczytać jej wnukom bajkę na dobranoc, a cztery godziny później i tak musiałem wyjść na trawnik i zatrzymać przejeżdżający ulicą radiowóz.

Te czasy już minęły, ogłosił burmistrz w swoim orędziu.

To była polityczna sztuczka. Wiedziałem o tym. On o tym wiedział.

Wiedziała o tym policja. To, jak przedstawiono obywatelom bankructwo miasta, miało uwolnić fundusze na bezpieczeństwo publiczne. Ale na co poszły te pieniądze? Policjanci, którym zabierano emerytury i obniżano płace, tłumnie odchodzili ze służby. A gdzie były wyniki? Współczynnik zabójstw pozostawał mniej więcej taki sam, a Detroit jak zawsze plasowało się wysoko w rankingu miast o najwyższym wskaźniku przestępczości w kraju. Nadal było to najbardziej niebezpieczne miasto w Ameryce. Liczba aresztowań zdecydowanie spadła i wyglądało na to, że statystyki przestępczości są naciągane. Ale jeśli nikt nie sprawdza kłamstwa, kłamstwo staje się prawdą.

Jednak to nie skłonność do pompatycznej hiperboli była główną słabością jego administracji, a biel jego skóry – albo tak mu się przynajmniej wydawało.

W Detroit osiedlali się młodzi biali ludzie, i to było dobre. Tym

gładkolicym pionierom niewiele było trzeba. Żyli w kokonie śródmiejskiej dzielnicy bogaczy, nie potrzebowali infrastruktury komunalnej, jak policja czy szkoły, ani ubezpieczeń w przystępnych cenach. Nie mieli dzieci i mogli rejestrować samochody w domach rodziców na przedmieściach. A kiedy zaczynali potrzebować szkół dla dzieci, to wracali na przedmieścia, i tyle.

Tyle że bez tych fundamentalnych rzeczy czarni mieszkańcy musieli się obywać od lat. Teraz, gdy realizowane przez miliarderów inwestycje publiczne wyrastały w centrum miasta jak grzyby po deszczu, ich dzielnice nadal się rozpadały, więc coraz głośniej dawali wyraz swojemu niezadowoleniu.

Duggan oznajmił, że należy zadbać o to, by młodzi biali fachowcy nadal tu wracali. Ale trzeba też odzyskać młodych czarnych fachowców. Populacja Detroit od sześćdziesięciu lat nieustannie się kurczy. Jego zdaniem właśnie na tej podstawie powinien być oceniany – czy do miasta sprowadzą się nowi mieszkańcy.

Młodzi czarni fachowcy byli Dugganowi potrzebni jako potwierdzenie opowieści o nowym Detroit, nawet jeśli miała być ich zaledwie garstka –

w przeciwnym razie cała ta narracja o renesansie nie przeszłaby w mieście, w którym ponad osiemdziesiąt procent populacji stanowią czarni. W tym celu Duggan zatrudnił czarnych pracowników i to ich wysyłał przed kamery oraz na spotkania z mieszkańcami, a sam starał się nie wychylać zbytnio ze swoją białą skórą, co zresztą otwarcie przyznał. Wolał przecinać wstęgi i otwierać psie schroniska, niż ściskać dłonie i przytulać niemowlaki.

– Przecież oni dobrze wiedzą, że pan jest biały – powiedziałem mu. –

A i tak na pana zagłosowali. Biali głosowali na Obamę. Więc w czym problem?

– Młodzi lepiej się nadają do gadania – odparł. Po czym wytarł usta i odłożył serwetkę na stół.

Lunch dobiegł końca, a burmistrz – rad nierad biały – przeprosił nas i powiedział, że ma sporo roboty. Czekały na niego gabinet na jedenastym piętrze, ciemne biurko z drewnianym blatem, wielkie krzesło i ciężka korona.

Tyle mówił o rewitalizacji, że prawie mnie przekonał.

W drodze powrotnej ze spotkania pomyślałem o Mike’u Dugeonie, fryzjerze z dzielnicy. Jemu nikt nie zaproponował pracy w polityce, kiedy postanowił dołączyć do niebezpiecznego wyścigu o stołek burmistrza.

Pewnie i tak brzydził się teraz światem władzy i mediów. Ostatnio słyszałem, że przeszedł na judaizm i wygłasza kazania na ulicy.

Po lunchu z białym-acz-niechętnie burmistrzem czułem się rześko i żwawo, więc wróciłem na amerykańską drogę szaleństwa. Tym razem wybrałem się do Alabamy w poszukiwaniu innego niechętnego białego, który najwyraźniej wycofał się z historii.

Służył w policji w Birmingham w erze walki o prawa obywatelskie.

Zasłynął nie z nazwiska, ale z fotografii. W samolocie na Południe, gdzie miałem nadzieję go znaleźć, czytałem historię tamtych czasów. Poniższe słowa pochodzą z listu wielebnego Martina Luthera Kinga Juniora napisanego podczas jego pobytu w areszcie w Birmingham w kwietniu 1963

roku.

W liście tym, znanym pod tytułem The Negro Is Your Brother [*Murzyn to twój bliźni*] *, King zwraca się do południowych białych duchownych, którzy potępili taktykę walki o prawa obywatelskie. Broni strategii pokojowego nieposłuszeństwa wobec rasizmu i wyśmiewa białych pastorów, którzy wychwalali policję w Birmingham za utrzymywanie porządku.*

„Wątpię, czy chwalilibyście policjantów równie gorąco, gdybyście mogli zobaczyć, jak ich psy kąsają nieuzbrojonych, niestosujących przemocy Murzynów” – napisał doktor King.

Miałem wrażenie, jakby mówił tu o człowieku, którego szukałem. Kto wie, może właśnie tak było.

Dzięcioł różowoszyi

Birmingham, Alabama

Zima

Młoda biała kobieta wykładała na tacę strudel do ostygnięcia. Dwie Latynoski ugniatały ciasto. Z toalety wyłoniła się staruszka. Nie był to Dick.

Zegar z kukułką ogłosił, że wybiła godzina dziesiąta. Kuku! Kuku! Kuku!

Kuku!… Otworzyły się drzwi wejściowe. Zadźwięczał dzwonek. Znowu stara biała kobieta, blada i siwa. I tym razem nie był to Dick.

Niezależnie od tego, gdzie się podziewał tego ranka, łatwo było zauważyć, że Dick Middleton jest germanofilem. Niemiecka piekarnia na przedmieściach Birmingham. Niemiecka żona, którą poznał podczas służby w Niemczech po wojnie. Niemiecki zegar z kukułką. Możliwe, że pamiętacie też Leo, owczarka niemieckiego ze zdjęcia zrobionego w 1963 roku.

To ważny obraz – zarówno wtedy, jak i dziś. Middleton, z zaciśniętą szczęką i rozdętymi, białymi nozdrzami, w czapce ze skórzanym daszkiem ozdobionej srebrnym orłem, w srebrnych okularach przeciwsłonecznych, ze skórzaną kaburą na lewym biodrze. Policjant lewą ręką przytrzymuje napiętą smycz Leona, a pies rzuca się na czarnego nastolatka i usiłuje wbić zęby w jego brzuch. Middleton prawą dłonią łapie chłopaka za sweter. Jest w tej scenie coś z gruntu germańskiego, coś z despoty i tyrana. Władza nie idzie na żadne ustępstwa. Oto i on, *Pan i Władca*.

A oto *Chłopiec*, piętnastoletni Walter Gadsden, który urwał się tego dnia ze szkoły, żeby popatrzeć, co się dzieje. Ma na sobie kardigan, a kieszenie jego spodni są wywrócone na zewnątrz. Lewą dłoń zaciska wokół prawego nadgarstka Middletona, chociaż nie wiadomo, czy chce go odepchnąć, czy raczej próbuje się na nim wesprzeć, podczas gdy Leo już prawie zatapia zęby w jego ciele. Świadkowie wyglądają na wstrząśniętych i głęboko poruszonych, spoglądają na rozgrywającą się scenę przez ramię, po czym oddalają się pospiesznie w swoją stronę, bo nie chcą kłopotów. Twarz

Gadsdena jest skupiona, ale spokojna, nie zdradza niczego, ani strachu, ani szoku, ani wściekłości. Nad głową chłopca widać tablicę jadłodajni z napisem:

J O C K E Y B O Y

R E S T A U R A N T

D R I N K

Coca-Cola

Gdyby nie ta czarno-biała fotografia, prawdopodobnie nie byłoby ustawy o prawach obywatelskich, ustawy o prawach wyborczych, ani w ogóle żadnej innej ustawy o równych prawach. Z pewnością nie byłoby marszu krwawej niedzieli w Selmie, wydarzenia, którego pięćdziesiątą rocznicę upamiętnia hollywoodzki film wyświetlany w kinach w całym kraju. To zdjęcie policjanta i psa oraz chłopca, zrobione w Birmingham dwa lata przed krwawą niedzielą, sprawiło, że wreszcie na poważnie zajęto się kwestią amerykańskiego apartheidu.

Na początku 1963 roku Martin Luther King Junior siedział w więzieniu, a ruch, którym kierował, stracił energię. Udało im się odnieść kilka zwycięstw w Alabamie, gdzie osiem lat wcześniej Rosa Parks zapoczątkowała bojkot autobusowy w Montgomery. Potrzebowali czegoś nowego. Zatem dwa tygodnie po napisaniu listu z więzienia w Birmingham King i jego Konferencja Chrześcijańska Przywódców Południa wyprowadzili na ulice trzy tysiące czarnych dzieciaków w proteście przeciwko segregacji i całemu szajsowi, jaki się z nią wiązał.

W

odpowiedzi

Eugene

Connor,

zwany

„Bykiem”,

komisarz

bezpieczeństwa publicznego w Birmingham, napuścił na nich psy policyjne i strażaków z wężami oraz Dicka Middletona. Zarządził też masowe aresztowania protestujących dzieci. Bill Hudson, fotograf Associated Press,

był na miejscu z aparatem.

Zdjęcie chłopca zaatakowanego przez psa pojawiło się na pierwszej stronie niemal każdej gazety w Ameryce (choć nie w Birmingham).

Prezydent John F. Kennedy powiedział, że przyprawiło go o mdłości.

Od tego momentu historia potoczyła się znanym nam torem. Koniec segregacji w Birmingham. Zorganizowany zaledwie kilka miesięcy później przez Ku Klux Klan zamach bombowy w kościele baptystów przy Szesnastej Ulicy, w którym zginęły cztery młodziutkie uczennice. Ustawa o prawach obywatelskich. Marsz z Selmy. Ustawa o prawach wyborczych. Zabójstwo Kinga.

Przez wiele lat obaj bohaterowie fotografii – uwiecznionej też w postaci pomnika z brązu w parku w centrum Birmingham – pozostawali niemal anonimowi. Piętnastoletniego w 1963 roku Waltera Gadsdena odnalazła trzydzieści lat później historyczka Diane McWhorter, zdobywczyni nagrody Pulitzera. Kiedy zadzwoniłem do nowojorskiego biura McWhorter, powiedziała mi, że rozmowa z Gadsdenem była krótka. Oznajmił, że nie chce się „angażować”, i grzecznie się z nią pożegnał.

Policjant z Birmingham, zidentyfikowany przez McWhorter i byłych kolegów z wydziału policji jako Dick Middleton, powiedział historyczce, że zdjęcie mu „nie przeszkadzało”.

Czarny nastolatek, biały policjant, brutalność – ponad pięćdziesiąt lat później to nadal materiał na pierwszą stronę. Wierzyłem, że ci dwaj mężczyźni mają historii do zaoferowania coś więcej niż dwa krótkie wywiady telefoniczne. W przyszłym tygodniu na moście Edmunda Pettusa w Selmie szykował się telewizyjny cyrk. Dziennikarze zjeżdżali tam tłumnie, żeby uwiecznić, jak prezydent Obama idzie ramię w ramię z czarnymi protestującymi, których przed laty brutalnie zaatakowała policja – to bez wątpienia będzie historyczny moment. Ale byłby to obraz zarejestrowany przez tysiąc obiektywów, nieciekawy i nijaki. Postanowiłem więc to sobie darować.

Gdy media skręcają w prawo, trzeba skręcić w lewo. Tak jak Jimmy Breslin, wielki reporter z Nowego Jorku, który powiedział, że wszyscy idą do szatni zwycięzcy. Breslin zawsze szedł do przegranych. Wybrałem się na poszukiwanie Waltera, który na wieczność pozostanie chłopcem z fotografii, i Dicka, którego twarz stała się symbolem opresji, z nadzieją, że nadal żyją i mają coś do powiedzenia. Kilka słów wyjaśnienia. Coś o obecnym stanie rzeczy. O tym, co dalej.

Przeszukałem rejestry publiczne w całym kraju, ale nie znalazłem nic, co by wskazywało, że Walter Gadsden zmarł. Wydawało się jednak, że zapadł

się pod ziemię. Nie figurował w żadnym spisie wyborców. Żadnych najbliższych krewnych. Brak kontaktów z historykami i grupami działającymi na rzecz praw obywatelskich.

Udało mi się zawęzić poszukiwania do trzech Walterów Gadsdenów –

według danych z rejestrów wszyscy mieszkali w Alabamie. Pierwszego

znalazłem

w

ponurym

wielorodzinnym

budynku

na

betonowym

podmurowaniu tuż obok wyjazdu z Birmingham. Na parapecie obok drzwi leżał niedopałek papierosa. Okna były zasłonięte prześcieradłami. Zapukałem trzy razy. W końcu otworzył mi młody czarny facet. Pokazałem mu zdjęcie.

– Pomyłka – powiedział, po czym zamknął mi drzwi przed nosem i wrócił

do swoich spraw.

Drugi Walter Gadsden mieszkał w Montgomery.

– Ja tam nic nie wiem o żadnym psie – powiedziała mi przez telefon jego córka. – Poza tym on jest za młody. Przepraszam – dodała, zanim się ze mną uprzejmie pożegnała.

Trzeci adres skierował nas do wschodniej części Birmingham, po drugiej stronie torów kolejowych. Obok domu Gadsdena stała spalona knajpa z grillem; nieopodal rosła kępa drzew, między którymi leżały porozrzucane butelki i puszki, a dzięcioły różowoszyje głośno się nawoływały.

Bob zaczął kręcić, a ja odsunąłem połamane deski, wsadziłem rękę przez rozerwaną siatkę i zapukałem do drzwi. Otworzył mi starszy, chudy, bezzębny czarny mężczyzna. Siwe włosy miał w nieładzie, a koszula przywodziła na myśl zużytą chustkę do nosa. Na pierwszy rzut oka widać było, że żyje w ubóstwie, ale w jego opanowanych ruchach było coś dostojnego, jakaś wrodzona godność. Szalenie mnie to ujęło i chciałem jakoś wyrazić mój szacunek do niego, uznanie dla jego wieku i siły przetrwania.

W widocznym za nim zagraconym salonie dostrzegłem spory telewizor z wyłączonym dźwiękiem oraz zaniedbane, zarośnięte akwarium. W kieszeni miał telefon komórkowy, z którego dobiegał głos wrzeszczącej kobiety.

Wyciągnąłem do niego rękę na powitanie.

– Chyba żeś pan nie przyszedł, żeby mi rozwalić głowę, co? – powiedział, zanim odwzajemnił uścisk.

Pokazałem mu zdjęcie.

– Pamiętam. Dobry Boże, bardzo groźnie ten policjant wygląda.

– A ten chłopak? Czy to pan?

– Nie, to nie ja – odparł świszczącym głosem. – Ale byłem tam wtedy.

Ogarnęło mnie rozczarowanie. Dotarło do mnie, że nigdy nie znajdę Waltera Gadsdena z 1963 roku.

– Czy coś się od tych czasów zmieniło? – zapytałem niezręcznie po chwili milczenia.

– Zmieniło, i to dużo – odpowiedział. – Choć z drugiej strony nie tak

znowu wiele. Wcale nie tak wiele. Niby wpuszczają nas teraz do restauracji i takie tam. Ale policja ciągle bije czarnych chłopców. Za mało się zmieniło, jak się zastanowić, to naprawdę, zdecydowanie za mało.

Popołudnie było zimne, szare i paskudne. Okolica nie była wiele lepsza.

W obrębie trzech przecznic, aż do torów kolejowych, nad każdym oknem na poziomie ulicy były kraty. Pozapadane werandy. Samochody, które od lat stały tylko i rdzewiały. Nie było widać żywej duszy. Tylko liście poruszały się na wietrze.

Kobieta w telefonie nie przestawała wrzeszczeć, obrzucała go potokiem wyzwisk: „Ty taki i owaki, zakłamany, tego i owego warty, z kim rozmawiasz? Jesteś tam? Halo? Słuchasz mnie?”.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się z zażenowaniem, przeprosił nas i zamknął drzwi, zostawiając nas samych na ganku wśród rozwrzeszczanych dzięciołów.

Bob wzruszył ramionami. Otarł się o śmierć na motocyklu, ale już stanął na nogi. Trochę poharatany, jednak cały, a ja cieszyłem się, że był tu ze mną.

Też kocham niemczyznę. Bob Schedlbower, czyli po naszemu Bob Hodowca Czaszek. Matt wrócił do Detroit, bo starał się o podwyżkę; po doświadczeniach w Ferguson, gdzie został ostrzelany, obrzucony kamieniami i cegłami oraz potraktowany gazem łzawiącym, potrzebował jakiegoś małego dowodu uznania od zarządu, poklepania po plecach w postaci dodatkowego dolara za godzinę. Matt Phillips. W tłumaczeniu Matt Wielbiciel Koni. Bob i Matt, potomkowie hodowców kapusty i stajennych parobków. Potomkowie

chłopów.

Wyruszyliśmy z Bobem w drogę, na prowincję Alabamy, do mieszczącego się w hrabstwie Talladega domu Nolena Shiversa, byłego funkcjonariusza wydziału policji w Birmingham, od czterdziestu dziewięciu lat na emeryturze. W tym pamiętnym tygodniu w 1963 roku pełnił służbę w areszcie. Powiedział mi, że zatrzymał wówczas kilkaset osób i był jednym z dwu mundurowych, którzy pobrali odciski palców Kinga i zrobili mu zdjęcie do kartoteki. Akurat złapałem jakiegoś wirusa i zanim dojechaliśmy na miejsce, musiałem wyskoczyć z samochodu i ulżyć jelitom. Wbrew pozorom telewizja bywa szpetnym, niezbyt apetycznym monstrum.

Na szczęście zabraliśmy dodatkowe serwetki z piekarni Dicka.

Rezydencja Shiversa w niczym nie przypominała domu Gadsdena w Birmingham; budynek był gustowny i czysty, wychodził na spore jezioro, w którym można było łowić ryby. Słychać było ciche świergotanie lelków.

Tu nie hałasowały żadne wrzeszczące baby ani dzięcioły – co to, to nie.

Shivers zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu – byłem blady i oczy błyszczały mi gorączką. Poszedł do kuchni i nalał mi wódki z colą, żeby mój żołądek trochę się uspokoił, po czym wziął do ręki zdjęcie. Na ścianie wisiał

plakat z napisem: „Gdzieś na świecie jest piąta”.

Trzymając drinka w dłoni, Shivers wyjaśnił, że jego zadanie polegało na rejestracji i pobieraniu odcisków palców od aresztowanych w ciągu tamtego tygodnia. Były ich setki, może nawet tysiąc, trudno powiedzieć. Kinga mało kto wtedy znał, ale został aresztowany z resztą grupy. Być może to on pobrał

od niego odciski palców.

– Rozpoznaje pan policjanta na zdjęciu?

– Tak, to Dick Middleton.

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Pracował pan z nim?

– Znałem Middletona i nieraz zapisywałem jego nazwisko w kartotece, kiedy kogoś aresztował. Pracował z psami. Spójrzcie na jego kaburę. Na lewym biodrze. Dick był leworęczny.

Pracowali razem przez dwadzieścia lat, a ja pytałem Shiversa o tamte czasy, rolę, jaką odegrał jako stróż prawa w utrzymaniu segregacji, o jego udział w aresztowaniu setek dzieci, o list Kinga napisany z więzienia, gdzie odbywał służbę.

– Ja tam nie uważam, żebym zrobił coś złego na służbie – odpowiedział. –

Po prostu taką miałem pracę. Podobnie jak pozostali. Wiedziałem, że wszystko się zmienia, i cieszę się, że tak się stało. To nie było w porządku.

Jak czarny człowiek podróżował po kraju, to nie mógł nawet z łazienki skorzystać. To był najwyższy czas na zmiany. Ale tak, ten policjant to Middleton.

Ogarnęła mnie fala mdłości. Popędziłem do toalety i zwymiotowałem.

Rozejrzałem się dookoła i zauważyłem czystość, w jakiej owdowiały Shivers utrzymywał przybytek. Nieskazitelna muszla klozetowa. Świeże ręczniki do rąk. Oto człowiek, który lubi porządek. Wróciłem do salonu, a on nalał mi świeżego drinka.

– Bardzo podziwiam wasz etos pracy – powiedział.

W spisie wyborców Middleton figurował pod dwoma adresami. Pierwszy zaprowadził nas do piekarni z zegarem z kukułką. Drugi do domu na przedmieściach Birmingham. Gdyby Middleton był czarny, ta rozbieżność na pewno by wystarczyła, żeby nie kwalifikował się do głosowania na Południu

w czasach Jima Crowa. Wtedy wystarczyło urodzić się z nieprawego łoża, żeby obrabowano człowieka z prawa do głosu. Wielokrotnie dzwoniłem do niego do domu. Zostawiałem mu wiadomości. Ani razu nie oddzwonił.

Jeśli reporter zadaje pytania o apartheid i atakujące psy, to strudel zaczyna dziwnie smakować, więc wyszliśmy z piekarni bez słowa, żeby nikogo nie prowokować. Kiedy jeździliśmy po okolicy i szukaliśmy domu Middletona, minęliśmy opuszczony pasaż handlowy, gdzie zegar zatrzymał się jakiś czas temu na 4.14. Przypomniał mi się słynny cytat z Biblii: Wy, którzy nie wiecie, co jutro będzie. Bo czymże jest wasze życie? Doprawdy jest parą, która pojawia się na krótko, a potem znika[2].

List św. Jakuba 4,14

Dick mieszkał w niebrzydkim bliźniaku otoczonym gustowną zielenią i widocznymi gdzieniegdzie gipsowymi figurkami dżokejów na trawnikach.

(Ale tylko białych! Doprawdy, czasy bardzo się zmieniły). Zaparkowaliśmy na podjeździe, przywaliwszy niechcący w ozdobny głaz pod skrzynką pocztową, i wspięliśmy się nachyloną ścieżką do drzwi wejściowych.

W środku rozszczekał się pies, a w końcu otworzył nam biały mężczyzna w średnim wieku o nalanej twarzy. Powiedział, że jest zięciem Middletona.

Zapytałem o Dicka.

– Nie ma go.

Pokazałem zięciowi zdjęcie Middletona trzymającego Leo.

– To nie on – powiedział zięć, za szybko i raczej mało przekonująco.

W policji w Birmingham pracował tylko jeden Dick Middleton, a zięć potwierdził, że jego Dick służył w tym wydziale. Powiedział również, że nie ja pierwszy popełniłem ten błąd. Inni też przychodzili do niego z tym zdjęciem i słyszeli to samo, co ja. To nie był jego Dick.

– Może mógłbym przyjść później, jak wróci?

– Ale on tu jest.

– A mogę z nim porozmawiać?

– Nie.

Po dwudziestu latach w dziennikarskiej branży mało co mnie zaskakiwało.

Muszę jednak powiedzieć, że tam w Birmingham w stanie Alabama przeżyłem szok. Dick Middleton przeszedł do historii jako jedna z twarzy apartheidu, jednak ani on, ani jego rodzina nie mieli na ten temat nic do powiedzenia. Nie było go w domu, a potem był w domu. Brak wyjaśnienia, brak interpretacji, żadnego choćby machnięcia ręką – „ja tylko wykonywałem rozkazy”. Wyłącznie niemrawe zaprzeczenie, że to w ogóle był on.

Przypomniałem zięciowi o telefonicznym wywiadzie Dicka z McWhorter, w którym potwierdził, że to rzeczywiście on został uwieczniony na tym zdjęciu. Opowiedziałem mu o wspomnieniach Shiversa, wieloletniego współpracownika Middletona. I o wycinkach z gazet z późniejszych lat.

Człowiek na zdjęciu to musi być jego teść, prawda?

– Nieprawda.

I to stwierdziwszy, delikatnie zamknął drzwi historii.

Dick Middleton zmarł jeszcze tego samego roku, niechętny biały człowiek, para, która pojawiła się na krótko, a potem zniknęła.

Ale fotografia… fotografia żyje wiecznie.

Iowa rzadko trafia do ogólnokrajowych wiadomości, chyba że akurat dojdzie do jakiejś klęski żywiołowej czy masowej strzelaniny. Kiedy jednak mówi się o Iowa, to od razu wiadomo, że zbliża się sezon wyborów. Odkąd pamiętam, zawsze

niechętnie

podchodziłem

do

relacjonowania

starannie

zaaranżowanej – i kompletnie ogłuszającej – choreografii kampanii wyborczej.

Ale cały kraj się sypał, więc potrzebowałem jakiejś odskoczni i pomyślałem, że może warto rzucić okiem na prezydencki shitshow w Iowa, choćby tylko po to, żeby sprawdzić, czy któryś z kandydatów ma jakiekolwiek pojęcie, co się dzieje w prawdziwej Ameryce.

Zaproszono kilkunastu republikańskich pretendentów oraz Hillary Clinton. Mieli odpowiadać na pytania od magnata rolniczego, który dorobił

się na kukurydzy i boczku.

Wiedziałem co nieco o politykach. Po pierwsze, są odpicowani i wykokoszeni, bo dogadzają sobie na koszt podatników, ale ze wszelkich sił

próbują to ukryć. (Społeczeństwo dopłaca im nawet do fryzjera i manicure'u, a senatorski zakład fryzjerski dostawał pół miliona dolarów z budżetu). Tak to jest w Waszyngtonie, gdzie w żadnym wypadku nie wolno ci zobaczyć swojego przedstawiciela w jego prawdziwej postaci.

Jednak na czas kampanii przedstawiciel zakasuje rękawy, zjada kurczaka na patyku i oświadcza ci z udawanym obrzydzeniem, że ludzi takich jak on powinno się postawić pod pręgierzem.

O polityce na szczeblu krajowym wiedziałem jeszcze to, że Iowa pierwsza głosuje w prawyborach prezydenckich, przez co ten rolniczy stan ma niczym nieuzasadniony i zdecydowanie za duży wpływ na wybory krajowe.

Z technicznego punktu widzenia Iowianie organizują cyrk na kółkach znany pod nazwą caucus *, co oznacza mniej więcej tyle, że grupa białych ludzi najpierw wydziera się na siebie przez kilka godzin, a potem głosuje.*

Lewis Carroll opisał podobną scenę w Alicji w Krainie Czarów *. Alicja i zwierzęta spotykają się nad brzegiem rzeki łez i zastanawiają, jak się osuszyć. Ptak Dodo sugeruje* caucus *, czyli „wyścig kumotrów”, w którym*

każda istota ma biegać w kółko, dopóki ktoś nie każe jej się zatrzymać. Nie udaje się wyłonić zwycięzcy.

Iowa po prostu dała nam senatora Teda Cruza.

Czerwone mięso

Iowa

Zima

Na senatora Teda Cruza, republikanina z Teksasu, wpadłem na szczycie rolniczym w Des Moines. A dokładniej to Teksański Ted wpadł na mnie, a właściwie nawet mnie dopadł. Ted lubi kamerę. Ma wręcz niewiarygodne parcie na szkło. Jego wąskie barki zdają się rozrastać, klatka piersiowa rozszerza, a oczy zwężają w refleksyjnym wyrazie, kiedy tylko w pobliżu znajdzie się ktoś z obiektywem.

Akurat jarałem papierosa, ale zawsze jestem przygotowany na każdą ewentualność, więc szybko zadałem mu pytanie, co sądzi na temat imigracji.

Powiedział, że jest jej zdecydowanie przeciwny. Chciał szczelnie zamknąć granicę i postawić betonowy mur – był zatem pierwszym kandydatem, od którego usłyszałem propozycję ustawienia wielkiego muru wzdłuż granicy z Meksykiem. Ponadto nie popierał żadnej drogi do obywatelstwa dla tych, którzy nielegalnie dostali się do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Kropka.

– Jestem synem imigranta, który przybył pięćdziesiąt osiem lat temu z Kuby.

Przybył legalnie – podkreślił Cruz, gdy staliśmy na lodowatym parkingu należącym do stanowego kompleksu. – I myślę, że Amerykanie są zgodni co do tego, że amnestia jest zła.

Cruz miał na sobie krawat i był bez marynarki. Ludzie ze Środkowego Zachodu lubią, jak facet zdejmuje marynarkę. Dzięki temu wygląda, jakby wiedział, co robi.

Cruz był niższy, niż się spodziewałem, miał dużo za dużo żelu we włosach i wymiętolony garnitur. Wyścig o Biały Dom już się rozpoczął, chociaż do wyborów zostały jeszcze rok i trzy kwartały. Jednak to nie była pierwsza wizyta Cruza w Iowa, ani nawet druga. Według moich nieoficjalnych rachunków, Ted odbył więcej podróży do stanu Sokolego Oka niż do granicy z Teksasem, odkąd dwa lata wcześniej wybrano go młodszym

senatorem stanu Samotnej Gwiazdy. Zapomnij o kobietach i dzieciach, które przybywają z Ameryki Środkowej. Jeśli chcesz zostać prezydentem, musisz przyjechać do Iowa.

Tak przynajmniej mówiła konwencjonalna mądrość polityczna. Ja jednak nie byłem tego wcale taki pewien. Spleceni rozmaitymi powiązaniami politykierzy i medialni wyjadacze trzymali całą procedurę za pysk.

Kontrolowali przekaz, lokalizację i ton, tworząc w ten sposób najbardziej mdłe, najgorzej oceniane, najdroższe reality show na świecie. Szczyt rolniczy, panie i panowie. Punkty za etanol! Zbiorniki na obornik!

Gdzieś tam, w Ameryce, mówiło się o wojnie i emeryturach, o robotniku, który wywracał gacie na lewą stronę, żeby na dłużej starczyły. Zwykli ludzie rozmawiali o miejscach pracy przenoszonych za granicę i obcokrajowcach, którzy tu przyjeżdżają i konkurują z nimi o to, czego jeszcze nie przeniesiono. O całej tej równi pochyłej. Ale to nieważne. Porozmawiajmy o rekompensatach za areał rolniczy!

Według doniesień prasowych na szczyt zjechało ponad dwieście pięćdziesiąt reprezentacji rozmaitych mediów. Reporterzy nie mieli co robić, bo na parkingu stanowego kompleksu targowego nic się nie działo, więc kiedy

zauważyli, że przyszpiliłem Dużego Teda, zlecieli się jak muchy. Ted za wiele im nie powiedział, coś tam o powrocie do tradycyjnych, rolniczych wartości z Iowa. Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale japońska dziennikarka pochyliła głowę z wdzięcznością.

Tak, dziękuję, panie senatorze. *Dōmo arigatō*.

To w Iowa odbył się pierwszy *caucus*, więc przede wszystkim tu skupiała się uwaga kraju. Z tego, co widziałem, należałoby raz na zawsze odwołać całe to widowisko. Ale miało potrwać jeszcze wiele miesięcy, niemrawe, napędzane wyłącznie własną skiśniętą energią. Żal mi było dziennikarzy politycznych, którzy zdawali się nieświadomi, że ich dusze ulegają zwapnieniu.

Ted poszedł dalej, nadęty jak purchawa i dumny, że tylu ludzi go słucha.

Zawyrokował, że jeśli pozwolimy, że jeśli otworzymy nielegalnym imigrantom drogę do obywatelstwa, będzie to niesprawiedliwe wobec tych, którzy przestrzegają zasad.

To dzięki takim smaczkom senator stał się ulubieńcem Partii Herbacianej i człowiekiem za kierownicą ekspresu skrajnej prawicy. Był Latynosem, a w wygłaszanym przy każdej okazji przemówieniu o „legalnej” drodze ojca

do amerykańskiego snu zrobił z Cruza seniora kogoś na kształt Tony’ego Montany i opowiadał o tym, jak od kubańskiego więźnia politycznego (tak naprawdę jego stary walczył *u boku* Fidela Castro) przez pomywacza w Teksasie i kanadyjskiego nafciarza doszedł do pozycji amerykańskiego pastora ewangelickiego.

Rzeczywiście, postawa Cruza była równie twarda co pełna hipokryzji, biorąc pod uwagę, że przytulał sporą forsę od Wall Street i liczył na porównywalną hojność branży rolniczej, czyli właśnie tych podmiotów, które czerpią największe zyski z pracujących na czarno imigrantów.

W ramach przygotowań do szczytu odbyliśmy z Bobem dwugodzinną podróż do Denison, małego miasteczka na zachodzie stanu Iowa. W położonej w hrabstwie Crawford miejscowości co krok napotykasz rzeźnię albo zakład

mięsny. Na wieży ciśnień widnieje napis: „To wspaniałe życie”, umieszczony tam w hołdzie dla Donny Reed, dziewczyny z farmy nieopodal, która wyszła na ludzi i zagrała u boku Jimmy’ego Stewarta w hollywoodzkim hicie pod takim właśnie tytułem.

Dzisiejsze Denison nie przypomina małomiasteczkowego Bedford Falls.

Zaparkowaliśmy pod fabryką wołowiny Tyson, gdy akurat skończyła się zmiana, i filmowaliśmy wychodzących pracowników. Gołym okiem było widać, że nie znajdą się tu żadni biali czy czarni. Było za to morze Latynosów. Według spisu powszechnego stanowili niemal połowę ludności Denison i w przytłaczającej części pochodzili z Meksyku. Nie był to przypadek. W połowie lat osiemdziesiątych w Denison niemal nie było latynoskich mieszkańców. Zakłady mięsne należały do związków i płaciły ponad dziesięć dolarów za godzinę, plus benefity. W całym kraju Amerykanie zarabiali w zakładach mięsnych na życie, kupowali domy, wychowywali dzieci, wysyłali je na studia i przechodzili na emeryturę.

Amerykanie pracowali. A firmy zarabiały pieniądze. Jednak konkurencja w branży, dążenie do maksymalizacji zysków i strajki związkowe w Denison oraz w całych Stanach Zjednoczonych doprowadziły do gwałtownych cięć płac i świadczeń. A potem przyszli Latynosi.

Pracowałem w rzeźniach na Alasce i w Karolinie Północnej. Jest to praca wyczerpująca, niskopłatna i w większości obsadzona przez Meksykanów. Jak wynika ze statystyk rządowych i branżowych, przy uwzględnieniu inflacji średnia płaca godzinowa w krajowych zakładach mięsnych spadła

w ostatnich trzydziestu latach o pięćdziesiąt procent. Jednocześnie cena detaliczna mięsa – też uwzględniając inflację – poszybowała. Na przykład cena pół kilograma boczku wzrosła o sześćdziesiąt procent w ciągu tych samych trzydziestu lat.

Spadające płace, rosnące ceny. Gdzie więc się podziały te wszystkie pieniądze? Nie było ich w pralni Los Primos na rogu Main Street w Denison ani w sąsiedniej firmie kamieniarskiej Carlyle Memorials. Czyżbyśmy się stali narodem Ludwików XIV, który nie chce sobie przygotować własnej

kiełbasy na śniadanie? A może siła robocza z Trzeciego Świata oraz goniąca za zyskiem niewidzialna ręka Wall Street i jej marionetki w Kongresie sprawiły, że nie stać nas już na amerykański styl życia?

Jedno było pewne: w Iowa człowiek z Trzeciego Świata żył i pracował jak *burro*, wysyłał dolary do domu, gdzie wymieniał je na tabor taksówek, sklepik albo dyskotekę, i przygotowywał się, żeby przejść na emeryturę jako człowiek z Drugiego Świata. Niewidzialna ręka stworzyła więcej Meksykanów klasy średniej niż Meksyk. Jednocześnie Meksykanie stali się największą grupą urodzonych za granicą pracowników w historii Stanów Zjednoczonych.

Z drugiej strony urodzony w Iowa człowiek z Pierwszego Świata tracił

grunt pod nogami i musiał się martwić o swój dom i swoją emeryturę, bo jedynym towarem eksportowym z jego miasteczka były jego dzieci, wysyłane do wielkiego miasta. Przechodząc na emeryturę, stawał się człowiekiem z Drugiego Świata. Taka arytmetyka może podobać się dyrektorom generalnym i ich think tankom, ale w oczach ludzi z Pierwszego Świata jest zdecydowanie nie do przyjęcia.

Na szczycie rolniczym media szykowały się do kolejnych konfabulacji, a najwięksi producenci mięsa w kraju, w tym Tyson, ogłaszali rekordowe dochody. Gdzieś w tych bilansach przemykało wyjaśnienie kurczącego się bogactwa i słabnącej siły nabywczej amerykańskiej wsi.

W Iowa na jednego człowieka przypada sześć świń. A większość ludzi stanowią biali chrześcijanie przywiązani do rolnictwa w takiej czy innej formie. Jeśli jednak wyjdziemy poza stereotypy, można tu dostrzec żyłkę libertarianizmu, podejście „żyj i daj żyć innym”. Iowa dwukrotnie głosowała na Baracka Obamę w wyborach prezydenckich. Jako trzeci stan Unii zalegalizowała małżeństwa jednopłciowe. Jednak mimo etosu pracy mieszkańców Iowa była głównym beneficjentem rządowych świadczeń

społecznych dla rolników. Co roku Waszyngton wpompowywał tu dziesiątki miliardów dolarów bezzwrotnych dopłat na wsparcie rolnictwa, z czego większość trafiła *nie* do mamuśki i tatuśka z domku na prerii, ale do

najbogatszych oligarchów rolnych. Na przykład gospodarz szczytu Bruce Rastetter tak bardzo wzbogacił się na federalnych dopłatach do etanolu, że bez

trudu

ściągnął

większość

republikańskich

pretendentów

do

prezydenckiego wyścigu na zamarzniętą ziemię Iowy, żeby mogli osobiście ucałować jego buty. Był też baronem wieprzowym i nikt nie wiedział, ilu nielegalnych imigrantów pracuje na jego przemysłowych farmach.

Na szczycie roiło się od lokalsów w dresach, kombinezonach na szelkach i koszulach w kratę. Od kandydatów oddzielały ich kordony i drewniane barykady. Protestujących, wśród których byli Człowiek Kurczak, Chłopiec Krowa, Hormonka Wzrostu i inni, trzymano na zewnątrz pawilonu, po drugiej stronie ulicy. Również dziennikarzom nie wolno było się zbliżać –

stali za ogrodzeniem i patrzyli, jak jeden po drugim kandydaci wchodzą na scenę po gumowym dywanie. Przedstawiciele prasy mogli co najwyżej grzecznie obserwować oficjalną „rozmowę” Rastettera z chętnymi do zamieszkania w Białym Domu na wielkim telebimie, po czym, jeśli kandydat był wystarczająco zdesperowany lub nudny, to szedł do „sali konferencyjnej”, żeby porozmawiać z mediami. Dodajmy, że za „salę” robił

namiot weselny, ustawiony tuż obok toalet i pełen Latynosów.

Es una vida maravillosa, mi amigo! To cudowne życie, przyjacielu!

Si, si! Muy cierto, mi amigo. Tak, tak! Na pewno, przyjacielu.

Był też stary Lindsey Graham, starszy senator z Karoliny Południowej.

Stał przy stole z kanapkami z szynką i czekał, aż ktoś zwróci na niego uwagę.

Stary, dobry Lindsey. Prawdziwy jednoprocentowiec – mam tu na myśli jeden procent w sondażach, a nie zasobność portfela. Stary, dobry senator Graham z każdą minutą czerstwiał coraz bardziej, a wraz z nim czerstwiały razowe muffiny.

Hej, jest i Mike Huckabee, były gubernator Arkansas. Huck został

mistrzem dnia ciętej riposty, kiedy Wieprzowy Baron Bruce zapytał go o pracowników rolnych na czarno, więc przyciągnął teraz niezły tłum.

– Pytanie brzmi – oznajmił Huckabee słuchaczom – co takiego robimy, żeby powstrzymać falę ludzi, którzy tu ściągają, bo słyszeli, że tuż za granicą czeka na nich miska jedzenia?

Dostał wielkie brawa, jak gdyby dostarczył kawał soczystego mięcha,

choć w zasadzie była to czysta hipokryzja. Firma Tyson Foods ma siedzibę w Arkansas. John Tyson wpłacał ogromne sumy na rzecz kampanii Huckabeego. Tyson i Huck znają się jak łyse konie. Huckabee ustanowił

stypendia na uczelniach w Arkansas dla dzieci nieudokumentowanych imigrantów. Ten facet to jedna wielka chodząca sprzeczność. Przecisnąłem się do niego.

– A w Denison pan był? Jak wyrzucimy wszystkich nielegalnych, to kto nam będzie rżnął wieprze na boczek?

Huck lawirował, najpierw mówił o zabezpieczeniu granicy, potem zatroskał się o kolejnych nielegalnych imigrantów, co nie miało nic wspólnego z obecnym losem robotników i kurczącymi się wynagrodzeniami.

Doskonała reakcja polityczna. Zrzucić winę na Waszyngton. Odesłać problem do Waszyngtonu. Poczekać trzydzieści lat, aż nic się nie wydarzy w

Waszyngtonie. Kopiuj, wklej. W tle skwaszona przydupasica Huckabeego skinęła na ochroniarzy, żeby mnie stamtąd wyrzucili. Wyglądała jak łosoś podczas tarła, gdy jej usta bezgłośnie wypowiadały: „Zabrać go stąd”.

Żaden problem, droga pani, mam, czego potrzebowałem, czyli kupę gazu, nic, totalną pustkę. Sam wyjdę. Wydostaliśmy się z Bobem z napierającego młyna, a na nasze miejsce wcisnęła się kolejna kamera.

W branży mówimy na takie scenki „zła telewizja”. Brak dostępu. Puste frazesy. Niebieskie garnitury. To się nie nadawało dla naszej widowni lokalnych wiadomości w całym kraju. Jeśli ktoś ma ochotę posłuchać politycznego pitolenia bez treści, to włącza wieczorne wydanie informacji na kablówce albo ogólnodostępnej stacji.

Musieliśmy coś zrobić, i to szybko. Znajomy z magazynu politycznego zwrócił nam uwagę, że kandydaci wchodzą tu bocznymi drzwiami z tak zwanej bezpiecznej strefy, gdzie policja i tajne służby pilnują, żeby im się nic nie stało i żeby Człowiek Kurczak się do nich nie zbliżał. W bezpiecznej strefie były też zaparkowane wozy satelitarne, które nadawały to strupieszałe wydarzenie na żywo. Byłem pewien, że nikt na świecie tego nie ogląda.

Podeszliśmy z Bobem pod wejście do bezpiecznej strefy i powiedziałem strażnikowi, że muszę rozmawiać z inżynierem w wozie satelitarnym.

– Dokumenty, poproszę.

M E D I A – P R A S A – O F I C J A L N A L E G I T Y M A C J A R E P O RT E R S K A .

Wpuścił nas do środka.

Żeby nie być gołosłownym, zapukałem do drzwi wozu, przedstawiłem się

skonsternowanemu inżynierowi, uścisnąłem mu dłoń i zapytałem, jak miewają się jego dzieci. Dobrze. Dobrze. Bardzo dobrze, miło cię było poznać. Potem stanęliśmy sobie z boku i czekaliśmy na przybycie ich wielmożności.

Przodem sadził sam Jeb! Mówcie mu Jeb, proszę. Otoczyłem Jeba ramieniem, a on objął mnie w pasie. Proszę, Jeb to teraz mój najlepszy kumpel. Będziesz się ścigał, Jeb? Mama się pyta.

– Poważnie?

– No… tak poważnie to nie. Ma cię za załganego dupka z establishmentu.

I nie wierz swoim ziomkom z zadymionego zaplecza, Jeb. Nie masz szans.

Amnestia dla nielegalnych? Odważne. Humanitarne. Ale to nie przejdzie, Jeb. Poza tym ty też bierzesz duże pieniądze od Tysona. Nie ma sprawy.

Hillary też bierze. Miłego lotu do domu, Jeb. I pozdrów brata.

A tak w ogóle, to gdzie jest Hillary? O, gubernator Rick Perry, może pan wie? Ją też zaprosił Wieprzowy Baron Bruce. Myśli pan, że akurat dzisiaj wrzuca mejle do niszczarki? Nic pan nie powie? Musi pan już lecieć?

Powodzenia z tym oskarżeniem, panie gubernatorze.

Gubernator George Pataki. Zajebisty koleś. O tak, ukochaj mnie na misia.

Nowy Jork na pokładzie. Możliwe, że już kiedyś na pana głosowałem. Nie jestem pewien. W każdym razie mówi pan, żeby zostawić kwestię małżeństw jednopłciowych w gestii władz stanowych. Ale czy nie jest tak, że żonaty facet i tak traci jaja, więc to tak jakby wszystko ta sama płeć? Może akurat u pana nie? Ha! Ha, ha! Dobre, naprawdę dobre, panie gubernatorze.

O w mordę, panie gubernatorze, patrz pan, Ted idzie. Na pana miejscu bym stąd wiał. Życzy panu powodzenia. Połamania nóg, mówi? Nie ufaj mu pan. On chce, żeby pan złamał nogę, bo będzie się pan musiał zapisać do Obamacare. Weź pan sobie tylko wyobraź te nagłówki: „Kampania Patakiego załamana”. Nie, jego to lepiej unikać.

O, senator Ted, oczywiście, że może pan dodać słówko komentarza do tych ostatnich dziesięciu minut gadania o niczym. Yhm. Aha. Tak. Tak.

Rozumiem… Ej, Ted, oddawaj mikrofon.

Oto Scott Walker. Faworyt. Pogromca związków. Gubernator Walker.

Panie gubernatorze! Chwilunia. Czy mógłby pan wyjaśnić swoje stanowisko w kwestii ewolucji? Czy darwinizm to lewicowy spisek? Bez komentarza.

A pański odwrót w sprawie dopłat do etanolu. Jest pan teraz za czy przeciw?

Widzę, że jeździ pan na tablicach z Wisconsin. Czy używa pan służbowego

pojazdu, własności stanu Wisconsin do rozmowy kwalifikacyjnej o nową pracę? Jeśli tak, to jak się to ma do odpowiedzialności finansowej… Panie gubernatorze?

Walker wyślizgnął mi się bez słowa. Jak łasica. Dlatego już wtedy wiedziałem, że jego kampania jest skazana na porażkę.

Jak na dłoni było widać, że republikanom czegoś brakuje. Nie byli gotowi na najlepszy czas antenowy. Chyba że to był ich najlepszy czas. Gdyby tak było, to mielibyśmy jeszcze bardziej przesrane, niż myślałem. Kiedy gdaczący facet w kostiumie kurczaka brzmi rozumniej niż tuzin wyborczych faworytów, to wiesz, że coś tu jest nie tak. Republikanie potrzebowali kogoś z pierdolnięciem, kogoś, kto miałby choć trochę ikry. Ogólnie cała zbieranina przypominała podły ochłap mięsa – miękkie parówy, rachityczny salceson, tępy baleron. Sami sobie wybierzcie dowolną metaforę.

Tu było trzeba porządnego, pełnokrwistego mięcha, przydałby się – i lada moment miał się zjawić – sir Szponder z Polędwicy, zawinięty w boczek i zanurzony w Marli Maples.

Całe miasta się rozpadały, tymczasem polityczni przywódcy brykali sobie beztrosko w brylantynie i męskich gorsetach, opychali się żarciem z grilla i przymilali do niezdecydowanych stanów jak Iowa. Ludność amerykańskich miast mogła równie dobrze mieszkać na innym kontynencie, biorąc pod uwagę, ile uwagi poświęcali jej wszyscy kandydaci.

Jednak media wciąż donosiły o brutalności policji wobec nieuzbrojonych młodych czarnych mężczyzn. Zacząłem się nad tym zastanawiać: czy był to przewidywalny moment w brutalnym i absurdalnym cyklu, który powtarza się w Ameryce co pół wieku? A może raczej przesadna frustracja, podsycana przez obrzydliwe dziesięciosekundowe nagrania wideo, powtarzane w kółko w wiadomościach na kablówce?

Jedno było pewne: lato 2015 roku szykowało się długie i gwałtowne, ale nie miało przypominać gorącego, krwawego lata 1968 roku.

Wówczas ponad sto miast zapłonęło, gdy Martin Luther King Junior został zabity przez Jamesa Earla Raya, białego suprematystę. Do najcięższych zamieszek doszło w Baltimore i Chicago.

Rosła liczba zabójstw, ale tak samo było w 1968 roku. Chicago ustanowiło wówczas rekord – po raz pierwszy zginęło ponad sześćset osób.

Na froncie politycznym senator Robert F. Kennedy został zamordowany przez

arabskiego

nacjonalistę

Sirhana

Sirhana

po

zwycięstwie

w prawyborach Partii Demokratycznej w Kalifornii.

Krajowy kongres demokratów odbył się w Chicago i zakończył

zamieszkami między policją a protestującymi przeciwko wojnie. George Wallace, gubernator Alabamy i zwolennik segregacji, zdobył w wyborach czterdzieści sześć głosów. Ostatecznie jego stan wybrał Richarda Milhousa

Nixona, a sami wiecie, jak to się skończyło.

W tym samym czasie członkowie Partii Czarnych Panter oskarżeni o szereg zabójstw kalifornijskich policjantów oczekiwali na proces.

Weathermen, domorosła lewicowa grupa terrorystyczna, która wkrótce miała przeprowadzić serię zamachów w kraju, zwołała swoje pierwsze spotkanie w Ann Arbor w stanie Michigan. W kampusach uczelni wyższych w całym

kraju wybuchły studenckie protesty. Na Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku doszło do zamieszek.

Zagrożenie ze strony ISIS? Dajcie spokój. Dla amerykańskich żołnierzy najkrwawszy tydzień wojny wietnamskiej przypadł w lutym 1968 roku, kiedy Wietkong rozpoczął ofensywę Tet.

Weźmy teraz pod uwagę, że pięćdziesiąt lat wcześniej, latem 1919 roku, grubo ponad trzydzieści miast spłonęło w czasie wielkich zamieszek na tle rasowym, które ogarnęły cały kraj. Wtedy doszło do nich również i w Baltimore oraz – na najbardziej spektakularną skalę – w Chicago.

Podczas „czerwonego lata" w Chicago w ciągu tygodnia zginęło trzydzieści osiem osób – dwadzieścia trzy czarne i piętnaście białych – a tysiąc rodzin straciło domy w pożarach wywołanych zarówno przez czarny, jak i biały motłoch. Ludzi wyciągano z tramwajów i na miejscu rozstrzeliwano. Aby powstrzymać przemoc w Wietrznym Mieście, konieczne było wezwanie stanowych sił porządkowych.

Po tych wydarzeniach miasto utworzyło zintegrowaną komisję do spraw relacji rasowych, której zadaniem było zbadanie przyczyn zamieszek. Raport z jej ustaleniami, The Negro in Chicago. A Study of Race Relations and a Race Riot [*Murzyni w Chicago. Studium relacji rasowych i zamieszek na tle rasowym*] *, został opublikowany w 1922 roku, ale równie dobrze mógłby ukazać się dziś.*

„Tradycyjny ostracyzm, wyzysk i drobne codzienne zniewagi, na które są nieustannie narażeni, bez wątpienia ukształtowały nawet w normalnie

nastawionych Murzynach patologiczną postawę wobec społeczeństwa” –

czytamy w raporcie.

„Można się spodziewać, że chęć zemsty społecznej może wynikać z drwiącego i obraźliwego sposobu, w jaki Murzyni są często traktowani przez funkcjonariuszy prawa”.

Nie ulegało wątpliwości, że w amerykańskich miastach wrze. Ludzie byli wściekli, a urazę potęgowały media społecznościowe, dzięki którym w ciągu kilku minut można było zmobilizować tłum. Ludzie byli teraz uzbrojeni po zęby, zaopatrzywszy się legalnie w taką broń, jakiej używało też wojsko.

Niemal co miesiąc dochodziło do masowej strzelaniny, w której jakiś napastnik zabijał gromady niewinnych osób. Tyle tytułem różnic.

Ale gdzie my, jako społeczeństwo, tak naprawdę się znaleźliśmy? U kresu epoki? A może tuż pod poziomem morza?

Jedno było pewne. Odpowiedzi na te pytania próżno było szukać w telewizji. Byliśmy za bardzo zaprzątnięci kłapaniem zwieraczami w całodobowej, chóralnej wersji przeboju Niebo się wali .

Srebrny pocisk

Baltimore

Wiosna

Freddie Gray Junior miał przy sobie nóż sprężynowy. Taki powód zatrzymania podali policjanci z Baltimore. Potem zabrali go na przejażdżkę.

Kiedy dobiegła końca, Freddie, chudy czarny facet z niedowagą, był

w śpiączce.

Tydzień później Freddie zmarł w wyniku urazu rdzenia kręgowego, którego jakimś sposobem doznał podczas przejażdżki. W czarnej dzielnicy,

stanowiącej dwie trzecie miasta, wybuchły zamieszki. Grupa agresywnych prowodyrów zaatakowała kibiców jadących na mecz drużyny Baltimore Orioles, a kibice musieli spędzić cały wieczór schowani na stadionie. Policja pobiła fotoreportera. Odłamki szkła. Chmury dymu. Policjanci, którzy nie chcieli powtórki z Ferguson, wycofali się. Stephanie Rawlings-Blake, burmistrzyni Baltimore, powiedziała później, że większość protestujących była pokojowo nastawiona, „chociaż tym, którzy przyszli tu niszczyć, również daliśmy taką możliwość”.

Że jak?

Gdzie byli przywódcy?

Po pogrzebie Freddiego Baltimore zapłonęło na dobre: ponad sto czterdzieści spalonych samochodów i pół setki budynków, niemal trzysta splądrowanych aptek i około dwustu pięćdziesięciu aresztowań. Tłum obrzucił ekipę telewizji butelkami. Przez wiele dni ulice wyglądały jak tlące się cmentarzysko frustracji i rozbitego szkła.

Wystarczyło stanąć jakiś kilometr od epicentrum wydarzeń, żeby zrozumieć przyczyny. Ciągnące się rzędami domy były zabite deskami i pozapadane. Szkoły były niedofinansowane i przepełnione, nie spełniały norm i powoli się rozsypywały, chociaż mieszkańcy zagłosowali za legalizacją gier hazardowych w kasynach, z których dochód miał pójść na

dofinansowanie edukacji. Poprzedni burmistrz został skazany za kradzież kart podarunkowych przeznaczonych dla najuboższych. Tylko gdzieniegdzie coś się zieleniło, ale w takich miejscach było pełno butelek, skrawków papieru oraz spoglądających spode łba dorosłych. Po Greenmount Avenue przechadzali się bez celu młodzi czarni faceci, najwyraźniej pozbawieni jakiegokolwiek zajęcia. Bezrobocie w ich grupie demograficznej wynosiło mniej więcej czterdzieści procent.

Bieda zwiększa ryzyko rozruchów w miastach w takim samym stopniu jak korupcja wśród gliniarzy. Przynajmniej tak powiedział mi młody czarnoskóry diler na rogu ulicy w Baltimore, potwierdzając tym samym, że kwestie rasy i klasy są ze sobą ściśle powiązane – dowody obserwowałem w całym kraju.

– Osiedle przyczep pewnie też to czuje – oświadczył w odpowiedzi na moje pytanie. – Ale pierwsze czuje to getto.

Wtedy właśnie usłyszeliśmy policjanta.

– Było mówione, że macie wypierdalać!

Szli we trzech. Biali faceci w mundurach i kamizelkach z kewlaru, ale bez czapek. Ich agresja była zdumiewająca, biorąc pod uwagę, że całe miasto przypominało beczkę prochu, czarni kontra niebiescy. Jednak diler potulnie skulił ramiona. Tutejsza policja znana była od dawna ze skłonności do przekraczania uprawnień. Według danych „Baltimore Sun" w ciągu ostatnich czterech lat miasto wypłaciło 5,7 miliona dolarów tytułem zadośćuczynienia ofiarom policyjnej brutalności. Diler o tym dobrze wiedział. Obserwując jego reakcję, można było nawet założyć, że sam też kiedyś zażył przejażdżki w radiowozie.

Policjant wyraźnie dał nam do zrozumienia, że ma na myśli nie tylko czarnych, ale i mnie, i mojego kamerzystę. Z jego punktu widzenia rasowa arytmetyka była tutaj prosta:

biały facet + czarny facet = dilowanie

Wskazałem na kamerę. Pokazałem funkcjonariuszom legitymację prasową.

Z lekko ściśniętym dupskiem wypaliłem nonszalancko papierosa i przywołałem pierwszą poprawkę, po czym posłusznie stamtąd wypierdoliłem. Zwyczajnie bałem się gościa. Jego masywne, spocone ciało, cała ta intensywność, wszystko to mocno mną wstrząsnęło. To była *jego* ulica.

Kiedy Baltimore płonęło, Rand Paul, senator z Kentucky, siedział

w srebrnym pociągu ekspresowym i jechał z Wall Street do Waszyngtonu.

Kilka tygodni wcześniej ogłosił, że zamierza się ubiegać o republikańską

nominację w wyborach prezydenckich. Twierdził przy tym, że jest jedynym białym człowiekiem, który rozumie czarne getto i potrafi rozwiązać jego problemy. Przedstawił też autorską społeczną diagnozę zarazy, która toczyła czarne Baltimore: brak ojców.

Podczas audycji konserwatywnej stacji radiowej nadawanej dzień po zamieszkach nasz wrażliwy senator wyznał: „Wczoraj w nocy przyjechałem pociągiem przez Baltimore. Cieszę się, że pociąg się nie tam zatrzymuje".

Sam nie wiem, co bardziej mnie w nim wkurzało: obłudne brednie o „czarnych ojcach", to, że koleś, który chciał, żebyśmy wybrali go na przywódcę, był szczęśliwy, bo udało mu się ominąć amerykańskie miasto desperacko potrzebujące ojcowskiej opieki, czy może fakt, że nie miał

pojęcia, że jego pociąg *zatrzymał się* w Baltimore.

Paul nie tylko nie wysiadł z pociągu, ale też najwyraźniej nawet nie wyjrzał przez okno i nie zauważył, kiedy wagony wjechały na stację Baltimore Penn. I tu właśnie był pies pogrzebany.

Pociąg, którym jechał beztroski senator, regularnie kursuje pomiędzy bliźniaczymi wieżami władzy: Wall Street i Waszyngtonem. Po drodze na krótko przystaje w rozpadających się miastach „pasa gettowego" – Newark w stanie New Jersey, Filadelfii, Wilmington w stanie Delaware. I owszem, w Baltimore. Ale ludzie u władzy nigdy nie mówią o tych miejscach ani ich nie odwiedzają.

Pamiętajmy, że na Manhattanie mieszczą się trzy z pięciu najzamożniejszych rejonów w Ameryce. Również Dystrykt Kolumbii otacza pół tuzina najbogatszych hrabstw w USA. Między nimi znajdują się cztery najbiedniejsze, najbardziej narażone na przemoc ośrodki miejskie w kraju.

Jest to odcinek wykolejony – także dosłownie. Zaledwie kilka tygodni po podróży Paula ten sam pociąg wypadł z torów w Filadelfii, zabijając osiem osób i raniąc dwieście. Badania wykazały, że do wypadku doszło, bo na szynach nie zainstalowano systemu bezpieczeństwa automatycznie zmniejszającego szybkość pociągu – po części dlatego, że Kongres zajmował

się pierdołami i opóźniał decyzję w tej sprawie.

Jeśli kogoś interesują kierunek i siła wiatrów w Ameryce, to powinien się przyjrzeć wiatrowskazom w tych miejskich ośrodkach. Nie tak dawno

amerykańska potęga opierała się na sile przemysłowej tych miast, największych w swoich stanach: transport, przemysł stalowy, przemysł

chemiczny, przemysł samochodowy. Waszyngton robił za biurokratyczny kantorek. Na Wall Street po cichu inwestowano nasze oszczędności. To właśnie miasta znajdujące się pomiędzy nimi generowały bogactwo narodu.

Kupiłem więc bilet na pociąg i wysiadałem kolejno na każdym przystanku, żeby zobaczyć, jak wygląda Ameryka nowego stulecia.

Latynoski mechanik w Newark powiedział mi, że problemy wykraczają poza kwestie rasy – że każdy w pozycji siły staje się w gruncie rzeczy białym facetem, bez względu na to, czy jest to czarny gliniarz, latynoski dyrektor czy prezydentka Stanów Zjednoczonych. Później właściciel bodegi stwierdził, że chciałby, by w jego niebezpiecznej dzielnicy było więcej policjantów. Więcej policji, mniej policji. Zastanawiałem się, jak to naprawdę jest. Tak źle, i tak niedobrze.

Biały kierowca tira z Filadelfii powiedział, że w następnej kolejności wybuchnie biała klasa średnia, ludzie, którzy – jego zdaniem – płacą za wszystko, nic w zamian nie otrzymując z wyjątkiem miejsca na tyłach kolejki. Filadelfijski okręg szkolny nie miał pieniędzy i wprowadzał ostre cięcia. Dzieci nie mogły zabierać książek do domu, a jednocześnie dziesiątki tysięcy podręczników pleśniały w magazynach – rozrzucone po podłodze, w podartych i pogniecionych pudłach. Zażenowane władze nie pozwalały ani nam, ani żadnej innej ekipie z kamerą tam zajrzeć. Ale i tak weszliśmy –

wpuścił nas niezadowolony urzędnik związkowy.

Pracujący na pół etatu hydraulik z Wilmington machnął ręką i powiedział, że podobnie jak wielu innych Amerykanów będzie musiał pracować do końca życia. Nie ma już tych dobrych miejsc pracy, co kiedyś, w Chryslerze i

DuPoncie.

Hydraulik stał na ulicy North Orange pod numerem 1209, przed zwyczajnym, jednopiętrowym budynkiem z groszkowozieloną markizą.

Z okien roztaczał się widok na szeregowe domki i garaże. Dom pod numerem 1209 to była inna sprawa. Budynek, obsługiwany przez CT Corporation, formalnie był siedzibą ponad ćwierć miliona firm, od banków z Wall Street po gigantów przemysłowych, takich jak General Electric i Boeing, firm, którym często udawało się wybronić od płacenia federalnych podatków dochodowych. Stan Delaware to raj podatkowy, podobnie jak Kajmany, a obowiązujące tu przepisy są tak skonstruowane, by międzynarodowym

firmom pomóc uniknąć wyrzucania w błoto pieniędzy na takie bzdury, jak szkoły czy drogi. Nawet LLC, znane z powiązań z Hillary Clinton i Donaldem Trumpem, miało tu swoją skrzynkę pocztową.

Pożegnałem się z dilerem z Baltimore i czekałem na dworcu Penn Station na następny pociąg, rozmyślając o wielkich rasowych murach berlińskich Ameryki: Delmare Boulevard w St. Louis, Ósmej Mili w Detroit i Greenmount Avenue w Baltimore. Siedzę tak i myślę, nagle patrzę, a tu idzie James Baker III, były sekretarz stanu, sam, samiuteńki, bez ochrony.

Jedyny polityk, jakiego widziałem w całym mieście, bez zapowiedzi i nieprzygotowany do występu przed kamerą. Podszedłem do niego i się przedstawiłem, a on wydawał się zaskoczony, że ktoś go rozpoznał.

Największy dyplomata dwudziestowiecznej Ameryki, powiedziałem mu. Jak miałbym go nie rozpoznać? Irak. Rosja. Palestyna. Zapytałem go o opinię na temat Baltimore. Odpowiedział tak samo prosto jak diler.

– Czarne społeczności straciły ogromne sumy. Musimy jakoś zorganizować pieniądze i pracę dla tych ludzi, bo inaczej, obawiam się, prawdziwe pożary dopiero przed nami.

Dlaczego w lokalnych wiadomościach telewizyjnych jest tyle przemocy i tak mało innych tematów?

Bo morderstwo jest proste. Strzelaniny bywają ciekawe, a reporter telewizyjny potrafi błyskawicznie ukręcić z takiego newsa konkretną zapchajdziurę. Samonapędzająca się prostota zamętu sprawia, że jest to bardzo dochodowe przedsięwzięcie telewizyjne.

Weźmy przykład z życia – dwóch ćwokowatych policjantów o ksywkach Misio i Pysio. Jest ciepły letni wieczór. Na dworze bawią się dzieci. Pieniste napoje leją się strumieniem. Misio z ekipą siedzi po jednej stronie ulicy przed opuszczoną szkołą. Pysio imprezuje z chłopakami na ganku po przeciwnej stronie.

Pomiędzy Misiem a Pysiem wybucha kłótnia o to, kto robi najlepszego kool-aida.

Żeby zrobić kool-aida, potrzebujesz cukru i wody. Niczego więcej, co najwyżej odrobinę soku z limonki. Ale to nie o to tu chodzi. Chodzi o to, że jeden facet wyraża się bez szacunku o umiejętnościach kulinarnych drugiego.

Pojawiają się pistolety, padają strzały, dwójka niewinnych świadków –

dzieci – trafia do szpitala.

Przyjechała telewizja. Sąsiedzi udzielają wywiadów.

– Ten świat schodzi na psy – oświadcza jeden.

– Całe życie miał przed sobą – mówi inny.

I tak dalej.

Jeśli reporter ma wyjątkowe szczęście, wyciśnie z kogoś parę łez.

Jest taśma policyjna i oficjalny raport. Cały opis ludzkiego dramatu da się wyrzeźbić w czterdzieści minut. Czasem nawet jeszcze szybciej, w zależności od zdolności reportera albo prośby z reżyserki o przebitkę na żywo. To zupełnie jak smażony chleb z serem. Można go przerzucać cały dzień.

My, reporterzy, rzadko zadajemy pytania o tę opuszczoną szkołę: dlaczego

ciągle tam stoi albo dlaczego dzieci się nie uczą. Albo dlaczego policji nie udało się aresztować ani Misia, ani Pysia, ani nawet ustalić ich prawdziwych nazwisk. Albo dlaczego broń można kupić równie łatwo co gumę do żucia.

Takie pytania tylko komplikują sprawy. Spowalniają cały proces. Przez nie kasa się nie zgadza.

Nikt się do tego nie przyzna w przemówieniu, odbierając nagrodę Emmy, ale my, reporterzy, wiemy, że nasza praca potrafi szkodzić i potęgować niepokój w podmiejskim światku. Umacnia stereotypy o brutalnym czarnym mieście, bo choć jest w nich trochę prawdy, to jednak doniesienia o skali przemocy są skrajnie przesadzone.

Oglądając telewizję, można pomyśleć, że całe miasto krwawi.

Czerwone Lato w Białym Mieście

Chicago

Wiosna

Problemem Chicago jest geografia.

To gigantyczne, rozległe, podzielone miasto, w którym nie wolno przekraczać granicy zakazanych ulic, alejek czy dróg szybkiego ruchu. Kto tak robi, igra z ogniem, a stawką jest życie.

Jednak ludzie ryzykują. Po kilkuletniej tendencji spadkowej morderstwa i strzelaniny wróciły do mody. Jak dotąd w Chicago dokonano ponad dwustu zabójstw, co oznacza piętnastoprocentowy wzrost, a lato jeszcze się nawet oficjalnie nie zaczęło. Dobrze, że tu, w Wietrznym Mieście, nikt nie umie dobrze strzelać, powiedział mi jeden policjant, bo było też ponad tysiąc przypadków strzelanin bez ofiar śmiertelnych. Zabieramy z ulicy jednego gnata, a na jego miejsce pojawiają się dwa kolejne.

Pewien kumaty statystyk wyliczył, że w ciągu ostatnich piętnastu lat w Chicago zamordowano więcej Amerykanów, niż zginęło łącznie w Iraku i

Afganistanie. Najgorzej było na południu i zachodzie – South Side i West Side, strona czarna i brązowa. Od czasu tego typa z liczydłem ludzie zaczęli mówić na te okolice Chirako.

Policja w Ameryce: bicie czarnych, profilowanie rasowe, rewizje, manipulowanie dowodami, zabijanie pod byle pretekstem. Odwieczne problemy nasiliły się przez innowacje technologiczne – telefony komórkowe, internetowe transmisje na żywo i media społecznościowe, bo obraz z dowolnego wydarzenia rozchodzi się teraz po świecie w kilka sekund, od razu z namiarami i trasą na mapie Google.

Istnieje też druga strona medalu: czarny mieszkaniec Stanów Zjednoczonych ma w ramach swojej populacji z sześciokrotnie większym prawdopodobieństwem padnie ofiarą morderstwa niż biały, a z ośmiokrotnie większym będzie jego sprawcą. Przemoc czarnych wobec czarnych skutkuje

nieustanną obecnością policji. Obecność policji powoduje to, o czym potem mówią media. W zasadzie nikt nigdy porządnie nie przeanalizował zjawiska przestępczości czarnych wobec czarnych, nie wspominając już o zasadzie, że

„im więcej krwi, tym lepiej", która obowiązuje w wiadomościach telewizji lokalnej.

Chicago też miało lada moment się wykoleić. Z centrum miasta ostro szedł dym. Działo się coś ważnego, coś połączonego siecią wzajemnych powiązań. Mieliśmy dosyć śmierci i zamieszek, ale wsiedliśmy w samochód i wyruszyliśmy w drogę z Detroit, miasta, w którym liczba zabójstw była ponaddwukrotnie większa niż w Chicago.

Za każdym razem, gdy podróżuję, omijam korytarze władzy, elitarne kluby i restauracje z wykrochmalonymi obrusami. Tam nie znajdziesz odpowiedzi na prawdziwe pytania. Ich trzeba szukać w zaułkach ulic. Zatem Jedidiah Brown, młody, energiczny, niemalże nadpobudliwy czarny facet, który pełnił potrójną funkcję pastora, pracownika socjalnego i kandydata do rady miasta, ustawił nam spotkanie na uliczce w South Side.

Brown uparł się jeździć do każdej strzelaniny w South Side, miał bowiem

nadzieję, że jego mediacja załagodzi sytuację. Od razu zauważyliśmy, że jego telefon był radioaktywny – prawdziwe archiwum kontaktów dla gliniarzy i rabusiów, księży i dilerów. Miał namiary na samego komendanta policji.

Jeździliśmy po okolicy i oglądaliśmy z bliska posępny krajobraz West Side, kiedy odebrał wiadomość. W South Side była właśnie strzelanina i policjanci wytłumaczyli mu, jak dotrzeć na miejsce. Moja reporterska dusza nie mogła nadziwić się łatwości, z jaką pozyskiwał informacje. Policja po prostu dawała mu znać o akcji, jak chińska restauracja, która dzwoni, gdy wołowina po syczuańsku jest gotowa do odbioru.

Nie bardzo umiem ocenić poziom ubóstwa, bo mój osąd został wypaczony przez lata reporterskiej pracy w Detroit. W porównaniu z Detroit „getta”

w takich miastach jak St. Louis, Chicago czy Los Angeles wyglądają stosunkowo ładnie. Dało się tu żyć. Żadnych walących się ganków.

W chicagowskim West Side ulice były wybrukowane i zamiecione. Domy zamieszkane. Trawniki skoszone, a sklepy dobrze zaopatrzone. Co więcej, byli tu piesi. Kobiety swobodnie spacerowały po okolicy z torbami na zakupy w rękach. Na trójkołowym rowerku jechało dziecko. Jak normalnie. Jak spokojnie. Urzekający miraż amerykańskiego życia klasy średniej.

Gdy skręciliśmy z bulwaru w lewo i wjechaliśmy w szeroką boczną ulicę,

rozpostarł się przed nami widok śladów po miejscu zbrodni. Żółta taśma ostrzegawcza, radiowozy, starszy mężczyzna w oknie. Ktoś został

zastrzelony w przedsionku kamienicy. To właśnie była nasza chińska restauracja. Dzięki swojemu telefonowi Brown wszedł za taśmę policyjną, porozmawiał z detektywami, wyszedł poza oddzielony obszar i ruszył prosto w stronę dilujących chłopaczków na rogu. Pomyślałem, że byłby z niego świetny reporter.

– Nikt nic nie widział – powiedział jeden nastolatek.

– Tak to tutaj jest – dodał inny.

Nie chcieli odpowiadać na pytania, nie byli też zainteresowani jego nieproszoną ofertą mediacji, więc Brown wkurzył się, wsiadł z powrotem za kierownicę swojego sedana i zawiózł nas do nękanej problemami dzielnicy Woodlawn, gdzie mieliśmy się spotkać z jedną taką ekipą. Zjechał na wiodącą na południe drogę ekspresową imienia Dana Ryana. Amatorzy strzelanki dla zabawy urządzali sobie ostatnio prawdziwe zawody i jak dotąd w ciągu dwudziestu dwóch dni doliczono się dziewięciu przypadkowych postrzeleń na miejskich autostradach, z czego do niektórych doszło w godzinach szczytu.

Jechaliśmy dalej. Społeczność dzielnicy Woodlawn, niegdyś znanej jako Białe Miasto oraz „miasto miliona elektrycznych świateł” – od wspaniałego parku rozrywki z gipsowymi makietami zabytków Paryża – społeczność była pogrążona w ciemności i przemocy, tak jak mieszkańcy wielu innych dzielnic, które tworzą South Side.

– Dość mam już tej szarpaniny – powiedział Brown, kiedy zatrzymaliśmy się na ulicy, gdzie faktycznie wszystko było zabite deskami i gdzie zainstalowano gigantyczne gumowe progi, zaprojektowane tak, żeby spowolnić samochody dilerów i wielbicieli strzelanin.

– Ale – kontynuował – tu się trzeba szarpać na tyle frontów naraz.

Politycy, kościoły, sama ulica. Czasami naprawdę trudno się skupić na tym, co najważniejsze. Doskwiera nam brak przywódców. Szczerze mówiąc, wszyscy mają to gdzieś, chyba że powiedzą o tym w wiadomościach.

Podjechaliśmy do grupy gości w pobliżu placu zabaw. To nie były uliczne szczawiki, ale wyższy stopień zaszeregowania. Porucznicy, nie kaprale. Mieli na głowach kaptury i czapki z daszkiem i podobnie jak Brown emanowali spokojną, zimną desperacją.

– Jedno wam trzeba przyznać – powiedział jeden z mężczyzn na widok

wystających z szortów bladych łydek Boba. – Musicie mieć jaja ze stali, skoro żeście tu przyjechali.

– Dlaczego czarni mężczyźni wybijają się nawzajem? – zapytałem typa w ciemnym kapturze i dresowych spodniach. Był przystojny, miał kozią bródkę i wyglądał na zmęczonego. Ani stary, ani młody. Posępny, o intensywnym spojrzeniu. Nie przedstawił się. W myślach zacząłem go nazywać Kolesiem.

– Dusimy się tutaj – powiedział Koleś. – Jest nas za dużo. Rozejrzyj się dookoła. Widzisz tu jakieś sklepy? Widzisz, żeby było tu gdzie pracować?

Nawet dla jednej trzeciej nie starcza pracy… dla nikogo nie starcza. Stoimy przed opuszczonym budynkiem.

W rzeczy samej staliśmy przed pustym ceglanym budynkiem. Ale był

całkiem zadbany. Nie wyglądał, jakby zbieracze złomu obrali go z przewodów miedzianych czy cysterny bojlera, ani jakby ćpuny urządziły tu sobie strzykawkowo. Nie był obszczany sprejem. Po drugiej stronie ulicy znajdował się park. Bawiły się w nim dzieci. Trawnik przed sąsiednim domem był skoszony. No nie, tu było „ładnie”. Zupełnie inaczej niż w Detroit.

Koleś, który zadeklarował, że z zawodu zajmuje się pilnowaniem własnego interesu, okazał się człowiekiem dobrze poinformowanym.

Rozważymy następującą kwestię: w Chicago stopa bezrobocia wśród czarnych przekracza dwadzieścia pięć procent, w porównaniu z siedmioma procentami wśród białych i dwunastoma procentami wśród Latynosów.

W przypadku czarnych nastolatków liczba ta wzrasta do dziewięćdziesięciu dwu procent.

Inny typ, znacznie większy od Kolesia, powiedział, że człowiek i tak zrobi, co musi.

Czyli co? Nie musiałem pytać. Znałem odpowiedź, ale i tak zadałem pytanie.

Człowiek zrobi to, co jego zdaniem musi zrobić, żeby jeść. A jeśli będzie musiał zjeść drugiego człowieka albo jego dzieci, to *bon appétit*, kutasiarzu.

Stałem tam i myślałem o innym zawodniku, którego poznałem w Alabamie.

Tym z zamrażarką pełną mrożonej wiewiórczyny. Człowiek musi jeść. Tak samo Ciro, który w japonkach przedzierał się przez trzciny nad brzegiem Rio Grande. *¡Buen provecho, cabrón!*

Trzeci członek ekipy, facet z tatuażem na szyi ubrany w koszulkę

z Kapitanem Ameryką, wyjaśnił nam, na czym polega atrakcyjność walki ze swoimi. Czarni nie mogą walczyć z ratuszem. Nie mogą walczyć z policją.

Nie mogą walczyć z globalizacją. Ale mogą walczyć z cieniem po drugiej stronie ulicy. Mogą walczyć z nim o kontrolę nad niskimi budynkami, w których powybijano wszystkie okna. Mogą walczyć o prawo do miejscowego placu zabaw. Mogą walczyć o narkotykowy biznes i zarówno czarnych, jak i białych klientów. Podstawy arytmetyki: dopadnij go, zanim on dopadnie ciebie.

– Są tacy, co muszą umrzeć – powiedział Kapitan Ameryka.

Niektórzy mieli za sobą odsiadkę. Czarni stanowili dwie trzecie więźniów w więzieniu hrabstwa Cook w Chicago, a z tego, co mówił szeryf Tom Dart, skazywano ich za sprzedaż lub posiadanie narkotyków. W celach jechało jak w stajni. Cały pierdel był szary i zawilgocony, a do środka nie docierało naturalne światło. Było to największe więzienie w Stanach Zjednoczonych, do tego tak przepełnione, że od 1980 roku znajdowało się pod nadzorem federalnym. Jest to również największy szpital psychiatryczny w kraju; jeden na trzech więźniów cierpi na jakieś zaburzenia. Mężczyźni, których tam zamknięto razem z ich osobistymi demonami, robią z więzienia hrabstwa Cook bardzo niebezpieczne miejsce.

– Więzienia są dla agresywnych ludzi i mamy tu sporo takich –

powiedział Dart. – Ale co z tymi, którzy nie są agresywni, ale chorzy psychicznie? Nie powinno ich tu być. I szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego są.

Wyglądało na to, że agenda rządowa, z którą czarni mieszkańcy Chicago najczęściej mieli do czynienia, to wymiar sprawiedliwości w sprawach karnych. Policjantów patrolujących w radiowozach dzielnice South Side miejscowe nastolatki zwyczajowo pozdrawiały środkowym palcem.

Ostatnio w wydziale policji w Chicago pojawiły się dobrze udokumentowane doniesienia o nadużyciach: komendant, który wsadził

podejrzanemu lufę pistoletu do ust, funkcjonariusze, którzy wywozili nastolatków na terytorium gangu rywali i tak dalej. Oliwy do ognia dolał

również szef chicagowskiej policji Garry McCarthy, który wszystkiemu zaprzeczył. Zapytany o przemoc, strzelił focha.

– Jest znacznie mniej strzelanin niż w zeszłym roku – powiedział. – Nie wiem, czy jest pan tego świadomy.

Nie byłem tego świadomy, ponieważ według danych, które dostarczył

nam dowodzony przez McCarthy'ego wydział policji w Chicago, liczba strzelanin wzrosła o dwadzieścia procent. Pierdolenie takich kocopałów w samym środku fali zbrodni może człowieka kosztować stanowisko. Tak też się w końcu stało. Kilka miesięcy później McCarthy został zwolniony, a zabójstwa wymknęły się spod kontroli. Mimo usilnych prób zatuszowania sprawy przez miasto, wypłynęło również nagranie, na którym widać, jak funkcjonariusz policji szesnaście razy strzela do Laquana McDonalda, nieuzbrojonego nastolatka, a w końcu go zabija.

Rodzinie McDonalda odebrano prawa rodzicielskie, a on sam był pod opieką państwa. Wyleciał ze szkoły, ale niedawno ponownie zapisał się do liceum i próbował zacząć nowe życie. Tyle że szkoły w Chicago, od dawna borykające się z wieloma problemami i niedofinansowane, zwłaszcza w czarnych dzielnicach miasta, to nie miejsce, gdzie można zacząć nowe życie. Burmistrz Rahm Emanuel zamknął prawie pięćdziesiąt szkół

publicznych, z czego wiele w South Side. Budynki szkolne stały puste, jakby drwiły z uczniów, których przeniesiono do innych, już przepełnionych sal

lekcyjnych. W jednej podstawówce była klasa przedszkolna, w której uczyło się pięćdziesięcioro jeden dzieci, a inna liczyła czterdzieścioro ośmioro pierwszaków.

Jakby tego było mało, szefowa kuratorium niedawno ustąpiła ze stanowiska wskutek federalnego śledztwa w sprawie korupcji – ponoć przekierowała z pominięciem procedury przetargowej warte dwadzieścia milionów dolarów kontrakty do swojej własnej firmy. Ukradła własnym uczniom przyszłość.

Były jeszcze wyprowadzane z kasy Chicago „cukierki” dla osób politycznie ustosunkowanych. Sieć hoteli otrzymała pięćdziesiąt pięć milionów dolarów z podatku od nieruchomości w ramach dotacji do projektu wieżowca, który budowano w centrum miasta. Jeden z darczyńców wspierających

burmistrza

Emanuela

jest

właścicielem

funduszu

hedgingowego, do którego należy część tej hotelowej sieci.

Świat wielkich finansów nie był „jegokscelencji” obcy. Przeciwnie, doskonale się w nim odnajdywał. Pomiędzy fuchami w Białym Domu za Clintona i w amerykańskiej Izbie Reprezentantów Emanuel pracował jako bankier inwestycyjny. W ciągu zaledwie trzydziestu miesięcy miał zarobić osiemnaście milionów dolarów, mimo że nie dysponował absolutnie żadnym doświadczeniem w dziedzinie finansów. Nie było zatem wątpliwości, że

Rahm – który służył również jako szef sztabu Obamy, zanim wybrano go na burmistrza Chicago – zna się na pieniądzach, a przynajmniej wie, gdzie ich szukać.

Warto przy tym pamiętać, że pieniądze z podatku od nieruchomości idą na opłacenie szkół publicznych. Szkoły w South Side zamykały się więc jedna po drugiej, tak jak w Baltimore, Detroit i Filadelfii. Przedsiębiorcy i burmistrz twierdzili, że wieżowiec przyniesie miejsca pracy. Może. Ale mieszkańcy South Side widzieli to inaczej.

Ludzie burmistrza obiecali nam wywiad w hotelu, w którym akurat wygłaszał przemówienie. Jednak on postanowił na nas nie czekać i odjechał.

Jeden z jego ochroniarzy potknął się o krawężnik, próbując nas zatrzymać.

Powoli zaczynałem rozumieć. Śródmieście Chicago świetnie sobie radziło.

Pieniądze

publiczne

były

wpompowywane

w

prywatne

projekty

deweloperskie. Ale dla ludzi z South Side nie było pracy.

To nie było Chicago z 1919 roku. Miasto nie stało w ogniu. Segregacja na plażach została dawno zniesiona. Wędrujące bandy białych oprychów nie wyciągały ludzi z tramwajów i nie mordowały ich. Czarni nie strzelali do białych przejeżdżających samochodami przez ich dzielnice (nie licząc plagi strzelanin na autostradzie). Nikt nikomu nie podpalał domu. Wyobraźcie sobie tylko, jakby to dzisiaj wyglądało, spotęgowane przez przekaz telewizyjny i doniesienia w mediach społecznościowych.

Chicago się nie paliło, ale w dzielnicach zaczynało się dymić. Czarni

przybywali kiedyś tłumnie na Północ w poszukiwaniu pracy i lepszego życia, możliwego dzięki zatrudnieniu w fabryce. Ale dziś miejsc pracy w sektorze produkcyjnym było niewiele, a jeden z ostatnich pracodawców ledwo zipał.

Nabisco ogłosiło, że likwiduje połowę etatów w swoim największym zakładzie w Chicago i wyda miliony dolarów na modernizację fabryki w Meksyku. Dobre rozwiązanie dla biznesu. Złe dla dzielnicy. Niekończąca się równia pochyła.

Problemem była broń, którą masowo i nielegalnie przywożono tu z sąsiedniej Indiany. Problemem były sądy i prokuratorzy, którzy nie ścigali posiadaczy broni, ponieważ więzienia i tak były pełne. Ale jeśli chodzi o kwestie koloru, to największy problem jest z zielonym, jak powiedział

jeden z mężczyzn na rogu ulicy, powtarzając to, co mówili ludzie na rogach wszystkich ulic. Nikt nie ma zielonych. A wtedy zaczynamy walczyć między sobą jak szczury.

Trzeba więc bronić swojego rogu.

– Nie możecie się stąd po prostu wyrwać? – zapytałem Kolesia. Równie dobrze mogłem go zapytać, czy ma moc wskrzeszania umarłych.

– A niby jak? W jaki sposób? – syknął.

Zaczął padać gęsty deszcz. Nasi rozmówcy zaczęli się rozchodzić.

– Pamiętajcie o nas – powiedział jeden, naciągając kaptur. – Za chwilę któregoś z nas ubędzie.

Śmierć, synu. Tak to właśnie jest.

Facet był prorokiem.

Tydzień później jeden z członków ekipy, którego wołali Gruby, wylądował po złej stronie miasta. Najpierw dostał kulkę, a potem bilet na przejażdżkę w karetce pogotowia. Jego kumpel nie miał tyle szczęścia. On dostał bilet do

kostnicy.

Prezydenci Stanów Zjednoczonych raczej nie słyną z atrakcyjnego owłosienia: Dwight Eisenhower miał nie tyle czoło, ile morenę czołową. John Adams? Makabra przywodząca na myśl gotowane jajko. Lyndon B. Johnson i Richard M. Nixon nosili taki sam ulizany fryz, ku trwającej dziesięć lat rozpaczy amerykańskich specjalistów od męskiej mody. Najsłynniejsza w dziejach aranżacja wieńcząca prezydencki czerep należała bez wątpienia do Jerzego Waszyngtona, który paradował w przypudrowanej konstrukcji z podkręconymi końcówkami. Historycy dowiedli, że były to osobiste, prawdziwe włosy generała.

Wszystko to było upiornie paskudne, bez dwóch zdań. Ale skromna zaczeska – dowód nieszczerości i sygnał, że właściciel ma najwyraźniej coś do ukrycia – rzadko gościła w Białym Domu. Jeśli wierzyć wizerunkom z Narodowej Galerii Portretu, to jedynym prezydentem, który czesał się na pożyczkę, był William Henry Harrison. Koafiura, na którą składały się przemieszczone znad potylicy i przylizane pióra, tylko podkreślała i tak już spory i niezbyt atrakcyjny nos, a przy tym nie sprawdziła się jako izolacja termiczna. Dziewiąty prezydent Stanów Zjednoczonych uznał, że woli wygłosić przemówienie inauguracyjne w styczniu 1841 roku bez płaszcza, po czym zachorował na zapalenie płuc, a miesiąc później umarł. Jak na ironię, za życia nie brakowało mu ponoć tupetu.

A teraz to…

Don à l’Orange

Detroit

Lato

Po powrocie z zaułków Chicago siedzieliśmy w biurze i przeglądaliśmy nagrania, rzucając piłką golfową do styropianowego kubka, który przykleiliśmy do szafki na papiery. W tle grał telewizor. Na ekranie była czarna plama – ślad po wyjątkowo niecelnym rzucie. Donald Trump zorganizował konferencję prasową. Ogłaszał swoją kandydaturę na

prezydenta. Elektroniczny siniak wyglądał tak, jakby ktoś przyfasolił

Trumpowi w czoło żelazną patelnią.

– Ile jeszcze razy będzie tak leciał w kulki? – powiedziałem do Boba, szykując się do rzutu.

Trump, wieczny showman, leciał w kulki na początku każdej kampanii prezydenckiej. Zaczął jeszcze w 1988 roku, a jednocześnie wciskał

wszystkim swoją książkę, *The Art of the Deal, czyli sztuka robienia interesów*. Wtedy ostatecznie nie wziął udziału w wyścigu, ale reklama sprawiła, że tytuł trafił na szczyt listy bestsellerów.

W 2000 roku Trump w zasadzie przystąpił do rywalizacji za namową Jessego Ventury, byłego zawodowego zapaśnika, który objął stanowisko gubernatora Minnesoty, oraz Rogera Stone'a, który zaczynał jako specjalista od brudnych sztuczek u Nixona, a teraz był już starym wyjadaczem na Kapitolu. Zebrał piętnaście tysięcy głosów w kalifornijskich prawyborach jako kandydat Partii Reform, a następnie ustąpił miejsca konserwatywnemu troglodycie Patowi Buchananowi, którego bezlitośnie nazywał „fanem Hitlera". W 2004 roku zagroził, że znowu myśli o kandydaturze, tym razem poważnie, bardzo poważnie. Dlaczego nie? Tak się złożyło, że akurat promował swój telewizyjny reality show. W 2008 roku powiedział

w rozmowie z „New York Post", że znowu o tym myśli, po czym o wszystkim zapomniał. Po raz kolejny kusił nas w 2012 roku, a według

sondaży przewodził wówczas na liście potencjalnych kandydatów Partii Republikańskiej. Poujadał na metrykę prezydenta Obamy, po czym, a jakże, zdecydował, że jednak nie będzie startował.

Teraz wrócił i tym razem był naprawdę gotowy. Prawdopodobnie.

Najwyraźniej nikt mu nie powiedział, że w planie była rozgrywka Jeb kontra Hillary, epicka konfrontacja pomiędzy członkami królewskich rodów amerykańskiej polityki. Szare eminencje i klasa bogaczy jednogłośnie ustalili

takie właśnie kandydatury, kasa się zgadzała i wszystko było dopięte na ostatni guzik. Ale tu wchodzi Don, absurdalny, pompatyczny, nowojorski deweloper z niewyparzoną gębą. I zaczyna się jazda.

Trump wyglądał grubo, sporo ostatnio przytył, a jego szyta na miarę marynarka wisiała na nim jak wymiętoszony szlafrok ciążowy. Jego skóra miała nienaturalny pomarańczowy odcień. I te jego włosy. Czy to zaczeska?

Czy to tupecik? I w zasadzie jakiego one są koloru? Na ekranie mojego telewizora wyglądał jak gigantyczny lizak z pomarańczowym czubkiem i plamiastą twarzą.

Ale Trump nie zawiódł oczekiwań. Był bombastyczny i pluł żółcią na prawo i lewo: „Inni kandydaci – powiedział o rywalach, z którymi miał

konkurować o republikańską nominację – przyszli, a nawet nie wiedzieli, że klimatyzacja nie działa. Spocili się jak psy. Nie wiedzieli, że sala jest za duża, bo nikogo tam nie mieli”.

To prawda, powiedziałem do Boba i przypomniałem mu cyrk w Iowa.

„Płacę ze swoich pieniędzy. Nie korzystam z lobbystów. Nie korzystam z darczyńców. Mam to gdzieś. Jestem naprawdę bogaty…”

Trump napieprzał w politycznych rutyniarzy, twierdząc, że to przez nich robotnicy z Pierwszego Świata zmienili się w klientów lumpeksów i łowców promocji.

„Prawda, jacy głupi są nasi przywódcy? Jacy głupi są ci politycy, którzy na to pozwalają? Prawda, jacy oni wszyscy są głupi?”

O tak. To też było dobre. To musiało chwycić. Trump zdążył się już nabzdyczyć jak monstrualna, bombastyczna purchawa: „Będę najlepszym prezydentem od miejsc pracy, jakiego Bóg stworzył”.

Był zabawny. Oglądalność będzie dobra. Będzie znakomita. To będzie najlepsza oglądalność w historii. Uwierzcie mi.

Potem Trump pokazał się jako ksenofob: „Kiedy Meksyk wysyła tu swoich, to wcale nie wysyłają tu tych najlepszych. Tych nie wysyłają…

Wysyłają ludzi, którzy mają wiele problemów i przynoszą nam te problemy.

Przynoszą narkotyki, przynoszą przestępstwa, są gwałcicielami, chociaż możliwe, że niektórzy to dobrzy ludzie”.

Gwałcicielami? No to chuj bombki strzelił, stwierdził Bob i odwrócił się od ekranu. Już po nim.

Mogłoby się tak wydawać. Trump uważał, że Meksykanie to gwałciciele.

Trump miał zamiar zbudować mur, żeby ich nie wpuścić do kraju. Na pasku u dołu ekranu już leciało w kółko: „Trump: Meksykanie to gwałciciele”.

Don zrobił się na szaro pięć minut po starcie. Rekord świata.

Ale potem Trump powiedział też coś, czego nikt się nie spodziewał po miliarderze z lokajem, który mieszka we własnym, górującym nad centralnym Manhattanem wieżowcu: „Amerykański sen niestety umarł. Ale jeśli wybiorą mnie na prezydenta, to sprawię, że ożyje, jeszcze większy, lepszy i silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, a my przywrócimy wielkość Ameryce”.

„Przywrócimy wielkość Ameryce”. Pomyślałem, że trafił w samo sedno.

Pewnie wymyślili mu to na jakichś grupach fokusowych, musiał to wziąć z sondaży albo podsłuchać od kolesia w kasku na jednym ze swoich placów budowy.

Prawicowy

establishment

nadal

kurczowo

trzymał

się

przestarzałego pojęcia amerykańskiej transcendencji. Byliśmy największym, najsilniejszym, najpotężniejszym, najbardziej męskim narodem na planecie.

Romney próbował tego bajeru w 2012 roku, ale tak naprawdę sam w niego nie wierzył. W sekrecie potępiał przecież w czambuł niemal połowę amerykańskich obywateli jako śmierdzących leni przyssanych do rządowego garnuszka. Ale na obronę Śliskiego Mitta trzeba powiedzieć, że już chyba nikt w to nie wierzył. Straciliśmy majątek, pracę i widoki na przyszłość.

Pozostawione bez środków do życia miasta płonęły. Infrastruktura się rozpadała. Słynna chicagowska płatna autostrada Skyway była nierówna jak tarka do sera i sprzedano ją zagranicznej firmie za dwa miliardy dolarów, żeby na chwilę zatkać dziurę w budżecie. Parkomaty w Chicago poszły za kolejny miliard. Detroit obcięło budżet na emerytury i opiekę zdrowotną, żeby udźwignąć ciężar największego miejskiego bankructwa w historii Ameryki. Starsze kobiety i okaleczeni strażacy dostawali po kilkaset dolarów miesięcznie, poklepanie po plecach i „dzięki za służbę", po czym trafiali do systemu służby zdrowia Obamy. W Phoenix byli żołnierze umierali w kolejce do centrum zdrowia dla weteranów wojskowych, a urzędnicy administratorzy

stawali na głowie, żeby to zatuszować. Każdego dnia coraz więcej żołnierzy wracało do domu z naszych wiecznych wojen na Bliskim Wschodzie, wojen, za które musieliśmy jeszcze zapłacić – przerzucając ten ciężar na nasze dzieci, zamiast opodatkować samych siebie. Co w tym było takiego *wyjątkowego*?

Jednocześnie lewica utknęła, głosząc, że Ameryka nigdy nie była wielka ani wyjątkowa, że zawsze była rasistowska i leniwa. Przyszłość to więcej kosmopolityzmu, więcej globalizacji, otwarte granice i hojniejsze wypłaty dla uciskanych grup mniejszościowych. Problemy? Tak, ten kraj miał wiele problemów, ale obóz elitarystycznych liberałów nie kwapił się jakoś szczególnie, by przyznać, że nasza kultura była najbardziej elastyczna i najsprawniej zmieniająca się na świecie. Była to kultura, która umiała sama

się naprawić na drodze prawa i rozumu. Otaczały nas archeologiczne ruiny amerykańskiego stulecia – puste warsztaty i witryny sklepowe, zarówno w małych miastach, jak i w dużych, najlepszy dowód dogorywającej wielkości gospodarczej. Amerykanie byli rasistami, ale jednocześnie Obama zdobył czterdzieści trzy procent białych głosów w 2008 roku, kiedy gospodarka upadała pod rządami republikanów. Obama obiecywał nadzieję i parę groszy w portfelach. Amerykanie wszystkich kolorów myśleli, że głosują na nowy Nowy Ład. Zamiast tego dostaliśmy opiekę zdrowotną i właściwie niewiele więcej.

„Przywrócimy wielkość Ameryce”. To było genialne w swojej prostocie.

To była gospodarka, głupcze. To zawsze była gospodarka, głupcze. I to była wina rządu i wielkich banków. Wszyscy zapomnieli o everymanie, a on się wściekł. Widzieliśmy to w całym kraju: niskie płace i zdławione szanse. To dotyczyło ludzi każdej rasy. Z każdej partii. Z każdego regionu. „Przywróć wielkość. Napraw. Pomóż nam”.

Popatrzyłem na Matta i Boba.

Musimy się jakoś do niego dopchać. Może to i błazen, ale coś jest w tym, co mówi.

Zgodzili się, ale Don musiał jeszcze trochę poczekać. Nazajutrz Dylann Roof, obłąkany biały terrorysta powodowany precyzyjną, konspiratorską nienawiścią,

zamordował

dziewięcioro

czarnych

parafian

podczas

nabożeństwa w kościele w Karolinie Południowej. Miał nadzieję, że w ten sposób rozpęta wojnę rasową.

Rycerze cali na biało

Karolina Północna/Południowa

Lato

Szef kazał nam jechać na południe. Ale ja nie chciałem.

Po masakrze w Afrykańskim Kościele Metodystyczno-Episkopalnym Emanuel do Charleston w Karolinie Południowej zwaliła się machina medialna. Powstało kilka dobrych i ważnych programów, więc ostatnią rzeczą, jakiej to miasto potrzebowało, to jeszcze jeden spóźnialski Jasio, który będzie rozdrapywał rany, węszył i próbował wycisnąć jeszcze parę łez ze społeczności, która już swoje wypłakała.

– No to może ten kościół, co go spalili – zaproponował szef.

Wkrótce po tragedii w Charleston spłonął zabytkowy czarny dom modlitwy na prowincji w Karolinie Południowej. Raport straży sugerował, że przyczyną było podpalenie. Dwadzieścia lat wcześniej Ku Klux Klan spalił

ten sam kościół. A co, jeśli zrobili to ponownie? A może to jakiś niezrzeszony biały suprematysta, jak Roof? Temat był niezwykle ciekawy.

Narastające białe zagrożenie w erze Trumpa i gliniarzy, co to ich świerzbi palec na spuście.

Ale kościół nie padł ofiarą podpalenia ani KKK. Przyczyną było uderzenie pioruna. Działanie natury. Co prawda wspomniano o tym w wiadomościach, ale relacja była zdecydowanie mniej obszerna i emocjonalna niż pierwotnie snuta teoria podpalenia. Fałszywa informacja o białym terrorze została w świadomości ludzi na dobre jak osad z mydła. Ja miałem inne plany.

Władze Karoliny Południowej ugięły się pod naciskiem i z zażenowaniem

usunęły flagę Konfederacji sprzed stanowego parlamentu, gdy na światło dzienne wypłynęło zdjęcie Roofa pozującego ze starym sztandarem Dixie na kilka dni przed atakiem. KKK planował wiec na schodach Kapitolu stanowego w proteście przeciwko jej usunięciu.

To były wiadomości telewizyjne w czystej postaci: gotowe wydarzenie, proste i samowystarczalne. Przepis na to ciasto składał się z kilku krótkich wywiadów z uczestnikami wiecu, paru błahych frazesów o braterstwie i zdjęcia Roofa. Wrzuć to wszystko do miksera montażowego i w kilka godzin możesz wyprodukować coś, o czym raz dwa zapomnisz. Jeśli będzie przemoc, to tym lepiej. Przemoc oznacza kliknięcia i retweety.

Ale i tym razem miałem inne plany.

Zadzwoniłem na gorącą linię KKK – owszem, Klan ma własną gorącą linię – a tam powitał mnie z nagrania głos miejscowego Imperialnego Maga, który, co wyszło na jaw później, jednocześnie robił za uchola FBI: „My, lojalni Biali Rycerze Ku Klux Klanu, pragniemy uczcić zwycięstwo Dylanna S. Roofa, młodego wojownika z Karoliny Południowej, który postanowił

zrobić to, co mu nakazała Biblia. Oko za oko. Ząb na ząb. Zbyt długo oni rozlewali naszą krew. Nadszedł czas, żebyśmy to my rozlali ich krew”.

Głos był ponury i groźny, z ciężkim akcentem z zadupia. Jego dźwięk zdjął mnie wstrętem, ale i tak zostawiłem numer komórki. W końcu do mnie oddzwonili.

Dzwoniący przedstawił się jako Will Quigg, Wielki Smok Kalifornii i Królewski Kleagle Wschodniego Wybrzeża z Lojalnych Białych Rycerzy Ku Klux Klanu. Krótko mówiąc, był tu szefem wszystkich szefów. Quigg poinformował mnie, że za kilka dni przylatuje z Kalifornii Południowej do Greensboro w Karolinie Północnej i jak chcemy, to razem z Mattem możemy z nim zabrać się na wiec samochodem.

– Jesteście mi potrzebni do propagandy – ostrzegł mnie Quigg.

– W takim razie jesteśmy kwita – odparłem. – Bo ja chcę się panu przyjrzeć z

bliska.

No to byliśmy umówieni.

Około północy na hali obioru bagażu wypatrzyłem chuderlawego, żylastego faceta w okularach przeciwsłonecznych. Miał na sobie czarną koszulę z czerwonym krzyżem na lewej piersi i krótkie brązowe spodnie, odsłaniające blade, bezwłose nogi. Nie wyglądał mi na mormońskiego misjonarza, więc postanowiłem zaryzykować.

– Pan tu po Wielkiego Smoka?

– Tak jest.

Nazywał się Calvin Simpson i był miejscowym klansmanem, który miał

tu robić nie tylko za coś na kształt ochrony Wielkiego Smoka, ale także za jego osobisty orszak, dzięki czemu ów prezentowałby się bardziej prestiżowo. Jak by to wyglądało, gdyby jego wielkość miał sam odbierać bagaż?

Obaj z Mattem spędziliśmy prawie cały ostatni tydzień w rodzimych okolicach Simpsona, wiejskich hrabstwach na północ od Greensboro. Jeśli funkcjonowało tam gniazdo klanowego ekstremizmu, to najpewniej była to działka na tyłach fast foodu i sklepu z częściami samochodowymi, przy granicy między Karoliną a Wirginią. Lojalni Biali Rycerze – jedna z największych i najbardziej brutalnych frakcji KKK w Stanach Zjednoczonych – mieli swoją siedzibę w małym miasteczku Eden, w pamiętającej lepsze czasy przyczepie, na której nie było żadnej flagi, ani Dixie, ani żadnej innej. Klavern, czyli oddział lokalny, miał w pobliżu skrzynkę pocztową. Imperialny Mag mieszkał niedaleko. Na jego działce odbywały się pikniki klanowe. Frakcja liczyła około stu pięćdziesięciu członków w całym kraju, ale siedzieli na tyle cicho, że przewodniczący kapituły NAACP był zaskoczony, gdy dowiedział się, że ich siedziba znajduje się w jego hrabstwie.

Pogadałem sobie chwilę z Simpsonem, który wyznał, że jest bezrobotny i

żyje z rządowych bonów żywnościowych.

Klansman, który się pasie przy publicznym korycie. Co za ironia.

– A ja za to płacę – poskarżyłem się.

– Tak, płaci pan, bo miał pan fuksa dostać pracę na pełen etat.

Był chodzącym stereotypem owiniętym w insygnia – bezrobotny biały facet, skarżący się na leniwych kolorowych, co to żerują na systemie, zabierają innym środki, które im się nie należą, i rozmnażają się na potęgę.

Jednocześnie wierzył, że rządowa zapomoga, którą odbierał, nie ma nic wspólnego z jego brakiem umiejętności czy etosu pracy. Był ofiarą okoliczności, na które nie miał wpływu. I nie było ważne, czy te okoliczności tworzy brązowa horda z Meksyku kładąca tynki taniej niż on, czy też korporacyjne

elity,

które

wymyśliły

nowy

porządek

świata,

nieuwzględniający jego osoby. Był to punkt widzenia rozpowszechniony nawet wśród tych członków białej klasy robotniczej, którzy nie spędzali sobotnich wieczorów na harcach w satynowych szatach i paleniu krzyży.

Pomyślałem, że warto by to podrążyć w samochodzie.

Wielki Smok zstąpił ku nam po schodach ruchomych, a dupowłaz Simpson wyskoczył jak gumowa piłeczka, żeby go przywitać służalczym salutem –

ramię wyciągnięte, dłoń zwrócona do dołu. Rzucili się sobie w objęcia, a muzułmańska kobieta w chuście dziwowała się, że w ogóle nie kryją się z afektem.

Przy stanowisku wypożyczalni samochodów Quigg poszedł do lady i położył na niej swoje prawo jazdy. Zwróciłem mu uwagę, że przyjmuje pomoc od czarnego mężczyzny za ladą, i poinformowałem czarnego mężczyznę za ladą, że obsługuje klansmana.

Simpson się zirytował.

– Chce pan koniecznie wywołać jakiś dym?

– Ja tylko mówię, jak jest.

– Jesteśmy chrześcijanami, staramy się być uprzejmi.

Quigg naprawdę nazywał się William Ernest Hagen. Sprawdziliśmy jego adres i okazało się, że mieszka w przytulnym, wartym pół miliona dolarów błękitnym domku w przyjemnej okolicy, w kalifornijskim hrabstwie Orange, kilka kilometrów od Disneylandu – serca wielokulturowej Ameryki. Na zdjęciu domu Hagena na Google Earth ktoś, kto wygląda na latynoskiego ogrodnika, kosi trawę w pasie zieleni, który Wielki Smok dzieli z sąsiadem.

To jest naprawdę mały świat.

Hagen, lat czterdzieści dziewięć, z przystrzyżonym wąsikiem i krótkimi ciemnymi włosami, był uderzająco podobny do Freddiego Mercurego, biseksualnego frontmana Queen. Oczekiwałem, że przybędzie ubrany w coś bardziej ostentacyjnego, jawnie „klanowego”, a nie w zwykłe ciuchy w kolorze khaki. Hagen wyjaśnił, że szaty służyły tylko do celów ceremonialnych i zazwyczaj były z białej satyny, chociaż „oficerowie” mają prawo do żywszych odcieni czerwieni i purpury. Stwierdził, że dzięki stonowanej odzieży członkowie wyglądają bardziej mainstreamowo, żeby nie odstraszać potencjalnych rekrutów ani stewardess.

Wielki Smok znalazł swój wypożyczony samochód na parkingu. Chevy

spark, przyjazny dla środowiska subkompakt, coś, czym mógłby jeździć hipster. Spodziewałem się suburbana, ale najwyraźniej Hagen nie zwykł

szastać groszem, bo też i pozycja Wielkiego Smoka ma charakter czysto symboliczny i nie wiążą się z nią żadne apanaże.

Hagen ułożył swoje rzeczy tak, żeby mu nie zasłaniały drogi. Strasznie długo ustawiał lusterka wsteczne i zażądał absolutnej ciszy, gdy nerwowo,

centymetr po centymetrze, wyjeżdżał na drogę ekspresową, jak królik, który po raz pierwszy wkicuje do obcego ogrodu. Natychmiast zgubił się w labiryncie betonowej wstęgi, skręcając na wschód, podczas gdy powinien skręcić na południe. Klął na czym świat stoi i narzekał na GPS, który gadał

z jankeskim akcentem.

Simpson usiadł ze mną z tyłu. Ciągle się dąsał za tę akcję w wypożyczalni samochodów.

– Co to miało być? To był zwykły facet, on tam po prostu pracował.

– Ale był czarny. Wy się przecież nie zadajecie z czarnymi, prawda?

– Nie podoba nam się to, ale trzeba się mieszać z ludźmi. Nie można cały czas nienawidzić.

– Słucham? Myślałem, że właśnie tym się zajmujecie.

– Trzeba sobie radzić, i tyle. Tak to jest w Ameryce.

W tym też było coś wartego bliższego zbadania, ale po chwili ten przebłysk oświecenia u Simpsona zgasił Hagen, który zdominował całą podróż – nie umiał prowadzić samochodu ani rozmowy, a jego filozofia była nudna jak inwentaryzacja w sklepie z gwoździami. Według Hagena: Jezus nie był Żydem, katolicy to nie są prawdziwi chrześcijanie i nie było Holokaustu. Przyciśnięty w tej ostatniej kwestii odrobinę jednak odpuścił.

– No dobra, może trochę Holokaustu było, ale na pewno nie tak źle, jak

mówią.

W kwestii Roofa Wielki Smok powiedział, że pomimo tego, co na nagraniu mówi Imperialny Mag, Klan oficjalnie utrzymuje, że błędem było zabijać czarnych ludzi podczas nabożeństwa. Jeśli jednak grupa czarnoskórych sprzedaje dragi na ulicy, cóż, to już zupełnie inna sprawa.

A co z Mulatami, takimi jak ja? Jak przyjdzie wielka wojna, to zginiemy pierwsi, bo nigdzie nie przynależymy, nie mamy do kogo iść.

I tak sobie razem jechaliśmy, Matt i ja, ciemną wiejską autostradą, i nikt na całym świecie nie wiedział, gdzie jesteśmy. Siedząc na tylnym siedzeniu, oświetlałem sobie twarz latarką, żeby mnie było widać w kamerze. Matt, któremu udało się wynegocjować podwyżkę w wysokości jednego dolara za godzinę, kręcił wciśnięty w przedni fotel pasażera. Klansmani mogli skręcić w dowolną boczną dróżkę, zabrać nas do lasu i udusić. Ale ci dwaj nie byli najbardziej lotnymi przedstawicielami rasy panów. Wyglądali mi na takich, co to nie lubią się pocić i szybko się męczą. Ubrani jak kurierzy, w okularach przeciwsłonecznych mimo ciemności, bo myśleli, że dzięki temu nikt ich nie rozpozna w telewizji.

Szczerze mówiąc, już bardziej obawiałem się tego, jak Hagen prowadził.

Mieszkał w okolicy Los Angeles i – jak powiedział – te długie, puste autostrady wyprowadzały go z równowagi. Mało brakowało, a władowałby nas w betonową barierkę – Matt poleciał na przednią szybę. Ciągle też narzekał, że trudno jest prowadzić samochód i jednocześnie udzielać wywiadu.

Zabrałem na wycieczkę paczkę krakersów – prowiant i rekwizyt w jednym. Pochyliłem się do przodu i poczęstowałem Hagena.

– Krakersa? Z białej mąki.

Podziękował, nie zrozumiawszy dowcipu.

Simpson zrozumiał.

– Z białej mąki? Zabawne. Ha, ha. Ja tam się nie wstydzę. Ani trochę.

Wziął dwa.

Od krakersów Simpsonowi zaschło w ustach i dwukrotnie sugerował

Hagenowi, żeby się gdzieś zatrzymać i kupić dwulitrową colę na spółę. Smok minął kilka zjazdów, zanim wreszcie udało mu się w jeden trafić, a wtedy okazało się, że jesteśmy na kiepsko oświetlonej stacji benzynowej po południowej stronie miasta. Czarnej stronie miasta. Samochodem zarzuciło, gdy podjechaliśmy na parking.

Odziany w klanowe ciuchy Simpson dzielnie wmaszerował do sklepu i kupił sobie za gotówkę napój w puszce. Kierownik nie pozwolił mu skorzystać z toalety. Czarne oczy śledziły jego białość aż za drzwi i przez parking do wypożyczonego samochodu. Miejscowy pijak męczył Hagena o drobne.

– Chyba tylko czarnych wpuszczają do toalety – powiedział Simpson.

– Co za ironia – odpowiedziałem. – Jakie to uczucie?

Hagenowi ręce trzęsły się jak twaróg w wirówce.

– Jedźmy już, do cholery – powiedział.

Wiec odbył się następnego dnia po południu. Tak jak przypuszczałem, nie bardzo było co pokazywać: najwyżej ze dwustu klansmenów i neonazistów, których

dziesiątki

policjantów

musiało

bronić

przed

tysiącem

kontrmanifestantów. Reporterzy telewizyjni nałożyli na twarze pełną tapetę

mimo wysokiej wilgotności powietrza i nadawali z rozkładanych krzeseł pod przenośnymi markizami.

Organizatorzy z KKK zapomnieli przywieźć mikrofon albo choć wzmacniacz, zatem ostatecznie „wiec" okazał się niemym minstrelsem –

pantomimą białych suprematystów, którzy chodzili po schodach przed parlamentem stanowym jak stado szympansów, darli japy i drapali się po dupskach, wywrzaskując przy tym rasistowskie epitety, których nikt nie był

w stanie usłyszeć.

Hagen stał majestatycznie i nieruchomo po lewej, odgrywając Wielkiego Smoka. Jego stary, były klansman z Teksasu, byłby z niego dumny. Simpson ustawił się nieopodal z ręką podniesioną w salucie White Power.

Byli to ludzie, których bez wątpienia należało się obawiać, a w konkretnych przypadkach, takich jak morderczy świr Roof, trzeba ich było wyłapać i powsadzać do więzienia. Ale dla mnie było jasne, że KKK to margines, któremu brakowało filozofii, wyznawców i intelektu do popełnienia czegoś więcej niż pojedyncze akty terroru. Może i Wielki Smok popierał Trumpa, nie było też wątpliwości, że inni rasiści i mizogini do niego lgnęli, ale fundament białego niezadowolenia w Ameryce i jego przyczyny leżały gdzie indziej, z dala od tego klanu pawianów.

Po godzinie, kiedy uczestnicy wiecu byli już fioletowi od wrzasków, władze kazały wynieść się im ze schodów Kapitolu. Oddział ulicznego gangu Bloods skorzystał z okazji, żeby ukraść klansmenom transparenty, obrzucić ich butelkami i pogonić na parking. Jeden biały suprematysta wbiegł prosto na słup i złamał sobie nos. Rozglądałem się uważnie, ale Hagen z Simpsonem gdzieś się wymknęli.

Nie wiem, co stało się z Simpsonem lub czy udało mu się znaleźć stałe zatrudnienie. Hagen zaś nie zasypiał gruszek w popiele. W następnym roku został oskarżony o napaść z użyciem niebezpiecznego narzędzia, gdy podczas brutalnego wiecu White Lives Matter, który zorganizował

w Anaheim w Kalifornii, uderzył latynoskiego manifestanta amerykańskim masztem flagowym. Kiedy indziej został aresztowany i oskarżony o zadanie licznych ciosów nożem i usiłowanie zabójstwa innego klansmana w trakcie zakrapianej imprezy u Imperialnego Maga w Karolinie Północnej – podobno powodem była kłótnia, który z nich jest większym rasistą.

Szaleństwo ogarnęło całą kulę ziemską. Jego dzienny cykl zaczynał się około godziny dziesiątej rano czasu lokalnego w salach konferencyjnych redakcji na całej planecie. Spotkania rozpoczynały się od tego samego pytania: czy dziś Trump powiedział lub napisał już coś oburzającego?

Bez względu na polityczne zapatrywania dziennikarze na całym świecie śledzili

każde

słowo

człowieka,

którym

powszechnie

pogardzali.

Pomarańczowy Matoł zagrażał status quo . *A* status quo *składał się, rzecz jasna, w dużej mierze z tych nadętych typów wokół stołów redakcyjnych, dla których ów Matoł nie miał za grosz szacunku.*

Im bardziej medialny establishment popiskiwał, wyrzekał, wygłaszał

kazania, przewracał oczami i groził palcem, tym chętniej zwykli Amerykanie

garnęli się do Trumpa. A ci spośród zwykłych Amerykanów, którzy się nim brzydzili, nie mogli jednak się powstrzymać, żeby na niego nie patrzeć.

Zaledwie trzy miesiące po przystąpieniu do wyścigu o Biały Dom wyglądało na to, że Trump ma szanse wygrać, co powiedziałem mu kilka tygodni wcześniej podczas spotkania z wyborcami na przedmieściach Flint.

W Ameryce szklanka była w połowie pusta. Do klasy średniej zaliczała się mniej niż połowa amerykańskich gospodarstw domowych, a połowa bogactwa klasy średniej wyparowała podczas wielkiej recesji. Czynsz pochłaniał ludziom połowę wypłaty. Nie było w tym ich winy, a przynajmniej tak sądzili. To establishment ich zgwałcił.

Amerykański redneck *zbuntował się przeciwko swojemu republikańskiemu panu. Nie był w nastroju do dżentelmeńskiej debaty ani nie zamierzał*

grzecznie czapkować. Był wściekły i bez grosza albo prawie bez.

Jedyne, czym ludzie pogardzali bardziej niż dziennikarzami, byli politycy i bankierzy. Najchętniej przyjebaliby im wszystkim z liścia. Chuj mnie obchodzi, że Trump nie wie, o czym mówi. Wal ich w samo miętkie, Donald!

Nawet Bernie Sanders, zrzędliwy socjalista z pagórków Vermont, startował przeciwko Hillary Clinton. A jedyne, co musiał zrobić Bernie, to naklepać jakichś bezimiennych miliarderów po papach, wezwać do powrotu regulacji bankowych z czasów Wielkiego Kryzysu, powiedzieć „nie”

globalnym porozumieniom handlowym i obiecać wszystkim dostęp do wyższej

edukacji, bez wyjaśnienia, jak mamy niby za to zapłacić. Prawie mu się udało. Tyle że establishment sam nadstawił się Clinton dupą do góry.

Miała pieniądze, superdelegatów i przyjaciół w telewizji. Nikt nie mówił

o Berniem – ani dobrze, ani źle. Był wiecznie rozczochrany, pomarszczony, nauczycielski, niemłody. Kamera go nie lubiła.

Trump to była inna para kaloszy. Ilekroć kłamał, przesadzał, szydził, groził lub porównywał kolegę republikanina do pedofila, kapitanowie tonących statków medialnych obserwowali, jak rosną im statystyki kliknięć i oglądalności. Biznes to biznes. Statek płynął dalej. Postanowili więc zrobić z tego Donald Trump Show .

Trump to był dla mnie rekwizyt. Szminka i pończochy na świni. Tło. Był

bez wątpienia ważny, ale nie zamierzaliśmy go upominać, a po prostu pobawić się nim, jak kot kłębkiem wełny. Nie byliśmy dziennikarzami wyborczymi. Byliśmy ulicznymi reporterami. Dla nas to była i zawsze będzie historia Amerykanów, którzy próbują jakoś przeżyć, od Ferguson po Flint.

Przecież musiało się na to znaleźć miejsce w tym nieustannym wyrzygu politycznych informacji.

Tak przynajmniej myślałem.

Moje niebieskie piekło

Dolina Simi, Kalifornia

Jesień

Studio w Bibliotece Reagana, gdzie miała się odbyć republikańska debata, było, rzecz jasna, niebieskie. Zasadniczo amerykańskie telewizyjne wnętrza są zawsze niebieskie. Elektryczny błękit. Głęboki lazur. Morska bryza. Aqua Viagra.

Niebieski, bez względu na odcień, emanuje godnością, autorytetem i władzą. Tak przynajmniej mówią telewizyjni scenografowie dyrektorom stacji, którzy nie grzeszą oryginalnością.

W Ameryce za scenografię wszystkich ogólnokrajowych programów informacyjnych odpowiadają dwa podmioty. Kiedyś był tylko jeden, ale dziesięć lat temu firma się podzieliła i teraz oba odłamy wciskają wszędzie to samo nudne niebieskie akwarium, w którym od czasu do czasu pojawia się

gdzieś smuga karmazynu. Niebieskie studio kojarzy mi się z cyjanopsją, czyli schorzeniem, w którym widzisz wszystko na niebiesko – częsty efekt uboczny przedawkowania pigułki na erekcję.

Jak gdyby dopełniając erekcyjnego motywu, projektant zbudował

trzykondygnacyjne rusztowanie, więc podium dla jedenastu republikańskich pretendentów do nominacji znajdowało się na tej samej wysokości, co skrzydła wystawionego na stałe w bibliotece starego Air Force One, którym latał Reagan. Gigantyczne srebrne dildo w tle. Samolot miał coś symbolizować, ale nie wiem co.

Zaledwie dziesięć tygodni po ogłoszeniu swojej kandydatury Trump prowadził nie tylko w sondażach, ale i w mediach. Establishment był

w szoku i gardził nim za lekceważenie zasad, ale Trump okazał się prawdziwą kopalnią złota dla pogrążonej w katatonii, masowo tracącej widzów branży. Dwadzieścia cztery miliony ludzi włączyło telewizory, żeby popatrzeć, jak Pomarańczowy Don obraża kogo tylko może podczas

poprzedniej debaty. Stacja, która transmitowała ten wyścig, pocisnęła mocniej motyw teleturnieju i zwiększyła przychody z reklam o czterdzieści procent. Czysty zysk!

Łatwo pozować na człowieka poważnie i idealistycznie podchodzącego do polityki, lecz kiedy walczysz o oglądalność, powaga i idealizm pierwsze wylatują za okno. Oto, jak rozpoczęła się debata:

W P R O WA D Z E N I E : (Ujęcie z góry. Prowadzący na pierwszym planie, ubrany w niebieski garnitur i czerwony krawat, tyłem do zawodników, ściśniętych jak w kolejce po crocsy na promocji. W tle prezydencki odrzutowiec. Czerwony dywan, różne odcienie niebieskiego).

P R O WA D Z Ą C Y :

Na naszym podium zasiadło jedenastu czołowych

republikańskich kandydatów na prezydenta. Są gotowi, żeby się ze sobą zmierzyć.

A jeśli oglądaliście ten wyścig, to wiecie, że przez następne kilka godzin wszystko może się zdarzyć!… Zaczynamy!

Po wygłoszeniu paru uwag tytułem wstępu prowadzący ustawia kandydatów do pojedynku z nadzieją, że ktoś odwali Mike'a Tysona i odgryzie kawał ucha przeciwnika.

P R O WA D Z Ą C Y : Czy byłby pan spokojny, wiedząc, że Donald Trump trzyma rękę na kodach jądrowych?

S E N ATO R R A N D PA U L : Bardzo mnie to niepokoi – to, że miałby dostęp do broni jądrowej, bo myślę, że jego reakcja, jego odruchowy atak za wygląd – że ktoś jest niski, wysoki, gruby, brzydki – rany boskie, przecież tak było w gimnazjum. Chyba już dawno z tego wyrośliśmy? Chyba wszystkich powinno niepokoić, że ktoś taki byłby odpowiedzialny za arsenał jądrowy? (*oklaski*) P R O WA D Z Ą C Y : Pan Trump?

D O N A L D T R U M P : Ja tam go nigdy nie atakowałem za wygląd, chociaż wierzcie mi, że byłoby za co. (*śmiech*)

Dziennikarze prasowi siedzieli w bocznym namiocie, oglądali wszystko na telebimie i napieprzali w klawiaturę. Kołysali się jak stado makaków[3], próbując odgadnąć sekwencję, dzięki której dostaną banana, i zapisując najlepsze wrzuty wieczoru.

O tak! Ta była dobra! Strasznie było mi ich żal. Zanim ich teksty ujrzą światło dzienne, debata się skończy, a gadające głowy będą niczym butelka skwaśniałego wina, więc pies z kulawą nogą nie spojrzy na ich blogi.

Zastanawiałem się, dla kogo piszą. Chyba wiedzieli, że nikt ich nie czyta?

Ale ludzie czytali, w końcu chodziło o Trumpa. Subskrypcje szły w górę.

Ten typ uratuje nasze miejsca pracy.

Byliśmy na południu Kalifornii od kilku dni i nakręciliśmy już większość materiału do programu. Podczas trzygodzinnej debaty poświęcono tej kwestii najwyżej jakieś dwadzieścia minut, ale przyjechaliśmy tu, żeby mówić nie o starciu kandydatów, ale o imigracji.

Milion mieszkańców hrabstwa Los Angeles nie miało dokumentów.

Większość z nich to Meksykanie. Jedna z osób, z którymi rozmawialiśmy, gdy zamiatała właśnie grób Reagana, powiedziała nam, że kilkanaście lat wcześniej przyjechała nielegalnie z Meksyku. W ekipie porządkowej opiekującej się truchłem Reagana było sporo ludzi z Ameryki Środkowej, którzy w latach osiemdziesiątych uciekli stamtąd przed jego wojnami zastępczymi, po czym uzyskali od niego amnestię. Chcieliśmy przeprowadzić z nimi pogłębiony wywiad, ale przyszła ochrona i nas wywaliła.

Trump i inni kandydaci mówili o możliwości budowy muru na granicy meksykańskiej. Chris Christie, gubernator New Jersey, przebił ich, kiedy zaproponował, żeby oznaczać imigrantów kodami kreskowymi i śledzić ich jak paczki. To była jedna wielka ściema. Nie było pieniędzy na mur, a międzynarodowy traktat tak czy owak zakazywał budowy wzdłuż Rio Grande. I najwyższy czas, żeby ktoś wytłumaczył gubernatorowi Christiemu, że ludzie mają nogi, a paczki nie.

Potem wyszła ta sprawa łapanek na meksykańskie babcie w Los Angeles i ich deportacji.

– Od takich pomysłów zaczynają się zamieszki – powiedział mi Jose Perez, zastępca naczelnika wydziału policji w Los Angeles. – Poza tym gdzie niby mielibyśmy trzymać te *abuelas*, zanim wsadzimy je w autobus do domu? Przecież my nawet nie mamy już miejsca na dzieci łapane na granicy z Teksasem.

W materiale z Los Angeles zadaliśmy proste pytanie: może powinniśmy zacząć od czegoś, z czym większość Amerykanów się zgadza? Może wyrzućmy najpierw trzy czwarte miliona nielegalnych imigrantów, którzy zostali skazani za brutalne przestępstwa? Może nakłońmy tak zwane miasta azyle do współpracy z władzami federalnymi przy identyfikacji tych osób?

Weźmy na przykład smutne życie Jamiela Shawa z South Central w Los Angeles, któremu na jego oczach i niemal przed domem zamordowano syna.

Siedemnastoletni Jamiel Junior, gwiazda futbolu w liceum i wzorowy uczeń,

został zastrzelony przez gangstera, który przebywał w kraju nielegalnie.

Gangster pomylił Jamiela Juniora z członkiem wrogiego ulicznego gangu Bloods, ponieważ chłopak miał czerwoną torbę ze Spidermanem.

Przestępca był podejrzany o udział w trzech innych zabójstwach i zaledwie dzień wcześniej wyszedł z więzienia okręgowego, w którym odsiadywał wyrok za nielegalne posiadanie broni. Urzędnicy imigracyjni nie zostali powiadomieni o jego zwolnieniu. Ponadto obowiązujące w Los Angeles nadzwyczajne rozporządzenie numer 40 zakazuje policjantom sprawdzania statusu imigracyjnego znanych przestępców i podejrzanych.

Shaw gorzko płakał, kiedy z nim rozmawialiśmy przy tabliczce upamiętniającej miejsce, gdzie zginął jego syn, niecałe sto metrów od domu.

– Co tu robił ten facet? – dopytywał się Shaw. – Dlaczego nie możemy pozbyć się stąd tych ludzi? Bo on ma prawa? A mój syn nie miał prawa wyrosnąć na człowieka? Miał czy nie miał?

Ostatnie badanie opinii publicznej przeprowadzone przez Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley wykazało, że ludzie w przeważającej mierze zgadzali się z Shawem co do miast azyli. Jednym z respondentów był

Alfonso Fernandez, robotnik bez dokumentów zatrudniony w Home Depot w Hollywood.

– Przestępcy to zło – powiedział. – Same z nimi problemy. Okradają nas.

Co tydzień musimy płacić gangom. Nie płacisz, masz problemy.

Intelektualnym uzasadnieniem dla miast azylów i nadzwyczajnego rozporządzenia numer 40 jest to, że dzięki takiej ochronie nielegalni

imigranci są bardziej skłonni do współpracy z organami ścigania, ponieważ nie muszą obawiać się deportacji. W takim razie dlaczego ludzie z Home Depot nie zgłaszają na policję oszustów, którzy ściągają z nich haracze?

– Pan jesteś *loco, señor*?

W debacie nie powiedziano również nic na temat tego, co zrobić z trzema czwartymi miliona robotników rolnych, których zarobki wynoszą mniej niż federalna płaca minimalna, chociaż ich praca ma kluczowe znaczenie dla Amerykanów. To oni nas karmią.

Od stu lat są to głównie Meksykanie, ponieważ amerykańscy rolnicy zawsze byli uzależnieni od taniej siły roboczej. Taki układ był dobry dla wszystkich zainteresowanych. Dlaczego nie zalegalizować tych pracowników i nie wydać im „niebieskiej karty”, czyli pozwolenia na pracę w rolnictwie?

Może w ten sposób Daniel, zbieracz winogron w dolinie San Joaquin i ojciec trojga dzieci urodzonych w Stanach Zjednoczonych, mógłby wrócić do Meksyku na pogrzeb matki. Dlaczego nie oszczędzić mu tych poniżeń?

O ile mi wiadomo, jedyne w historii referendum w sprawie nielegalnych imigrantów odbyło się w Kalifornii dwadzieścia lat temu. Propozycja 187

zakładała ustanowienie stanowego systemu kontroli, który uniemożliwiłby osobom bez dokumentów dostęp do publicznych pieniędzy, opieki zdrowotnej i edukacji. Wniosek gładko przeszedł w liberalnej Kalifornii, ale ostatecznie przepadł w sądzie. Najciekawsza w tym referendum była rasowa statystyka głosów na „tak”: sześćdziesiąt trzy procent białych, pięćdziesiąt osiem procent czarnych, pięćdziesiąt osiem procent Azjatów i trzydzieści jeden procent Latynosów. Amerykanie i ich spojrzenie na imigrację to problem o wiele bardziej złożony, niż sugerują debaty telewizyjne i wiadomości.

Imigracja. To był prawdziwy temat na nasz kalifornijski materiał. Debata była dla nas po prostu foliowym opakowaniem. Garść pustych kalorii do ciasta.

Po debacie zapanował medialny raban, a my czekaliśmy i grzecznie słuchaliśmy, jak nasz kolega z think tanku Access Hollywood pyta Trumpa o jego mimikę i to, jak podaje ludziom rękę.

Poczułem, że drugi raz taka okazja mi się nie trafi, więc złapałem Trumpa za połę marynarki i zadałem pytanie.

J A : A może zróbmy tak, żeby to Meksykanie zbudowali mur od swojej strony?

Wtedy ci wszyscy z parkingu przed Home Depot popędzą z powrotem do domu, żeby go budować i zamurują się od środka?

T R U M P : Tak, i Meksyk za to zapłaci.

J A : Zajebiście!

Senator Lindsey Graham, który, statystycznie rzecz biorąc, miał ujemne poparcie, trzymał się twardo i nadal robił za kozaka z wysokości swojego metra siedemdziesięciu.

– Co z nielegalnymi imigrantami, którzy popełniają brutalne przestępstwa? – zapytałem. – Czy to na nich nie powinniśmy się skupić?

– Trzeba im nakopać do dupy – warknął senator kurdupel.

Bzdury. Frazesy. Wykrochmalone kołnierzyki. Polityczne miękkie faje, ale w gębie rewolwerowcy. Tego było już dla mnie za wiele, więc

spontanicznie złapałem Matta za klapy i odtańczyliśmy zaimprowizowany taniec z hołubcami, pląsając po całej sali. Mówili mi potem, że pokazywali nas w wiadomościach każdej większej sieci kablowej. Mama zadzwoniła z pozdrowieniami. Gorzej było z szefostwem.

Wydawało mi się, że teraz to już na pewno wszyscy wiedzą, że to teatrzyk kukiełkowy. Ale najwyraźniej nie okazałem należytego poważania dla procedury. *To jest nasz kraj. Chodzi o najwyższe stanowisko w wolnym*

świecie. Tu jest niezbędny szacunek.

Szacunek? W zwiastunach reklamowych debatę nazywano: „Runda 2: Główne wydarzenie”, a zapowiedziom towarzyszył nawet niedorzeczny dźwięk gongu jak przed wejściem na ring. Miało to być coś między Rockym Balboą a Familiadą.

Spin room był niewiele lepszy – ot, ciasny kibel, w którym wymieniano się pustymi frazesami. To było dziennikarstwo telewizyjne – długi plastikowy korytarz, jak mawiał Hunter S. Thompson – a ja biegałem po tym korytarzu i sikałem na dywan.

Pomyślałem o debacie Kennedy’ego i Nixona z 1960 roku: od dwóch mężczyzn, którzy z całych sił bronili się przed makijażem, doszliśmy do dziesięciu facetów wymalowanych bardziej niż ich rywalka. Zamiast dwóch krzeseł i szarego tła mieliśmy teraz hollywoodzką scenę w kolorze pigułki na twardego pindola i srebrny samolot odrzutowy. Amerykanie wiedzieli, jakie czasy nadeszły, i wydawało mi się, że robię dokładnie to, co trzeba.

Nie wiem, czy to pląsy w spin roomie przegięły pałę. Kto wie, może i tak, chociaż równie dobrze mogło chodzić o Nowy Jork. Kilka tygodni wcześniej zrobiliśmy materiał o pozornej degrengoladzie tego miasta. Podobnie jak w wielu ośrodkach miejskich w Ameryce, odsetek zabójstw szedł w górę, a w publicznych fontannach kąpali się menele. Jednak na Wielkie Jabłko spadła dodatkowa plaga, mianowicie ludzie w kostiumach postaci z bajek i kobiety, które chodziły z cyckami na wierzchu po Times Square i pozowały do zdjęć za kasę. Zdarzało się, że policjanci aresztowali takiego Elmo czy Batmana za popychanie dzieci albo obmacywanie kobiet. Innym razem zatrzymywali którąś z lasek z obnażonym biustem za prostytucję. Jeśli wierzyć nagłówkom „New York Post”, niechybnie nadciągała apokalipsa.

Gołe baby!

Przeprowadzałem właśnie wywiad z dziewczynami z wywalonym cycem, przy czym sam też byłem goły do pasa, kiedy dostałem info, że Trump

zwołał konferencję prasową w Trump Tower zaledwie kilka przecznic dalej.

Zamierzał podpisać republikańską deklarację lojalnościową. Tym samym wszystkich siedemnastu pretendentów – w tym Trump – zgadzało się poprzeć kandydata, którego partia ostatecznie wyłoni. Żadnych kandydatów z zewnątrz. Jedna wielka szczęśliwa rodzina. To była oczywiście bzdura.

W polityce nikt nie dotrzymuje słowa. Ot, jeszcze jedna medialna akcja pod publiczkę. Z drugiej strony każde pojawienie się Trumpa zwiększało oglądalność. No to pojechaliśmy na Piątą Aleję.

Wszędzie było pełno ochrony. Roiło się od dziennikarzy, pół lobby było nimi zawalone. Nas nie było na liście. Żaden problem.

M E D I A – P R A S A – O F I C J A L N A L E G I T Y M A C J A R E P O RT E R S K A Zadziałało jak złoto. Przepuścili nas.

Czekaliśmy i czekaliśmy, aż media polityczne nagadają się wreszcie do woli o tej deklaracji. Potem Access Hollywood zapytał o rapera Kanye’ego Westa i jego groźby, że też będzie kandydował na prezydenta.

Don uwielbia Kanye’ego.

Ktoś inny zapytał o Toma Brady’ego, zawodnika New England Patriots, i skandal Deflategate w meczu play-off. Don z radością odpowiedział na pytania. Don uwielbiał Toma.

Potem wywołał mnie.

– A gołe kobiety na Times Square? – zapytałem. – Jakie jest pańskie zdanie?

Zmarszczył brew.

– Nie chcę o tym mówić – wymamrotał. – To nie wypada.

Dziennikarze zaśmiali się pod nosem.

Nie wypada? Centrum amerykańskiego miasta ogarniał chaos. Były zamieszki i marsze, a także bieda i menele w fontannach. Jak chcesz stanąć na czele kraju, to musisz wiedzieć, od czego zacząć. A zaczyna się od

sprawdzenia, co dzieje się za oknem. Nie wypada? Nie ma sprawy. Mnie pasuje.

Miałem w ręku czyste telewizyjne złoto. Miałem Amerykę owiniętą w baby z gołymi cyckami. Miałem Batmana wyzywającego je od prostytutek.

Miałem Trumpa Mandarynkę.

Góra zadzwoniła po emisji tego kawałka z Los Angeles. Kazali nie robić już nic o Trumpie. Żadnych pląsów po spin roomie. Szefom lokalnych stacji

w całym kraju się to nie podobało.

Skąd miałem wiedzieć, że powinienem był potraktować ten shitshow poważnie? Co z tłem w postaci gigantycznego fallusa z aluminium i senatorem wzrostu siedzącego psa, który grozi, że nakopie meksykańskiemu gangsterowi do dupy? Te wybory nie należały do Nowego Jorku, Los Angeles czy Waszyngtonu. Należały do nas, tu, w samym butwiejącym środku, w miejscu, którego najwyraźniej nie widać z korytarzy władzy na obu wybrzeżach ani kanionów pośród drapaczy chmur, zamieszkanych przez medialne elity. Te wybory nie należały do garniturów. Należały do flaneli.

Ale rozkaz to rozkaz, więc odesłali mnie z powrotem do niższej ligi. Od polityki krajowej byli poważni panowie i panie z telewizji.

Zadzwonili też do mnie z działu księgowości w sprawie wydatków w Nowym Jorku – nie podobał im się złożony przeze mnie w rozliczeniu delegacji rachunek za obiad, na który składało się dziewięć kufli piwa i talerz kalmarów.

Biję się w pierś. Starałem się wyjaśnić, że musieliśmy jakoś zmiękczyć alfonsa. Nasze źródła żądają drinków, nie zapiekanki z rigatoni. A piwo jest tańsze niż nowojorski rostbef, którego mogłem prawilnie zamówić.

Żadnego alkoholu, kropka, poinformowano mnie. Polityka firmy.

I tak dostałem szlaban do czasu, aż księgowość skończy sprawdzać moje

poprzednie rozliczenia delegacji. Koniec z podróżami. Koniec z Ameryką.

Można by pomyśleć, że włamałem się do komórki księcia Harry'ego.

Zaledwie kilka dni przed ogłoszeniem przez Trumpa jego kandydatury dogoniłem i przewróciłem dwudziestoletniego czarnego faceta, który nazywał

się Orlando Thomas. Chwilę wcześniej napadł na moją przyjaciółkę i ukradł

jej telefon komórkowy.

Z całej siły starałem się przyszpilić stukilowego faceta do chodnika na środku ruchliwego skrzyżowania w centrum miasta w godzinie szczytu.

Groził, że jak się wyrwie, to mnie zabije. Dopóki o tym nie wspomniał, taka opcja nie przeszła mi przez głowę.

Znajdowaliśmy się zaledwie trzy przecznice od komendy policji, ale musiało minąć prawie dwadzieścia minut, żeby przyjechał radiowóz.

Najwyraźniej w „nowym" Detroit ujęcie agresywnego bandziora, który właśnie rzucał się pośrodku dwukierunkowej ulicy, miało niski priorytet.

Po jakimś czasie agent FBI, który akurat niedaleko jadł obiad, podszedł do mnie z zaimprowizowanymi kajdankami z pary sznurowadeł. Szarpałem się z Thomasem, a jednocześnie zastanawiałem się, skąd agent wziął te sznurówki. Na nogach miał mokasyny.

Strasznie mnie to dotknęło, że mi groził śmiercią, więc obiecałem Thomasowi turnus w pierdlu. Miał na lewym przedramieniu tatuaż – kości do gry i płomienie.

– No to żeś se nagrabił, jebańcu – szepnąłem mu do ucha.

A teraz w sądzie rejonowym czekaliśmy na postawienie mu oficjalnych zarzutów. Ja jako świadek. On jako oskarżony. Koleś był recydywistą z trzema wyrokami za włamania, kradzież i rozboje, ale nigdy tak naprawdę za to wszystko nie odsiedział. W Detroit wymiar sprawiedliwości w sprawach

karnych działał jak drzwi obrotowe, więc zawsze kończyło się na zawiasach i kosztach sądowych. Nie płacił, naruszał warunki zawieszenia i szybko popełniał nowe przestępstwo, po czym znów dostawał zawiasy albo koszty sądowe. Tak to wygląda w Ameryce. W więzieniach i aresztach pełno było młodych czarnych mężczyzn. Brakowało miejsca dla niedoszłych morderców i przestępców posiadających nielegalną broń palną, a już tym bardziej dla

tego faceta. Właśnie dlatego takie zjebiszony jak Thomas spędzały najwyżej parę godzin w areszcie i mogły bezkarnie napadać na ludzi.

Ale nie tym razem. Nie po raz czwarty. Obiecałem to Thomasowi. Witamy w shitshow, synu.

Sędzia był całkiem spoko. Rozpoznał mnie z telewizji i życzył mi miłego dnia. A potem jego protokolant wyłonił się z gabinetu jak wysokiej klasy lokaj i przyniósł mu na tacy drożdżówkę i karafkę wody z lodem. Brakowało tylko białych rękawiczek.

Sędzia skinął w moją stronę głową i uśmiechnął się promiennie. Śmiało, pan się częstuje.

Miałem wrażenie, że wiedział, że ja wiem, że to on odpowiada za ostatnie zawiasy dla Thomasa, i nie chciał, żebym mu się dobrał do dupy i obsmarował go w wieczornych wiadomościach. Truskawkowe ciastko, którym machał mi przed nosem, zdawało się to potwierdzać.

– Panie LeDuff, może wody?

– Nie, dziękuję, proszę sądu.

– To może drożdżóweczkę? Naprawdę pyszna.

– Nie, dziękuję.

Siedzący na sali obywatele, pokonani przez gnuśną i często niesprawiedliwą biurokrację, nie mogli się nadziwić zaszczytom, jakie mnie tu spotykały. Im, rzecz jasna, nikt niczego nie zaproponował.

Tak naprawdę Motor City niewiele różniło się od Chicago, Baltimore czy Filadelfii. Wszyscy się skupiali na lśniących, nowych budynkach w centrum miasta, tymczasem pod nim sypały się fundamenty systemu obywatelskiego.

Thomas został skazany na trzy do piętnastu lat więzienia. Zanim go wyprowadzono, szarpał się ze strażnikami, wrzeszczał różne niepochlebne rzeczy o mojej mamie, a jednocześnie doradzał mi, żebym sam na sobie dokonał czynu lubieżnego. Śmiać mi się chciało, kiedy sobie wyobraziłem, jak mówi chłopakom spod celi, że dostał minimum trzy lata za fioletowy telefon komórkowy. Śmiałem się jeszcze, gdy wyszedłem z sądu.

Po drugiej stronie ulicy znajdowała się kupa gruzu za dwieście milionów dolarów, która miała być nowym kompleksem więziennym – przynajmniej dopóki kilka lat wcześniej osobiście nie ujawniłem, że to jedno wielkie bagno niekompetencji i kolesiostwa. Nie było projektu wykonawczego ani budżetu.

Było

natomiast

mnóstwo

pieniędzy

dla

dobrze

ustosunkowanych

republikańskich kontrahentów, którzy z kolei wsparli sporymi sumami demokratów we władzach hrabstwa, a ci przepchnęli ten niepotrzebny i kosztowny projekt. Kiedy to ujawniliśmy, budowa stanęła w miejscu.

To, co zostało – to, na co teraz patrzyłem – było śmiechu warte: korytarze donikąd, odsłonięte cele, chwasty, żwir i pył. Wyobraźcie sobie tylko, ile można było zrobić dla obywateli za dwieście milionów dolarów (plus

odsetki)?

Nikt nie poszedł do więzienia za ten skandal. Była właśnie pora lunchu i wyobrażałem sobie, jak każdy jedwabny garniturnik umoczony z ten śmierdzący układ je gdzieś stek i śmieje się nad kieliszkiem bordeaux.

Tymczasem ten chujek Orlando Thomas dostał kanapkę z mortadelą, kartonik mleka i bilet w jedną stronę do zakładu karnego.

Mosiężne jaja

Detroit

Zima

Leżałem w łóżku i przeglądałem coraz chudsze niedzielne wydanie gazety.

Gdzieś tam w środku była kolejna radosna opowieść o wyburzeniach w Detroit. Departament Skarbu USA miał przysłać ponad ćwierć miliarda dolarów, które zostały z federalnych dopłat do hipoteki przeznaczonych dla właścicieli nieruchomości, żeby miasto mogło zburzyć część z czterdziestu tysięcy opuszczonych domów.

Od czasu światowego załamania gospodarczego zaraza tocząca Detroit stała się sławna. Turyści zjeżdżali tu tłumnie, żeby na własne oczy zobaczyć jej ogrom. Dla tych, którzy żyli z nią na co dzień, zaraza była jak nowotwór niszczący ducha i zdrowie obywateli.

Z każdym kolejnym artykułem zmieniała się liczba wyburzonych domów.

Najpierw były to cztery tysiące, potem było już sześć tysięcy, a jeszcze później pięć tysięcy.

To mnie zaciekawiło. Zawodowo byłem przykuty i uziemiony w Detroit w stanie Michigan, więc postanowiłem pokopać trochę na własnym podwórku. Wykopałem arytmetyczną alchemię. W ponad połowie przypadków najniższy oferent nie dostał kontraktu, a cena wyburzeń spuchła o

pięćdziesiąt procent od kadencji poprzedniego burmistrza Dave’a Binga, byłego zawodnika NBA, którego lepiej znano ze wsadu do kosza niż kompetencji kierowniczych.

A któż taki sam przyznał, że to on stoi za pomysłem tego pierdolnika?

Burmistrz Mike Duggan.

W ogóle mnie to nie zaskoczyło. Obywatele tak naprawdę nie wiedzieli, kogo wybrali. Prasa, której uwagę pochłaniało bankructwo miasta, nigdy go porządnie nie sprawdziła. Ludzie nadal nazywali go DU-gan, chociaż jego nazwisko wymawiało się „DA-gan”, dokładnie tak samo, jak nazwisko

Patricka J. Duggana, sędziego sądu federalnego i przy okazji także ojca burmistrza. Kontakty Duggana seniora bez wątpienia pomogły ambitnemu synowi w karierze politycznej.

Fedzie śledzili każdy krok Mike’a Duggana. Jednak jemu wiecznie się udawało wybronić. Kiedy był zastępcą szefa hrabstwa, jego administracja zmagała się z oskarżeniami o łapówki i przydzielanie kontraktów z pominięciem przetargu na lotnisko Detroit Metropolitan. Jego zwierzchnik, szef hrabstwa Wayne Ed McNamara, zmarł w samym środku federalnego dochodzenia w sprawie lotniska, ale Duggan uniknął konsekwencji i był już wtedy prokuratorem okręgowym. Jednak nie na długo. Nieprawidłowości związane z finansowaniem kampanii, dochodzenie i kolejne kontrakty, na które nie rozpisano przetargów, mogły się przyczynić do jego rezygnacji z zajmowanego stanowiska przed upływem kadencji.

Następnie gubernator Jennifer Granholm (również produkt machiny McNamary) mianowała go na szefa zmagającego się z finansowymi problemami kompleksu Centrum Medycznego Detroit. Nie mając doświadczenia na stanowisku kierowniczym w szpitalu, Duggan zorganizował sprzedaż obiektu na rzecz prywatnej firmy medycznej, chociaż rząd federalny wcześniej zdążył jeszcze nałożyć grzywnę w wysokości trzydziestu milionów dolarów na kierowane przez niego centrum za oszustwa i łapówki. Mimo to Duggan, ten teflonowy gnom, przytulił odprawę w wysokości dwu milionów dolarów i ruszył dalej.

Detroit desperacko potrzebowało nowej szansy, a w porównaniu z przeciwnikiem, szeryfem Bennym Napoleonem – który sam był mocno umoczony w skandal z budową więzienia – Duggan wydawał się nieco mniej syfiasty.

A teraz znowu – kolejne problemy z pieniędzmi publicznymi.

Po moim pierwszym materiale na temat nieprawidłowości związanych z wyburzeniami Duggan urządził w radzie miasta imprezę z szykanami. Mnie nie zaprosił, ale i tak poszedłem. „Jegokscelencja” wyjaśnił radzie, że przekroczenie kosztów wynikało po prostu z inflacji i ceny dobrej, czystej ziemi do zasypania dziur po wyburzonych domach. Powiedział także, że problemy z programem rozdmuchały media – czyli ja – i kiedy przyjdę następnym razem, to on się mną osobiście zajmie.

Wtedy właśnie zadzwonił do mnie niejaki Barry Ellentuck, który pracował

jako szef robót rozbiórkowych za burmistrza Binga. Ellentuck, niski, łysy

ciężarowiec z New Jersey, został zatrudniony przez stan Michigan do monitorowania federalnych funduszy, które szły do miasta Detroit i do Duggana. Powiedział mi, że ma informacje, które mogą mnie zainteresować.

Spotkaliśmy się w wilgotnym garażu, w zapadłym zakątku miasta, gdzie nikt nie kosił trawy ani nie łatał dziur w ulicach. Ellentuck wręczył mi pendrive, który zawierał mnóstwo dokumentów i mejli. Wynikało z nich coś, co wyglądało na zmowę i ustalanie cen między niewielką grupą kontrahentów a osobiście dobranymi przez burmistrza dyrektorami.

Zadzwoniłem do burmistrza i kilka dni później zostałem wezwany do jego biura. Położyłem dokumenty na stole konferencyjnym, a Duggan, o dziwo, przyznał się – i to przed kamerą – że rzeczywiście poinstruował swoich ludzi, aby negocjowali ustaloną cenę z wyselekcjonowaną grupą kontrahentów, z których wielu wpłacało spore kwoty na jego kampanię. Ostatecznie ci wyselekcjonowani i dysponujący poufnymi informacjami wykonawcy wygrywali zlecenia po zawyżonych cenach, które sami ustalili.

Łapownictwo jest powszechne w całej Ameryce. Pamiętajmy, że burmistrz Nowego Orleanu poszedł do więzienia za przywłaszczenie sobie funduszy pomocowych dla ofiar huraganu Katrina. Pamiętajmy, że czterech z siedmiu byłych gubernatorów stanu Illinois skazano na karę więzienia za korupcję. Pamiętajmy, że w Albany w stanie Nowy Jork parlament stanowy nieustannie wysrywał polityczne bobki, a liderzy zarówno niższej, jak i wyższej izby dopiero co usłyszeli wyroki więzienia za korupcję.

(Jeden wyrok skazujący został później anulowany, a drugi unieważniony).

Ale Detroit było wyjątkowe. Może i brakowało mi obiektywizmu, bo to przecież moje rodzinne miasto. A może byłem wściekły, bo Motor City stało na skraju przepaści, tymczasem rząd federalny wysyłał pieniądze, które mogły zmienić życie ludzi, na wyburzenie dzielnic zamieszkanych przez najuboższe dzieci w Ameryce Północnej: dzieci, które codziennie bawiły się w cuchnących stertach gnijących zasobów mieszkaniowych. Warto pamiętać, że były burmistrz Kwame Kilpatrick odsiadywał niemal trzydziestoletni wyrok w federalnym pierdlu, między innymi za kombinowanie przy kontraktach. Kilpatrick nie był nawet pierwszym burmistrzem Detroit, który trafił do więzienia. Przypomniałem o tym wszystkim Dugganowi.

Zareagował jak osaczony szczur. Warczał, mówił, że to wszystko kłamstwo. Syczał i przez kolejne kilka tygodni wielokrotnie groził, że poda mnie do sądu o zniesławienie, bo nazwałem powołanych przez niego

kierowników rozbiórek „przepłacanymi sługusami”, którzy „nie potrafią zarządzać nawet sklepem z cukierkami”. Zwinął się w kulkę i udawał trupa –

odmawiał mi dalszych wywiadów i żądał, żeby wszystkie pytania przedstawić mu na piśmie. Ratusz wyśmiewał się ze mnie na Facebooku i oficjalnej stronie internetowej miasta. Zasadniczo burmistrz Detroit odstawił Trumpa, zanim sam Trump odstawił Trumpa, a moi szefowie się zaniepokoili. *Fake news!*

Na kolejny lunch z „jegokscelencją” raczej nie miałem co liczyć.

Ellentuck zadzwonił do mnie kilka dni po emisji jednego z programów i

powiedział, że skontaktował się z nim reporter z organizacji Free Press i chce zobaczyć te mejle na własne oczy.

– Co mam zrobić?

– Daj mu wszystko, co masz – powiedziałem.

Zazwyczaj to telewizja żeruje na pracy dziennikarzy prasowych, bez zająknięcia o ich wkładzie. Myślałem, że robię swojej firmę przysługę, że to dobrze, że konkurencja sprawdzi tę historię, bo nikt inny w lokalnej prasie nie chciał jej tknąć. Nikt się nie palił, żeby nasrać na Detroit. Nie pasowało to do narracji o Mieście Wielkiego Powrotu.

Ale czy to rzeczywiście był powrót? W dzielnicach, w których mieszkali czarni, bezrobocie było zbyt wysokie, a wartość nieruchomości zbyt niska.

Fala brutalnych przestępstw narastała. Tysiące rodzin wyrzucono z domów z powodu zaległości podatkowych. Zbieracze złomu obrali te budynki do czysta ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, a na listach rozbiórkowych pojawiały się kolejne adresy. No i oczywiście stawki za wyburzenia sięgnęły zenitu, więc dzielnice ledwo zipały.

– Daj temu dziennikarzowi dokumenty, które mi pokazałeś –

powiedziałem Ellentuckowi – bo jeśli to się potoczy tak, jak myślę, to kolejny burmistrz Detroit zostanie albo przynajmniej może zostać postawiony w stan oskarżenia.

Mniej więcej miesiąc później Free Press opublikowało tekst: *Urzędnicy miejscy i wyselekcjonowane firmy ustawiały kontrakty na ogromny projekt przed przetargiem*.

Ellentuck miał jaja z mosiądzu, ale nawet mosiężne jaja może zgnieść moc i ciężar machiny. Nazajutrz po tekście w gazecie prokurator generalny stanu Michigan zareagował jak błyskawica – oskarżył Ellentucka o oszustwo

i próbę wyłudzenia sześciu tysięcy dolarów z miejskiego funduszu na

program rozbiórek.

Nieważne, że miliony federalnych dolarów wyparowały bez śladu. Albo że powietrze, którym oddychały dzieci, było zatrute azbestem i ołowiem w wyniku nieprawidłowo prowadzonych wyburzeń. Prokurator nie oskarżył burmistrza. Konsekwencje miał ponieść ten, kto ujawnił cały ten burdel.

Na kilometr cuchnęło od tego politycznym morderstwem na zlecenie.

Wezwano mnie do biura szefa. Miał wyraz twarzy kogoś, kto właśnie łyknął zjełczałego mleka. Nic dziwnego. Dostał radosnego mejla od prawnika Duggana po ogłoszeniu zarzutów postawionych Ellentuckowi – ponawiał w nim żądanie odwołania oskarżeń i przeprosin za zniesławienie. Jak daleko sięgały macki burmistrza?

– Odpuścimy na razie burmistrzowi – powiedział szef. Trudno go za to winić. Kto to słyszał, żeby urzędnik publiczny pozwał prasę za to, że mu się dobrała do dupska? To było oburzające. To było niezgodne z konstytucją.

I działało.

Dziesięć miesięcy później burmistrz zwołał konferencję prasową, na której przyznał, że jego sługusy nie potrafią zarządzać sklepem z cukierkami.

Najnowocześniejszy program wyburzeń, o którym tak głośno trąbił, został po cichutku zamknięty przez władze federalne na dwa miesiące, podczas których śledczy odkryli „niewłaściwie zafakturowane” miliony federalnych dolarów.

Wszystko to nadzorowały sługusy. Sam burmistrz był zszokowany!

Zszokowany, kiedy usłyszał o ich ciemnych sprawkach. Ogłosił, że jeden sługus złożył rezygnację. Ten sam sługus powiedział mi później, że został zwolniony. Powiedział też, że dostawał bezpośrednie rozkazy od burmistrza.

2 0 1 6

Żółta woda

Flint, Michigan

Zima

Osiedle przyczep Kirkwood było teraz miastem duchów. Ruchome domy stały puste. Okna i drzwi pod numerem 1521 były otwarte na oścież, a firanki powiewały na wietrze. Przed numerem 1500 leżały gnijąca kupa dobytku poprzedniego najemcy oraz martwy pies w plastikowej torbie. Zbieracze złomu oskubali przyczepę spod numeru 1420 z aluminiowego sidingu i teraz wszystkie bebechy i izolacja były na wierzchu, przypominając gigantyczną belę siana. Pod spodem siedział dziki kot. Osiedle przyczep zostało zajęte przez komornika z powodu zaległości podatkowych i zamknięte, a ludzie wyrzuceni na bruk. Kiedy nawet osiedle przyczep się zamyka, to wiesz, że już po tobie.

Miałem zakaz podróży po kraju, drażnienia Pomarańczowego Dona i kopania Białego Mike'a, wróciłem więc do Flint, żeby poszukać czerwonozębych ludzi, którzy półtora roku temu mieszali wodę z kranu z kool-aidem i białym cukrem, bo inaczej nie dało się jej pić. Władze wszelkich szczebli zapewniały ich, że pomimo zapachu i pewnych wad

„kosmetycznych" woda pobierana wówczas z rzeki Flint nadawała się do spożycia.

Okazało się, że to wierutne kłamstwo. Władze wiedziały o tym od jakiegoś czasu i teraz gubernator musiał się do tego przyznać: Flint i jego dzieci zostały zatrute. Szczęśliwego Nowego Roku, Samochodowe Miasto.

Gdzie się podziałaś, Dee Johnson?

Według szacunków nieoczyszczona woda rzeczna spowodowała korozję od piętnastu do dwudziestu tysięcy linii wodociągowych, przez co toksyczny ołów trafiał do kranówki. Problem żółtej wody dojrzewał przez dwa lata.

Państwo i władze lokalne tuszowały wyniki testów, które wykazały zatrucie

ołowiem. Rezultaty badań zaczęły jednak wyciekać. Również miejscowy

lekarz stwierdził u dzieci ołowicę. Potrzebna była telewizja kablowa, żeby naród się tym zainteresował. Tak więc punkt dla telewizji.

Ołów nie był najgorszy. Wybuch epidemii choroby legionistów łączonej z zanieczyszczoną wodą zabił co najmniej kilkanaście osób w hrabstwie, a łączna liczba zarażonych sięgała setki. Okazało się, że stan też o tym wiedział. Miasto wiedziało. Hrabstwo wiedziało. Rząd federalny wiedział.

Ale nikt nie powiedział ludziom. Dlaczego?

W grę wchodziły duże pieniądze. A jeśli jesteście ciekawi, co dzieje się z sygnalistą, który wchodzi ze swoimi zasadami między pieniądze a politykę, wystarczy spojrzeć na przekręt z wyburzeniami w Detroit i los Barry’ego Ellentucka. Sygnalistów się miażdży. Biurokraci z gębami na kłódkę pracują dalej.

Co gorsza we Flint bakterie *Legionella* mogły ciągle siedzieć w rurach i grzejnikach gorącej wody i tylko czekały, aż się ociepli, żeby zacząć się mnożyć jak gady w ściekach. Ludzie w tym jałowym mieście liczącym dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy mieszkańców, około godziny jazdy na północ od Detroit, byli przerażeni. A rząd nic im nie powiedział.

Było mi wstyd. Mattowi też. Zdawaliśmy sobie sprawę z problemów z wodą w Flint. Widzieliśmy to w zębach dzieci zabarwionych kool-aidem.

Nic nie zrobiliśmy w tej sprawie. Żadnego dziennikarskiego śledztwa.

Żadnego materiału. Zamiast tego piliśmy piwo, jedliśmy kalmary i biegaliśmy po kraju, kręcąc programy o ciężkim losie innych i ignorując cierpienia własnych sąsiadów. A teraz, gdy wróciliśmy po nich do osiedla przyczep, ich już tam nie było.

Odeszli, a urzędnicy odpowiedzialni za ich zdrowie pochowali się pod biurkami.

Miejski inspektor do spraw instalacji wodno-kanalizacyjnej w zakładzie wodociągowym nie odbierał telefonu.

Naczelnik hrabstwa do spraw zdrowia nie otwierał nam drzwi.

Nowa burmistrzyni, której katastrofa zdrowia publicznego przyniosła sławę, nie miała czasu na rozmowy z lokalną prasą, bo była zajęta spotkaniami z kolejnymi gwiazdami z Hollywood, które przyjeżdżały na jeden dzień odegrać dobroczynnych zbawicieli.

Biuro firmy, która dostała miliony dolarów, żeby sprawdzić, czy woda jest bezpieczna, stało puste, a jedyny ślad dawnego życia stanowiła brązowa paprotka zwisająca z sufitu.

Republikański gubernator Rick Snyder udzielił mi przynajmniej wywiadu, w którym ze łzami w oczach brał na siebie winę, zapewniając jednocześnie obywateli, że wody można teraz bezpiecznie używać do mycia i że on sam wykąpałby w niej własne wnuki. Niestety gubernator zapomniał nadmienić, że nie ma wnuków. Obiecał również, że przez trzydzieści dni będzie pił

przefiltrowaną wodę z kranu, ale już po pięciu dniach nasz nieustraszony przywódca wsiadł do odrzutowca i poleciał do Niemiec.

Ironię sytuacji doceniła Tia Simpson, trzydziestojednoletnia operatorka maszyn, która musiała wysłać swoją dwunastoletnią córkę Anyję do rodziny, gdy zaczęły jej dokuczać tajemnicze wysypki i drętwienie kończyn.

Państwowi inspektorzy zdrowia poinstruowali bary i restauracje we Flint, żeby nie robić lodu z wody miejskiej ani nie płukać nią sałaty. A dzieci i wnuki? Je można śmiało płukać, oświadczył gubernator.

– Jakbyśmy byli trędowaci – powiedziała Simpson w swoim domu, pokazując mi brązową wodę tryskającą z baterii łazienkowej. – Nikt nie chce cię tknąć, uważają, że możesz ich zarazić, bo jesteś z Flint. Zresztą to całkiem możliwe. Kto wie? Mają nas w dupie, bo jesteśmy biedni.

Przez osiemnaście miesięcy ludzie pili niefiltrowaną wodę, kąpali się w niej,

po czym umierali. Nikt im nic nie powiedział. Urzędnicy stanowi nie pili jej, tylko zamawiali po cichu wodę w butelkach. Wysypki i zmiany skórne były najwyraźniej dziełem wyobraźni. Kiedy na światło dzienne wypłynął raport amerykańskiej Agencji Ochrony Środowiska, w którym była mowa o niebezpiecznym poziomie ołowiu w wodzie we Flint, rzecznik stanu wszystkiemu zaprzeczył i powiedział obywatelom, żeby się „nie stresowali".

Teraz pracuje w firmie lobbingowej w stolicy stanu.

Wreszcie wyciekło tyle mejli i raportów, a wiadomości w telewizji kablowej przynajmniej raz na tydzień mówiły o burmistrzyni Flint, że gubernator był zmuszony ogłosić w mieście stan wyjątkowy.

Pierwsze miliony butelek czystej wody zaczęły napływać ze stanu. Przed budynkiem straży pożarnej, który służył jako centrum dystrybucji, ustawiły się kolejki samochodów, a na mroźnym powietrzu z ich rur wydechowych buchała para.

– Ej, to jakaś kpina – zawołał do mnie z samochodu czarny facet w średnim wieku. – Weź sam policz.

Policzyłem: milion butelek wody oznaczało czterdziestodwusekundowy prysznic dla każdego mieszkańca Flint albo niecały litr zupy w każdym

domu. To była katastrofa na niewiarygodną skalę, a władze zachowywały się jak mały chłopiec, który palcem próbuje zatkać dziurę w zaporze. Podła chciwość przeistoczyła się w coś, czemu niedaleko było do morderstwa. Flint było teraz jednym gigantycznym miejscem zbrodni.

Łatwo – zbyt łatwo – było po prostu obwiniać gubernatora Snydera za ten spowodowany przez człowieka kataklizm, choć faktem jest, że w dużej mierze wina spada na niego. To, do czego doszło we Flint, stanowiło konsekwencję jego książkowego stylu zarządzania, jego upartego przekonania, że możemy przekształcić rząd, skupiając się wspólnie na

„nieustającym pozytywnym działaniu", zapożyczonego z czasów, kiedy pracował w korporacji.

To Snyder odsunął burmistrzynię i członków rady miejskiej Flint od zarządzania i zastąpił ich korowodem zarządców kryzysowych, którzy sprawowali absolutną władzę nad finansami i decyzjami politycznymi miasta.

To właśnie zarządca kryzysowy wyznaczony przez Snydera w ramach cięcia kosztów postanowił zrezygnować z systemu wodociągowego Detroit, a zamiast tego ciągnąć wodę z rzeki Flint, chociaż wiedziano o jej skażeniu.

Snyder wcześnie się dowiedział, że w wodzie jest syf. Wszyscy wiedzieli, że woda to syf. Były bakterie *E. coli* i metan, i informacje, żeby gotować, i tajemnicze wysypki. Urzędnicy z Michigan zaczęli po cichu zwozić oczyszczoną wodę do budynku administracji stanowej we Flint. Pół roku później kierownictwo General Motors zauważyło rdzewiejące części i wróciło do używania w fabryce wody z Detroit.

Rada miejska Flint wkrótce przegłosowała to samo, ale głosowanie miało czysto formalny charakter. Nie mogła już na nic wywrzeć żadnego realnego wpływu. Miastem administrowali zmieniający się jak w kalejdoskopie zarządcy – coś na kształt miejskiej linii autobusowej. Jerry Ambrose, czwarty w ciągu trzech lat zarządca kryzysowy we Flint, zawetował wniosek, określając go mianem finansowo „niezrozumiałego”.

Mówiąc uczciwie, we Flint od dawna różne rzeczy były finansowo niezrozumiałe. W 2002 roku, po trzech dziesięcioleciach stopniowego upadku przemysłu, wyczerpane miasto miało trzydzieści milionów dolarów deficytu operacyjnego. Burmistrz został odwołany, a ówczesna gubernator Jennifer Granholm mianowała – dobrze zgadliście – kryzysowego zarządcę finansowego. Budżet ostatecznie udało się dopiąć i władza wróciła do wybieranych w wyborach urzędników. Ale ci wybierani urzędnicy zrobili nową dziurę w budżecie, tym razem w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Nowy burmistrz, oskarżony o przekupstwo i kłamstwo w sprawie stanu finansów miasta, zrezygnował „ze względów zdrowotnych”. I tu wchodzi Snyder ze swoją bandą liczykrupów.

Cały czas wydawało się, że wodociągi z Detroit skubią Flint i naliczają jednemu z najbiedniejszych miast w Stanach Zjednoczonych najwyższe

stawki za wodę w kraju, i to w stanie otoczonym jednym z największych na świecie zbiorników słodkiej wody.

Tak więc w 2013 roku przywódcy Flint doprowadzili do budowy własnego systemu wodociągowego o wartości trzystu milionów dolarów, działającego równolegle z systemem Detroit. Nie było takiej potrzeby – woda z Detroit była czysta, choć za droga. Ale pomyślcie o pracy! Pomyślcie o pieniądzach! Pomyślcie o wsparciu politycznym! Na problemach getta można zbić miliony. Pomyślcie o na wpół skończonym więzieniu w Detroit czy o tamtejszym programie wyburzeń.

Chciała tego Izba Handlowa. Chciały tego związki zawodowe. Chcieli tego lokalni wykonawcy. Rada miejska zatwierdziła pomysł. Tak samo burmistrz. A ludzie gubernatora podpisali się pod nowym, mającym kosztować grube miliony systemem wodociągowym, chociaż Miasto Samochodów było spłukane.

Kto podjął ostateczną decyzję? Do tej pory nikt na żadnym stanowisku władzy nie przyjął na siebie pełnej odpowiedzialności, bo wampiryczny płaszcz biurokracji osłania każdego krwiopijcę przed światłem.

Odwiedziłem jednego z architektów planu – Jeffa Wrighta, komisarza do spraw kanalizacji w hrabstwie. Wright, żylasty facet z przylizanymi włosami i cienkim wąsikiem, był informatorem FBI w czasach skandalu wodnego za administracji Kilpatricka w Detroit w poprzednim dziesięcioleciu. Dotarłem do dokumentów, według których komisarz zebrał też wówczas blisko milion dolarów w ramach wpłat na kampanię, chociaż w zasadzie nie miał

konkurentów do urzędu. Wiele tych wpłat pochodziło od wykonawców, którym przyznano kontrakty przy nowym systemie wodociągowym, w tym od zaginionej w akcji firmy z umierającą paprotką zwisającą z sufitu oraz od firmy inżynieryjnej odpowiedzialnej za projekt również niedokończonego więzienia hrabstwa Wayne.

Powiedziałem Wrightowi, że wszystko to wygląda jakoś podejrzanie

swojsko. Zwrócił mi uwagę, że przy każdym kontrakcie był rozpisywany

przetarg. Tak jak Detroit, powiedział. Wszystko było całkowicie legalne, poza jego kontrolą, a na dłuższą metę projekt pozwoli ludziom zaoszczędzić sporo pieniędzy.

Jakoś nie bardzo chciało mi się w to wierzyć. Flint było zatrute. Facet był

kapusiem FBI. W Detroit rzeczywiście ogłaszano przetargi, ale burmistrz siedział w więzieniu. Dodajmy jeszcze, że Wright pił wodę z butelki.

Z czego zatem miasto Flint miało zapłacić za zbędną i niepotrzebną infrastrukturę, skoro nie miało pieniędzy? To proste – tu jest Ameryka.

Pożycz pieniądze. Następnie podnieś ludziom ceny i bierz od nich jeszcze więcej za zanieczyszczoną wodę z rzeki Flint niż za czystą wodę z Detroit.

Oszczędności miasta zostałyby wykorzystane na modernizację przestarzałej oczyszczalni ścieków Flint.

Jest tylko jeden mały problem – nie przeprowadzono niezbędnych modernizacji starej stacji uzdatniania, a ludzie dostali wodę wprost z rzeki znanej jako składowisko truposzy i akumulatorów samochodowych. To było jak przelot odrzutowcem bez silnika.

Powtórzmy: w 2013 roku Flint zdecydowało się na budowę własnego systemu wodociągowego, ponieważ cenę wody z Detroit uznano za zbyt wysoką. Jednocześnie podczas budowy nowego systemu miasto miało pobierać wodę z rzeki Flint i ją uzdatniać. Po zakończeniu projektu w 2016

roku mieli przejść na ten nowy system. Miało być tak pięknie, dopóki ludzie się nie zatruli.

Po osiemnastu miesiącach zaprzeczeń biurokratów Snydera i przy konsternacji architektów równoległego systemu z Flint, miasto zostało ostatecznie zmuszone do powrotu do wodociągów z Detroit. Tia Simpson ciągle dostawała rachunki za wodę, której nie mogła pić. No pewnie, że dostawała.

Kryzys wodny we Flint jest symbolem, który odbił się echem w całej Ameryce – ale symbolem czego? Upadku klasy robotniczej? Lekceważenia czarnej większości? (Blisko sześćdziesiąt procent populacji we Flint stanowią czarni, a czterdzieści procent – biali). Rozbudowanej biurokracji? Dążenia do ograniczenia i prywatyzacji usług publicznych? Wzajemnych układów między kolesiami za pieniądze ludzi?

Czy Flint było wyjątkiem, czy też zapowiedzią amerykańskiej przyszłości jak z *Mad Maxa* – świata sypiących się dróg, bezrobocia i toksycznej wody?

Jedno było pewne: wściekłość mieszkańców Flint niewiele różniła się od wściekłości ludzi w innych częściach Ameryki; czuli, że tracą grunt pod nogami, że gra jest ustawiona przeciwko nim, że tych na górze to nie obchodzi.

– Przecież dobrze wiesz, że nas otruli i nabili sobie na tym kabzę –

powiedziała Simpson. – Wycisnęli z Flint ostatnie grosze i nie obchodzi ich, że jesteśmy chorzy, że nie możemy sprzedać naszych domów. Nie obchodzi ich, bo nie muszą się tym przejmować. Tak to wygląda, jak jesteś biedny.

Wróciliśmy do osiedla przyczep. Staliśmy tam w ponury zimowy dzień, w skażonym i umierającym mieście. Patrzyliśmy na truchło psa w opuszczonym parku, oskubanym z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Po drugiej stronie drogi znajduje się pole poprzemysłowe, na którym niegdyś stała jedna z największych fabryk na świecie. Stałem tam i zastanawiałem się, co się z nią stało, co się stało z ludźmi.

Burmistrz Detroit groził pozwem. Gubernator Michigan skarżył się za nazwanie go tchórzem. Nagle zdjęli mi szlaban. Ale teraz musiałem przestrzegać zasad przy rozliczaniu delegacji: żadnego piwa, żadnych bezpośrednich lotów, żadnych przekąsek i butelkowanej wody.

Siedziałem w swoim biurze na tyłach stacji, czułem się niczym złodziej i myślałem, jak nisko upadła branża medialna. Pomyślałem o Johnnym Apple'u, wybitnym dziennikarzu, którego poznałem w redakcji „New York Timesa". Apple raczej nie słynął z oszczędnego podejścia do firmowych

pieniędzy. To był prawdziwy Pavarotti rozliczeń, a jako korespondent kampanii prezydenckiej z 1968 roku na śniadanie jadał jajka w koszulce z kawiorem, bo załatwił sobie budżet bez limitu. Była taka słynna historia o tym, jak wysłany do Moskwy Apple zakupił sobie płaszcz futrzany na rachunek „Timesa". Zwierzchników zatkało. Odesłali mu rozliczenie delegacji i poinstruowali, żeby zrobił nowy raport wydatków. Ku ich wielkiej konsternacji Apple przedłożył poprawiony dokument z dopiskiem: „To teraz znajdźcie te norki".

Pomyślałem o historiach, które opowiadali mi wieloletni prezenterzy wiadomości, o tym, jak po ostatnim, wieczornym wydaniu programu zamawiali butelkę szkockiej i egzotyczną tancerkę albo dwie, żeby odreagować stres dnia. Pod stację podjeżdżała limuzyna, którą wracali do domu.

Co się stało? Jak to ujął mój stary znajomy po fachu, dzisiejsza branża informacyjna to jak impreza, na którą przychodzisz o pierwszej w nocy i widzisz, że wóda dawno się już skończyła. Presja akcjonariuszy i konkurencja ze strony internetu odarła ten zawód z wszelkiego prestiżu i z wigoru. Przynajmniej na naszym poziomie. Nawet jako korespondenci krajowi dla grupy telewizji lokalnej Foxa byliśmy niewiele lepsi od obwoźnych

sprzedawców

szczotek.

Równie

często

spaliśmy

w trzygwiazdkowych hotelach co w podrzędnych motelach, w których wszyscy ćpali biedadragi. Nie miałem pojęcia, dlaczego firma miała umowę z takimi przybytkami. Dziwki na rogu. Zombie na chodniku. Pokoje zapluskwione po sufit. Kiedyś w Mission District w San Francisco uznałem, że nie ma sensu

prosić górę o zgodę na inne lokum, że szkoda na to czasu i pieniędzy, więc zacisnąłem zęby i po prostu owinąłem głowę ręcznikiem. Glacę mi to uratowało, ale moszny już nie.

Nie zajmuję się dziennikarstwem dla korzyści. Robię to dla przygody i z ciekawości oraz dla wolności od więziennej celi ośmiu dupogodzin. Żaden ze mnie Johnny Apple, poza tym ten stary wyjadacz pewnie skrzywiłby się z pogardą, gdyby zobaczył najbardziej rozbudowane rozliczenie wydatków, jakie kiedykolwiek przedłożyłem: dziewięć kufli piwa i talerz kalmarów.

Trzeba było trzech miesięcy, żeby gryzipiórki zdecydowały, że mam zwrócić kasę. Nieważne, że trzy miesiące temu sam im powiedziałem, że to zrobię.

Tak więc zdjęli nam szlaban i polecieliśmy do Oregonu z dwoma przesiadkami, żeby nakręcić materiał o zbrojnym przejęciu ptasiego rezerwatu. Bundy znowu szalał z pistoletem. Ryzykując jazdę w zamieci śnieżnej, żeby nie spóźnić się na przesiadkowy samolot, prawie spadliśmy ze zbocza góry, kiedy pękła opona w wypożyczonym samochodzie.

Później powiedzieli mi, że firma nie płaci również za pęknięte opony ani za pogrzeby.

Biały koń

Hrabstwo Harney, Oregon

Zima

W obozie powiało wonią spisku. Buda, szef ochrony, zniknął w środku nocy.

Uzbrojeni ochotnicy wymieniali między sobą ostrożne pomruki, a ja, czyli media, słuchałem każdego słowa.

– Szpicel – szeptano wokół ogniska.

Obcych sobie ludzi połączyła wspólna paranoja. Na wieży obserwacyjnej trzymała wartę całodobowa straż. W każdej chwili mogli wpaść tu uzbrojeni

w poufne informacje fedzie i od razu zacząć strzelać. Do patrolowania otwartej, białej przestrzeni bojówkarze potrzebowali drona. Rozpoznanie z powietrza było kwestią życia i śmierci.

Mogli złamać nasze zabezpieczenia.

Na pewno.

Bądź czujny, bracie.

Tajest.

Znowu byłem wśród ludzi Bundy'ego, ale nie szło tu tak dobrze, jak w Nevadzie. Poczucie celu zastąpiły niedostatki i paranoja.

Przez cały dzień wybuchały pyskówy, podczas których oskarżano się wzajemnie o donoszenie do FBI. Brakowało gaci, sera w plastrach i śmietanki do kawy, więc ochotnicy apelowali do zwolenników w całym kraju, żeby wysyłali im te artykuły pierwszej potrzeby na *poste restante* lub przywozili je bezpośrednio, a przy okazji także własną broń, do Krajowego Rezerwatu Przyrody w Malheur. Jeden z bojówkarzy ukradł pieniądze z datków zwolenników i pojechał w miasto zaszaleć.

Więc kiedy ci obcy, zmarznięci, niespokojni i zniecierpliwieni ludzie poprosili mnie o whiskey, nie miałem ich czym poczęstować, bo korpo nie pozwala na napoje wyskokowe. Poza tym i tak by to nie pomogło.

Ci samozwańczy patrioci, którzy początkowo przybyli do tego jałowego, pokrytego śniegiem zakątka Wybrzeża Północno--Zachodniego, żeby okazać wsparcie ranczerom skazanym na karę więzienia za wypalanie terenów federalnych, ostatecznie przejęli prawie dwieście tysięcy akrów ptasiego rezerwatu zarządzanego przez amerykańską agencję Fish and Wildlife Service, od… właściwie nikogo. Był sam środek zimy i sezon obserwacji ptaków dawno się skończył. A teraz tu utknęli i nie wiedzieli, jak wybrnąć z godnością.

Było to najnowsze posunięcie w wojnie terytorialnej prowadzonej przez

działaczy antyrządowych, kierujących się filozofią, zgodnie z którą Waszyngton nie ma prawa do posiadania żadnych ziem. Było tu bodaj ze czterdzieści osób obojga płci, ale wszyscy przyjechali uzbrojeni po zęby: pistolety, półautomatyczne karabiny, strzelby, krótkofalówki, lornetki.

Dziennikarze widzieli ich wezwanie do broni na Facebooku i stawili się tłumnie – do tego stopnia, że było ich więcej niż samych okupujących. Były wozy satelitarne i żurawie mikrofonowe, zestawy do makijażu i codzienne odprawy prasowe w południe. Odnosiłem w duchu wrażenie, że niejeden reporter po cichu liczył na kolejne Waco albo Ruby Ridge.

Jednocześnie był to powrót rancza Bundy’ego i impreza pożegnalna.

Okupacją przewodził Ammon Bundy, który zyskał na znaczeniu, gdy w 2014

roku poprowadził zbrojny wypad przeciwko agentom federalnym na ranczu ojca w Nevadzie.

Ale Ammon nie pochodził z Oregonu. Mieszkał na przedmieściach Phoenix. Nawet jego tata Cliven zastanawiał się głośno w radio, po jaką cholerę jego syn zajął ptaszarnię w Oregonie. Obrona własnego domu to jedno, najazd na miasto innego człowieka to coś zupełnie innego.

Niezależnie od tego, co mówił jego rodzony papa, Ammon wierzył, że prowadzi go Boski Ojciec, który w jego przekonaniu chciał, by ta ziemia pozostawała w dobrych rękach chrześcijańskiego ludu. Wielu członków starej ekipy, ośmielonych zwycięskim szturmem z Nevady, zgadzało się z nim w tej materii. LaVoy Finicum, rzecznik grupy, opatulony w niebieską płachtę, z karabinem u boku, rzucał wyzwanie, by ktoś – ktokolwiek –

spróbował tu przyjść i go aresztować. Był też Ryan Payne, napięty, ponury weteran wojny w Iraku i samozwańczy przywódca korpusu snajperskiego podczas konfrontacji na ranczo Bundy’ego.

No i Buda, znany też jako Brian Cavalier, szef ochrony, taki groźny

i tajemniczy podczas naszego pierwszego spotkania w Nevadzie. Coś mu się

stało. To już nie był ten sam chełpliwy wojownik – zahartowany w boju komandos weteran – którego poznałem na ranczu Bundy'ego. Być może sprawił to najnowszy artykuł pewnego przedsiębiorczego dziennikarza, który odkopał akta z kariery wojskowej Budy. Tak naprawdę nie było żadnej kariery wojskowej. Na jego kartotekę składały się wyroki za drobne kradzieże i jazdę po pijaku. Był oszustem.

A teraz Buda zniknął gdzieś w środku nocy – albo zdezerterował, albo prowadził jakieś tajne manewry. Ludzie przy ognisku uważali go za kapusia.

Moim zdaniem było mu po prostu wstyd. Nie był snajperem z oddziałów specjalnych; nie był nawet buddystą. Był po prostu ściemniaczem z nadwagą i kiepskimi dziarami, któremu słabo szło z ortografii.

W ekipie Bundy'ego pojawił się nowy człowiek: Jon Ritzheimer, gniewny, nerwowy były komandos z Arizony, z ogoloną na łyso głową.

Kręcił się wokół ogniska, cytował Thomasa Paine'a i wygłaszał wykłady o złowrogim, podstępnym spisku, którego celem jest wprowadzenie w Ameryce szariatu.

Ritzheimer, lat trzydzieści dwa, stał się swego rodzaju fenomen na YouTubie, gdy zamieścił tam film, w którym ze łzami w oczach przepraszał

córki, że nie było go z nimi w czasie Bożego Narodzenia, ponieważ bronił

w Oregonie Konstytucji Stanów Zjednoczonych przed wszystkimi wrogami –

tymi z zewnątrz i tymi w kraju. Było to prawdziwe arcydzieło kinematografii – kieszonkowe wydanie konstytucji, łzy, głębokie westchnienia i dramatyczne pauzy.

Ritzheimer nie po raz pierwszy zasłynął w mediach społecznościowych.

W przeszłości zamieszczał w internecie filmy, na których widać było, jak urządza zbrojne antyislamskie demonstracje przed meczetem w Phoenix. Na wiecu Trumpa w Mesie w stanie Arizona wydawał skatologiczne

antyislamskie

okrzyki,

gdy

Trump

zaproponował,

żeby

zakazać

muzułmanom wstępu do Ameryki. Kiedy indziej groził aresztowaniem senatora USA, który zagłosował za irańskim porozumieniem jądrowym. Jego dorobek obejmował jeszcze epizody w CNN i „The Today Show”, gdzie pokazano, jak jeździ po Ameryce, wymachując pistoletem i pozuje do zdjęć przed meczetami.

Ritzheimer nadal wrzucał do sieci filmiki z oregońskiej okupacji, w tym jedną wściekłą tyradę przeciwko żartownisiom, którzy wysłali mu worek

żelków w kształcie penisa zamiast sera w plasterkach, o który prosił.

Moim zdaniem federalni musieli zdać sobie sprawę, że Ritzheimer to wymachujący bronią, wiecznie zbakany, samozwańczy ekspert w dziedzinie teologii, orzecznictwa konstytucyjnego i krajowej polityki zarządzania gruntami. Dodajmy do tego fakt, że Korpus Piechoty Morskiej wyszkolił

Ritzheimera do zabijania.

Ritzheimer był jednym z pierwszych, którzy odpowiedzieli na wezwanie Ammona Bundy’ego do federalnego rezerwatu. Bundy, który tymczasem wyhodował brodę i zamienił biały kapelusz na ciemny, domagał się, by rząd federalny oddał pod lokalną jurysdykcję nie tylko ptasi azyl, ale całą połowę zachodniej części Stanów Zjednoczonych, która pozostawała pod rządową kontrolą. Żądał również, żeby szeryf hrabstwa zapewnił ochronę miejscowym

ranczerom skazanych na karę więzienia za podpalanie gruntów publicznych.

Gdy szeryf odmówił, bojówkarze Bundy'ego ogłosili go wrogiem ludu.

Większość mieszkańców pobliskiego Burns od początku zachowywała ostrożność wobec obcych, ale teraz zaczął się prawdziwy gnój. Szkoły zostały zamknięte. Wzmocniono obecność policji, ponieważ uzbrojeni ideolodzy zaczepiali ludzi w sklepach spożywczych i na parkingach.

Nieznani mężczyźni z karabinami zbierali siew grupki pod siedzibą szeryfa i budynkiem sądu. Mieszkańcy zaczęli nosić własną broń. Wywieszono transparenty. Do okupantów skierowano list: „Wracajcie do domu".

Bojówkarze nie pytali Indian z plemienia Pajutów o zdanie. Gdyby zapytali, usłyszeliby to samo: „Wracajcie do domu".

Wówczas Ritzheimer, który zaskarbił sobie sympatię bojówkarzy, zgrabnie łącząc funkcję szefa ochrony i dostawcy kanapek, dowiedział się, że nie jest już tak mile widziany na miejscowej poczcie ani w pizzerii. Było potwornie zimno i coraz bardziej nudno. Jego dzieci zostały w domu. Żona wróciła do Phoenix i zarabiała na chleb, a on siedział tutaj, pobierał

wojskową rentę (zespół stresu pourazowego i rozwalony kręgosłup) i bronił

lokalsów, którzy nie chcieli jego pomocy. I to z tego powodu ominęły go święta Bożego Narodzenia, adwent i Dzień Martina Luthera Kinga.

Siedzieliśmy u niego ciężarówce, tej samej, w której sfilmował swój łzawy bożonarodzeniowy przekaz, z włączonym na maksa grzaniem.

– Tęsknię za dzieciakami – powiedział.

– To dlaczego nie wrócisz do domu?

– Mam tu powinność.

– Jaką powinność?

– Trzeba pomóc ludziom stawić czoła tyranii rządu federalnego.

– Ale ty nawet nie jesteś stąd, oni cię tu nie chcą.

– Nie mogę porzucić braci i sióstr.

– Dlaczego nie? Buda porzucił. Możesz pojechać do domu na mały urlop.

Ucałować dzieci. Zrobić sobie spóźnione święta. Jak zechcesz, to tu wrócisz.

– No może racja.

– Stary, oni cię tu nie chcą.

Wyglądał, jakby przydał mu się łyk czego mocniejszego, ale ja nie zamierzałem za to płacić. Zakaz firmy i w ogóle.

Dziwne czasy nastały w Ameryce, powiedział Matt w motelu. Widzieliśmy, jak imigranci przedzierają się przez granicę z Teksasem, żeby dostać się do kraju, który truje własnych obywateli i wyrzuca z należących do nich domów i farm. Neurotyczni, samozwańczy patrioci, tacy jak Ritzheimer, biegali w kółko i szukali jakiegoś celu, wypatrując wroga, który nie miał prawdziwej twarzy. Opowiadali nudne i często nieprawdziwe wojenne historie.

Przerzucali się urywkami wyrwanych z kontekstu cytatów z konstytucji.

Mruczeli pod nosem wokół ogniska o tajnych projektach rządu, by zabrać ludziom broń i siłą przesiedlać obywateli do miasta. Było zimno, skończyły im się skarpetki i krem do rąk.

Nie było wątpliwości, że ci ludzie o wąskich horyzontach i przerośniętym ego są niebezpieczni. Połowa była spłukana i poza ogłoszeniem upadłości i komornikiem miała niewiele perspektyw na przyszłość. Być może wśród nich znajdował się jeszcze jeden Timothy McVeigh. Może siedziałem z nim w ciężarówce albo przy ognisku.

Obłąkaną przemoc można znaleźć w każdym zakątku Ameryki.

Wprawdzie wściekłość i nieufność wobec rządu federalnego są na Zachodzie bardzo realne, ale ta zbieranina nie wyglądała mi na awangardę brutalnej

„białej” rewolucji, nie bardziej niż Ku Klux Klan w Karolinie. Były to na wpół ugotowane kartofle usadowione wokół ogniska opalanego skradzionym drewnem. Ale można było z nich ukręcić kawał naprawdę dobrej telewizji.

Nie wiem, czy przyczyniły się do tego moje rady, ale niecałe dwa tygodnie później Ritzheimer pojechał do domu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy upokorzony Buda chyłkiem wrócił do obozu. Johnny miał

wyczucie czasu. Buda nie. W dniu wyjazdu Ritzheimera rządowy szpieg,

który przeniknął do najbliższego otoczenia przywódców ekipy z rezerwatu, poinformował federalnych, że Bundy, Buda i Finicum wsiedli w dwie ciężarówki i odjechali. Wszyscy zostali aresztowany na blokadzie zorganizowanej na wiejskiej drodze – z wyjątkiem LaVoya Finicuma owiniętego plandeką, który wyskoczył ze swojego samochodu, krzycząc:

„Żywy nie dam się zgarnąć!”.

Policjanci usłuchali i zastrzelili go na miejscu.

LaVoy Finicum dosłownie sam się o to prosił, więc LaVoy Finicum dostał, czego chciał.

Po jego śmierci z rąk organów ścigania paru jego zwolenników próbowało rozpropagować hasło „White Lives Matter”, ale to właściwie tyle.

Większość ludzi wie, że jeśli rzucasz się na blokadę policyjną z naładowanym rugerem w kieszeni, to nie skończy się to dla ciebie dobrze.

Finicum był egzotycznym białym człowiekiem, elektryzującym wyjątkiem, skrajnym przypadkiem, który sam sprowadził na siebie śmierć, po części przez własne parcie na szkło. Ale co z innymi, którzy nie zwracają na siebie uwagi mediów, tymi, którzy giną w kanałach i zaułkach w podejrzanych okolicznościach, bez widowni złożonej z armii zawodowych gapiów?

Odkąd w Ferguson zastrzelono Michaela Browna, redakcja „Washington Post” postanowiła odnotowywać każdy przypadek śmierci z rąk policjanta w Stanach Zjednoczonych oraz szczegółowe okoliczności tych zdarzeń.

Niewiele osób w mediach wiedziało wcześniej, że organy ścigania wcale nie są zobowiązane do zgłaszania FBI użycia siły ze skutkiem śmiertelnym.

Podobnie jak cała statystyka przestępczości, meldunki w tej kwestii są dobrowolne i – jak się można domyśleć – rzadkie. Analiza „Washington Post” wykazała, że śmiertelnych ofiar użycia siły przez policję jest w rzeczywistości o dwieście pięćdziesiąt procent więcej, niż wynika z oficjalnych raportów.

Kolejne ustalenia mogą was zaskoczyć. Zarówno w 2015, jak i 2016 roku z rąk policjantów zginęło około dwukrotnie więcej białych niż czarnych.

Wielokrotnie – jak w przypadku pijanego kierowcy w Tennessee zastrzelonego przez funkcjonariusza, który wskoczył na naczepę jego pikapa i władował mu kilka kulek przez tylne okno – kamery nagrały brutalny materiał wideo z wydarzenia, które powinno wzbudzić poważne wątpliwości co do zasadności użycia śmiertelnych w skutkach środków.

Gdzie więc były media?

Żeby była jasność – jakkolwiek by na to patrzeć albo to mierzyć, czarni w Ameryce mają najbardziej przejebane. Nie powinno to być dla nikogo

zaskoczeniem, że czarni, którzy stanowią jedną piątą populacji białych, są dwa i pół razy bardziej narażeni na śmierć z rąk policji.

Ale skąd te białe plamy w informacjach o białych ofiarach śmiertelnych?

Można by podejrzewać, że według statystyki przytłaczająca większość białych, którzy giną z rąk policji, pochodzi z gorszej części miasta: biedny biały chłopak, nieokrzesany, z brakami w uzębieniu i edukacji; chuligan, który się źle zachowuje, chodzi po barach i wdaje w bójki, ćpun, bezrobotny, może kiedyś był w wojsku, a może robił przekręty, produkt zdesperowanych

niższych klas.

Taki człowiek ma niewielu przyjaciół w świecie mediów, ponieważ świat mediów zamieszkują biali ludzie z klasy wyższej, sami liberałowie popijający koktajle i dyskutujący o pojęciu białego przywileju. Elita medialna dobrze zna się na białym przywileju, jest bowiem jego ucieleśnieniem.

Przynajmniej kiedyś tak było.

Przekonali samych siebie, że udało im się przezwyciężyć ten autoparadoks. Dzięki edukacji, artykułom z opiniotwórczych czasopism dla intelektualistów, podróżom po świecie i psychoterapii biali liberałowie czują, że nie są już uprzywilejowani. Są samoświadomi, rozumieją świat, do wszystkiego doszli sami. Nie dadzą się zaprogramować. Przebudzili się.

W hierarchii amerykańskiego życia czarni są na dole, a biali na górze.

A zatem białe media są po stronie czarnego człowieka. W porządku, jasna sprawa, tyle że zdarza się to wyłącznie po katastrofie takiej jak Katrina czy Flint albo gdy policjant znowu kogoś zastrzeli.

A co z biednym białym człowiekiem? W oczach członków liberalnej białej elity, którzy wychowali się w komfortowych warunkach, ale wierzą, że wyszorowali się z nich do czysta, biały biedak jest nadal uprzywilejowany.

Skąd niby mieliby wiedzieć, jak jest naprawdę? W życiu nie byli u niego w domu, w jego barze na rogu, na jego strzelnicy. W ich oczach jest prymitywnym, nudnym rasistą, a próba zajrzenia nieco głębiej to po prostu zbędna fatyga. Do tego zdają się myśleć, że ten gatunek występuje jedynie w rejonie Appalachów, a przecież on mieszka tuż pod ich nosem, od Bostonu po Bakersfield.

Kiedy więc ci biali ludzie giną z rąk przedstawicieli organów ścigania, to liberalne białe media uznają jednogłośnie, że widocznie sobie na to zasłużyli.

W końcu jedynym powodem, dla którego czarni są na celowniku, jest ich kolor skóry. Co niby mógłby mieć na swoją obronę biały? Policja nie zabija

białych, bo cieszą się tymi wszystkimi przywilejami, chyba że sami się o to proszą.

Czarne elity medialne przyłączają się do tego – a raczej odwracają głowy – bo i one rzadko mają kontakt z białą klasą niższą. Jedyne, na czym im zależy, to wiarygodność w obrębie zmagającej się z problemami czarnej społeczności, do której już nie należą, o ile w ogóle kiedykolwiek należeli.

Badania pokazują to, co powinniście już sami wiedzieć – bez względu na rasę ludzie są tym bardziej agresywni, im są biedniejsi. Im bardziej są agresywni i biedni, tym bardziej prawdopodobne, że będą mieli do czynienia z policjantami.

W Ameryce istnieje problem klasowy, ale media najwyraźniej ze wszystkich sił starają się widzieć tylko stereotypy i odcień skóry.

Zdychaj, białasie

Garbutt, Nowy Jork

Wiosna

Wraz z przyjściem wiosny elita białego republikańskiego establishmentu została poinformowana, że czeka ją rozwód. Ich współmałżonek – biali członkowie z klasy robotniczej – zorientował się, że go okłamano, i postanowił odejść.

Teraz ci ludzie stali murem za Trumpem, a jego nominacja była dla nich formalnością. Biały establishment zareagował niczym zdradzony kochanek: szydził, wyśmiewał i strzelał fochy. Życzył draniowi, żeby zdechł.

Usiłując wyjaśnić populistyczny powab Trumpa, dwaj konserwatywni publicyści z prestiżowych konserwatywnych czasopism ostro pojeździli sobie po Mike’u, wyimaginowanym białym facecie z klasy robotniczej, którego sklecili z rozmaitych stereotypów i klisz.

Mityczny Mike mieszkał w prawdziwym przysiółku klasy robotniczej w

Garbutt, położonym na północy stanu Nowy Jork, około trzydziestu kilometrów na południe od Rochester. Opisano go jako uzależnionego od opioidów, żulowatego ojca, który naciąga Wuja Sama na zapomogi. Mike, jak argumentował jeden z autorów, musi wynająć firmę przeprowadzkową i przenieść się na pola naftowe, gdzie jest praca.

„Prawda o tych dysfunkcyjnych , upadających społecznościach jest taka, że zasługują na śmierć. Ekonomicznie rzecz biorąc, są to aktywa ujemne.

Z moralnego punktu widzenia nie da się ich obronić”.

Należy podkreślić, że antropolog, który to napisał, dorabiał sobie jako manhattański krytyk teatralny. Trzeba również zauważyć, że zarówno Manhattan, jak i Garbutt znajdują się w stanie Nowy Jork. Gdyby temu człowiekowi naprawdę zależało, mógłby wsiąść w pociąg do Garbutt, żeby zobaczyć to wszystko na własne oczy. Ale nie chciał. Senator Rand Paul

przynajmniej przejechał przez dym Baltimore, nawet jeśli ani razu nie wyjrzał za okno.

Pojechaliśmy więc do Garbutt w poszukiwaniu prawdziwego Mike’a.

Wyobraźcie sobie tylko. Polowanie na prawdziwego białasa z klasy robotniczej, co według definicji oznaczało człowieka bez studiów wyższych.

Wiedziałem, że nie będzie to trudne, bo tacy stanowili połowę członków Partii Republikańskiej i czterdzieści procent mieszkańców kraju. Garbutt to jedno z tych zadupi, gdzie diabeł mówi dobranoc: znak stopu, parę domów z obłażącą farbą, rzeka, tory kolejowe i zamknięta kopalnia gipsu.

Miasteczko jest tak małe, że nigdzie nie ma danych na temat jego populacji.

Ludzie pracują lub pracowali w fabrykach w Rochester i okolicach.

Zapukaliśmy do paru domów, ale szybko dotarło do nas, że w Garbutt nie ma żadnego Mike’a. Ostatni Mike wyjechał jakiś czas temu. Jego syn Kevin nadal tu mieszkał. Ale Mike’a od dawna nie było.

Pięćdziesięcioletni Kevin Carey, prosty facet, był zatrudniony jako pielęgniarz w miejscowym szpitalu i właśnie sprzątał w domu przed wyjściem do pracy. Dom był zwyczajny, brakowało w nim kobiecej ręki, ale lodówka i toaleta były czyste. Żona Kevina odeszła jakiś czas temu, a on samodzielnie wychowywał synka od niemowlęctwa. Nie pobierał żadnych rządowych zapomóg ani pieniędzy z funduszu alimentacyjnego, nie brał

narkotyków ani nie miał w zwyczaju celować do policjantów z broni. Nawet nie trzymał piwa w lodówce.

Oprócz pełnego etatu w szpitalu Carey brał dodatkowo prywatne dyżury pielęgniarskie. Ale i tak nie zarabiał tyle, co w Delco, kiedy pracował na linii produkcyjnej i składał napęd do wycieraczek samochodowych. To właśnie robili zarówno obaj dziadkowie Careya, jak i jego ojciec, ostatni Mike z Garbutt. I to właśnie zrobił Carey jeszcze siedem lat temu, zanim firma nie została sprzedana, a miejsca pracy przeniesione do Meksyku. Podobnie było w całym stanie Nowy Jork. W konsekwencji międzynarodowych umów handlowych firmy przeniosły setki tysięcy dobrze płatnych miejsc pracy w fabrykach za granicę: Bausch & Lomb, Kodak, Corning, Xerox.

Carey jeździł wysłużonym samochodem, a jego dom prosił się o remont.

Ale to były luksusy. Tymczasem Junior potrzebował nowych butów do biegania.

Dzieciaki w szkole dziwiły się, gdy Junior po maturze powiedział, że chce wstąpić do wojska.

– Chcę służyć swojemu krajowi – ujął to w ten sposób. – Mało kto u mnie w szkole ma na to ochotę. Ja chcę po prostu służyć swojemu krajowi, chcę być trochę inny.

Ojciec wolałby, żeby chłopak najpierw poszedł na rok czy dwa na studia.

Miałby jakieś zabezpieczenie, gdyby spadło na niego kolejne ekonomiczne tsunami i – tak jak ojcu – zerwało mu z tyłka gacie *made in Indonesia*.

– Tata jest dla mnie wielkim autorytetem, bardzo go podziwiam –

powiedział mi Junior. – Jak zamknęli fabrykę, to się przekwalifikował na pielęgniarza, a przecież miał już swoje lata. To on mnie wychował.

Pokazałem artykuł o Mike'u z Garbutt Kevinowi z Garbutt. Nie czytał go, bo takich czasopism nie sprzedają w jego lokalnym spożywczaku. Krytyków teatralnych też tu nie mieli. Strasznie go rozbawił ostatni akapit.

Członkowie białej niższej klasy w Ameryce ulegli złej, egoistycznej kulturze, której głównym produktem są nędza i heroina w używanych strzykawkach.

Przemówienia Donalda Trumpa dają im poczucie dobrostanu. Tak samo jak oksykodon… Potrzebują realnej szansy, co oznacza, że potrzebują realnej zmiany, a to oznacza, że potrzebują przeprowadzki.

Jak chcesz żyć, to rusz się z Garbutt.

Co ciekawe, Purdue Pharma, producent oksykodonu sprzedawanego pod nazwą handlową OxyContin, zarobił dziesiątki miliardów dolarów na pigułkach, którymi zaćpała się Ameryka, po czym w 2007 roku przyznał się do winy i zapłacił grzywnę w wysokości sześciuset trzydziestu pięciu milionów dolarów za kłamstwo na temat uzależniających właściwości

„cudownego" opioidu. Od tego czasu przemysł farmaceutyczny wydał ponad osiemset osiemdziesiąt milionów dolarów na lobbing i kampanie na rzecz utrzymania tego środka – oraz innych, podobnych – na liście legalnych substancji. Większość tych pieniędzy trafiła do konserwatywnych republikanów. Jednocześnie ponad sto pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów zmarło z powodu przedawkowania opioidów.

Przedsiębiorstwo Purdue Pharma, które w całości należy do rodziny Sacklerów, ma również siedzibę w Stamford w stanie Connecticut, rodzinnym mieście Williama F. Buckleya, założyciela konserwatywnego czasopisma.

– No proszę – powiedział Carey, odkładając artykuł. – Powiedz temu, co to

napisał, że nie ma się o co martwić, młodzi już stąd wyjeżdżają.

Wyglądało na to, że – podobnie jak w Denison w stanie Iowa –

największy produkt eksportowy z Garbutt stanowią tutejsze dzieci.

Pomijając krytyków teatralnych, wielkoduszni komentatorzy pompatycznie określają sytuację ludzi zepchniętych na margines mianem „godnego ubóstwa”. Ale nie mają pojęcia, jak to jest, gdy wyrzucają cię nagle na bruk z tej samej fabryki, w której twój ojciec i twój dziadek całe życie składali napędy do samochodowych wycieraczek, ani gdy z tego powodu rozpadają się rodzina i społeczność. Ci ludzie wierzyli, że jeśli tylko przyłożą się do pracy, to ona zawsze tam będzie.

A potem mimo wstydu siedzisz w szkole wieczorowej z ludźmi o połowę od ciebie młodszymi i wychodzisz przed końcem zajęć, bo musisz jechać do nowej, kiepsko płatnej pracy, takiej samej, jaką wykonywałeś jako nastolatek. Wracasz do domu, a tam wita cię stos rachunków grubaśny jak Biblia i szydzi z ciebie ze stołu w przedpokoju, w którym zdejmujesz buty.

Płace faktycznie spadły lub utknęły w martwym punkcie wskutek odpływu miejsc pracy z kraju i napływu taniej siły roboczej, ale konserwatywni komentatorzy przypominali Careyowi, że ceny także poszły w dół. Dlaczego więc nie spojrzeć na to jako na swego rodzaju podwyżkę?

Zegarek Careya został wykonany na Filipinach. Jego koszula w Wietnamie. Buty w Indonezji. Gacie – też Indonezja.

– Indonezja – powiedział Carey. – To chyba właśnie to miejsce.

Jako stary związkowiec Carey nie przepadał za Trumpem jako człowiekiem. Donald miał wielki jęzor, więc nic dziwnego, że nie potrafił się w niego w porę ugryźć. Ale Trump śpiewał też na tę samą melodię, co wszyscy w okolicy. „Praca. Nie ma”.

Bernie Sanders też dobrze gadał. Ale Bernie nie miał szans.

Demokratyczna rozgrywka była ustawiona. Hillary pociągała za wszystkie sznurki. Miała po swojej stronie całą partię. Siedziała w kieszeni Wall Street i wygłaszała do nich przemówienia, a nam nie chciała powiedzieć o czym.

Dlatego Carey nie zamierzał znowu głosować na establishment.

– Chyba się skończy na tym, że zagłosuję na Trumpa. Wiesz, o co mi chodzi? – powiedział, kiedy wybraliśmy się na dziesięciominutową przejażdżkę po Garbutt. – Potrzebujemy pracy. Możesz sprowadzić pracodawców? Ale nie wiem, jak Trump miałby zmienić Kongres albo

prawo. Nawet jeśli potrafi negocjować. Wielka szkoda, nie można zrobić prezydentem kogoś z klasy średniej.

W pasie rdzy żyły miliony takich ludzi jak Carey, w tym moi krewni.

Jesteśmy dumni i nie lubimy, jak ktoś nam każe wypierdalać i zdechnąć. Tu nie chodziło o zaplute białe zagrożenie ani o hordę rasistowskich świrów. To nie była banda roszczeniowych białasów łykających pigułki jak cukierki.

Największym

problemem

w

Ameryce

był

brak

bezpieczeństwa

gospodarczego. To byli zwyczajni, nudni biali faceci, tacy jak Carey, który próbuje jakoś sobie radzić, wychować dzieciaka na ludzi i odłożyć coś na emeryturę. Ludzie tacy jak Carey uważali, że trzy zaangażowane strony –

Bushowie, Clintonowie i media – dawno ich sprzedały. Dlaczego więc nie dać szansy bombastycznemu miliarderowi, nawet jeśli to kumpel z Goldman Sachs? Co mają do stracenia?

Ale z materiału o białych, którym trudno się żyje, nie zrobi się dobrej telewizji. Media się nimi nie interesują. Trump szybko zdał sobie z tego sprawę i to wykorzystał. Przyjechał do Rochester zaledwie kilka dni po mnie, co miało się wkrótce okazać dziwną prawidłowością. Kazano nam przestać jeździć za Trumpem, ale ja miałem dziwne uczucie, że to Trump podążał za nami.

Przez to wszystko ogólne zaufanie społeczeństwa spadło do rekordowo niskiego poziomu.

Donald Trump i Hillary Clinton byli najgorzej ocenianymi kandydatami na prezydenta w historii nowożytnej.

Jeśli chodzi o Kongres, to pewna pomysłowa firma sondażowa ustaliła, że brukselka, wszy, karaluchy, kolonoskopia i rzeżączka cieszyły się większą popularnością niż nasi obieralni przedstawiciele. Najwyraźniej Amerykanie zdawali sobie sprawę, że kiedy proktolog dobiera ci się do dupy, to przynajmniej robi to dla twojego dobra, czego nie można powiedzieć o Kongresie.

Zaufanie społeczeństwa do mainstreamowych mediów spadło do najniższego poziomu w historii. Być może stało się tak, bo Trump wielokrotnie powtarzał, że są nieuczciwe. A może skrajnie stronnicza postawa, którą przyjęły wobec topniejącej z każdym dniem liczby odbiorców.

Bez względu na przyczynę, mogliśmy winić wyłącznie samych siebie.

Wycieki z poczty elektronicznej Hillary podczas kampanii potwierdziły to, co ludzie od dawna podejrzewali: politycy i prasa to w Waszyngtonie jedna klika.

Społeczeństwo usłyszało o stadach reporterów, których rzecznik kampanii Clinton zapraszał do swojej rezydencji, gdzie przy obiedzie i drinku mogli

nieoficjalnie porozmawiać; żaden z nich nie pofatygował się, żeby poinformować społeczeństwo o tym, co tam usłyszał. Dziennikarze z własnej inicjatywy przesyłali ludziom Clinton tematy do rozmów. Wspierali ją z wiernopoddańczym zapałem i cichcem zdradzali jej pytania przed debatami. Sprzedali pozory niezależności za dostęp i niewiele znaczące ochłapy informacji.

Po drugiej stronie konserwatywni komentatorzy telewizyjni doradzali Trumpowi, a jeden oświadczył nawet wprost, że nie jest dziennikarzem, a jedynie gospodarzem talk show. Co to miało oznaczać? Nie sprawdzał faktów i obchodził się z rozmówcą jak z jajkiem? Czyżby Larry King był teraz wzorcem postępowania?

Dotyczyło to również szczebla lokalnego. Po prywatnej imprezie urodzinowej dla urzędnika państwowego, na którą nie wpuszczono kamer, osobistości medialne zamieściły w sieci swoje zdjęcia. Widać na nich, jak wznoszą na cześć jubilata toasty wódą, za którą zapłacili podwładni owego urzędnika. Osobistości te uczestniczyły w konwentach i popijały burbona z kontrahentami, lobbystami i politykami, o których miały bezstronnie pisać.

Kontrahenci, lobbyści i politycy wiedzieli, że to im się opłaca. A po co niby człowiek miałby pić z reporterem?

Media stały się żarłocznie żądne sławy. Dziennikarze przyznawali sobie nagrody i statuetki i donosili o tych wydarzeniach tak, jakby miały ogromne znaczenie dla zwykłego obywatela. Co roku urządzali sobie wielką imprezę w Waszyngtonie. Ubierali się w smokingi i suknie wieczorowe, chodzili po czerwonym dywanie i przedstawiali swoje źródła gwiazdom filmowym oraz komikom, którzy w roli fałszywych reporterów wypadali lepiej niż prawdziwi.

Potem, jak gdyby w ramach odwzajemnienia przysługi, prawdziwi reporterzy występowali w fikcyjnych filmach i serialach, w których grali samych siebie i relacjonowali fałszywe historie.

A byli politykierzy pojawiali się w telewizyjnych programach informacyjnych, pozując na niezależnych analityków.

Można wybaczyć zwykłym obywatelom, że byli tym skołowani.

Karaluch przynajmniej zawsze wie, że jest karaluchem.

Na szlaku: szalony pęd ku nicości w nowych brązowych butach

Detroit

Marzec

Fafnasta republikańska debata odbywała się w moim rodzinnym mieście, więc oczywiście się tam wybrałem, nie bacząc na to, że nadal mam zakaz mówienia o Trumpie. Telewizjom ciągle było mało obrzucania się gównem.

Oglądalność była wieeeeeelgachna! Oto czterej finałowi zawodnicy w reality show wszech czasów: Duży Don, Mały Marco Rubio, Ted Cruz Kłamczuszek i Strupieszały John Kasich.

Na widowni siedzieli partyjniacy, korpulentni biali mężczyźni, którym ciągle odpinały się guziki koszuli na brzuchu, ze swoimi wychudzonymi połowicami w perłach i tonie lakieru do włosów, a także nielegalny gang motocyklowy. O, Bill O'Reilly . Tata Miś! Chryste, naprawdę paskudnie wyglądał bez makijażu – był blady jak dupa Eskimosa.

Na zewnątrz mimo trzaskającego mrozu zjawiło się tysiąc protestujących, Nowe Czarne Pantery, Nowa Era Detroit, *Black Lives Matter*, biali hipsterzy, anarchiści. Policjanci z założonymi rękami utworzyli ludzką barykadę, żeby biali ludzie w eleganckich ciuchach mogli przemknąć do środka.

Protestujący byli głośni. Naprawdę głośni. Od ich śpiewów i walenia w wiadra aż echo szło po barokowym foyer Teatru Fox.

Rasista i frajer – zabieraj swój bajer!

Won z Trumpem!

Wyglądało na to, że czarni ludzie jednomyślnie nim gardzą. O ile pamiętam, Trump nigdy ich nie obraził, w każdym razie nie bezpośrednio, ale obraził

wszystkich innych, od Meksykanów po muzułmanów i tych z niepełnosprawnościami, więc łatwo się było domyśleć, co ma do powiedzenia na ich temat.

Mimo to, jeśli miał wygrać wyścig o Biały Dom, to potrzebował *jakichś* czarnych wyborców, którzy zagłosowaliby na niego. Inaczej liczby nie

trzymały się kupy.

Trump buńczucznie zapowiedział, że zdobędzie czarnego wyborcę. Nie jestem pewien, co miał na myśli. Pięćdziesiąt jeden procent wszystkich czarnych, którzy pójdą do głosowania? Czy też głos jednego, jedynego czarnego człowieka? W końcu sondaże w niektórych stanach pasa rdzy dawały mu zero procent poparcia wśród czarnych. Jak by to ująć… nie da się uzyskać mniej niż zero procent.

Zapytałem go o to po debacie w sali reprezentacyjnej, gdzie rozpoczęło się medialne pierdolenie kotka:

– Jak zamierza pan przeciągnąć czarną klasę robotniczą na swoją stronę?

Spojrzał na mnie pytająco, zmarszczył brwi, a następnie pokazał rękę korespondentowi działu rozrywki z programu *Extra*. Mały Marco zasugerował, że Trump miał mniejsze palce niż przeciętny człowiek, co miało oznaczać, że prawdopodobnie ma też mniejsze genitalia.

– Widzisz? Patrz! Ręce mam jak trzeba – zapiał Wielki Don. – I jeszcze jedno ci powiem, *jego* też mam jak trzeba. Z podwoziem wszystko w porządku.

Skierowałem więc swoje pytanie o czarnych wyborców do jego doradcy George’a Gigicosa, łysiejącego faceta o sylwetce pieroga, który pełnił

jednocześnie funkcję poprawiacza mikrofonu Trumpa, uklepywacza jego poduszek i wyłapywacza pocisków.

– Wie pan co – odparł Gigicos – też się nad tym zastanawiałem i mam

pewien pomysł. Chcę mu zorganizować spotkanie w Harlemie, w teatrze Apollo.

– Serio?

– Serio, niech pan sam pomyśli. To Nowy Jork, jego rodzinne miasto.

I czarni go tam rozumieją.

– O w mordę – powiedziałem i wręczyłem mu wizytówkę, już trzecią w trakcie tej kampanii. To albo naprawdę wypali, albo naprawdę *nie wypali*. – Tak czy inaczej, zadzwoń pan do mnie. Muszę to zobaczyć.

Obiecał, że zadzwoni. A potem nie dotrzymał obietnicy.

Misja Apollo nigdy nie wystartowała. Może miało z tym coś wspólnego Chicago. Tydzień po debacie w Detroit odwołano wiec wyborczy Trumpa na kampusie Uniwersytetu Illinois w Chicago, ponieważ niemal doszło do zamieszek między jego zwolennikami a protestującymi przeciwnikami.

Pośród przepychanek, wyzwisk i plucia jakiś czarny facet wymknął się dwóm

postawnym białym mężczyznom, którzy usiłowali go powstrzymać, i wdarł

się na ustawioną scenę. Oto mój stary, dobry znajomy Jedidiah Brown, antyprzemocowy działacz z South Side, był teraz w samym środku przemocy i ciskał się jak Muhammad Ali. Nie mam pretensji do Browna. Trump skupiał na sobie całą uwagę mediów, a działacz musi robić, co się da, żeby go gdzieś pokazali. W każdym razie Brown wykazał się większą energią i zwinnością niż cała kampania Clinton.

Flint, Michigan

Marzec

Bernie i Hillary debatowali we Flint trzy dni przed prawyborami Partii Demokratycznej

w

Michigan.

Hillary

zdecydowanie

prowadziła

w sondażach – niektóre dawały jej dziewięćdziesiąt dziewięć procent szans na zwycięstwo. Dla mediów Bernie był jak stara ścierka – solidna i użyteczna, ale przecież nikt nie będzie o niej rozmawiał na koktajl party.

Dla nich istniała wyłącznie Hillary.

Od początku debaty było oczywiste, że dla Clinton inspiracją jest Michael Moore, lewicowy filmowiec urodzony we Flint, który na nowo odkrył swoje rodzinne miasto dwa lata po kryzysie z wodą. We Flint popełniono zbrodnię na tle rasowym, twierdziła Clinton, a głównym sprawcą był republikański gubernator, który otruł czarne dzieci. I ten biały gubernator powinien ustąpić ze stanowiska.

Oglądałem debatę w położonym nieopodal sądu we Flint przybytku o wdzięcznej nazwie Tawerna pod Białym Koniem. Piłem piwo z butelki, bo nie chciałem ryzykować niczego, co miało styczność z wodą do zmywania ani kostkami lodu.

– A może ten koń to też przez gubernatora – krzyknąłem. Mówiłem o

gigantycznym

plastikowym

rumaku,

który

stał

niegdyś

na

dziesięciometrowym słupie przed budynkiem lokalu, ale z niego spadł jakiś miesiąc temu.

– O, na pewno – zadrwiła biała kobieta za barem.

Polityk dowolnej opcji znalazłby niewielu fanów wśród umęczonych obywateli Flint. Clinton, jedna z najbardziej uprzywilejowanych białych osób w Ameryce, zrobiła z miasta problem rasowy. Kilka dni przed debatą jej sztab puścił spot, w którym przemawiała z ambony miejscowego czarnego kościoła.

– To kwestia praw obywatelskich – pouczała teraz z niebieskiej sceny. –

Bylibyśmy oburzeni, gdyby to dotknęło białe dzieci, i powinniśmy być oburzeni, że dotyka to właśnie teraz czarne dzieci.

Nieważne, że ponad jedna trzecia Flint była biała. Dzieci barmanki były białe. Clinton postawiła na politykę tożsamościową, zszywając interesy mniejszości w jedną całość, zapomniawszy, że każdy ma swoją własną tożsamość i żale. Biali też mają dzieci. I zauważyli, że pominęła ich w swoich wypowiedziach.

Bernie Ścierka, któremu według niektórych sondaży poparcie spadło o dwadzieścia pięć procent, trzy dni później wygrał w stanie Wielkich Jezior.

We Flint zgarnął nawet jedną trzecią głosów. To był gigantyczny problem.

Najwyraźniej coś było nie tak z ankieterami, ich metodologią, z ludźmi, którym zadawali pytania.

Michigan, stan gęsto zaludniony przez klasę robotniczą wszystkich kolorów, najwyraźniej wszedł do gry. Klasa to uniwersalny parasol, pod którym było

miejsce dla każdego. Hillary wdepnęła na minę, ale nikt nie pytał, co było nie tak z sondażami, które zapowiadały jej zwycięstwo.

Floryda

Luty/marzec

Jechaliśmy autostradą I-4 w kierunku Daytony na Florydzie. Tydzień później miał tu ściągnąć Trump z orszakiem dziennikarzy. Wszyscy mówili tylko o nim. Miał za darmo czas antenowy o równowartości pięciu miliardów dolarów. Media go uwielbiały. Zanim się pojawił, nikt już niczego nie czytał

ani nie oglądał. No ale ich pupilka Hillary przecież i tak miała wygraną w kieszeni. Wszystkie sondaże to potwierdzały.

Powiedz coś głupiego, Don!

Gdzie indziej, w prawdziwym świecie, Danny i Becky sprzątali kible na terenie torów wyścigowych nazajutrz po imprezie Daytona 500. Wszędzie leżały śmieci. Cuchnęło przeokrutnie, a smród zwabił sępniki.

Becky i Danny, biała para, pracowali tu co roku. Robili to bez gumowych rękawiczek i kombinezonów, za płacę minimalną, tyle że Becky nie wiedziała, ile dokładnie wynosi płaca minimalna.

– Chyba dziewięć dolarów. Dziewięć, co nie?

– Nie – poprawił Danny. – Siedem sześćdziesiąt siedem.

– Siedem sześćdziesiąt siedem? O, popatrz, nie wiedziałam.

Tym samym Becky zdała sobie sprawę, że obcięto jej zarobki o trzydzieści procent.

Byli to uchodźcy ekonomiczni, biali, bez wykształcenia, a w całym kraju żyły miliony ludzi takich jak oni, którzy czuli, że ich życie spływa do ścieków. Danny powiedział, że nienawidzi obojga kandydatów, bo tacy jak on nikogo tak naprawdę nie obchodzą. Pieprzyć to, zagłosuje na Trumpa, bo

Hillary chciała mu zabrać ubezpieczenie zdrowotne, jego Obamacare. Krótko mówiąc, jego tabletki.

– Nie, to nie tak – powiedziałem. – To Trump chce zlikwidować Obamacare.

– Serio? Dobra… I tak jej nie lubię.

Stałem na progu walącego niemiłosiernie sracza na torze wyścigowym, w najbardziej niezdecydowanym stanie w całym kraju i rozmyślałem o tym

wszystkim. Ludzie są tak skołowani i zniechęceni, że Trump może rzeczywiście miał szansę wygrać we Florydzie.

Nieco dalej, w Sanford, nikt nie obchodził czwartej rocznicy śmierci Trayvona Martina, nieuzbrojonego czarnego nastolatka zabitego przez George'a Zimmermana, policjanta amatora z patrolu sąsiedzkiego. Śmierć chłopca ujawniła robotę, jaką po cichu robiło National Rifle Association.

W połowie amerykańskich stanów obowiązywało obecnie prawo *stand your ground*, które rozszerzało tradycyjne założenie, że można użyć śmiercionośnej broni do samoobrony we własnym domu. Zgodnie z nowym prawem w samoobronie można teraz było zabić w miejscu publicznym.

Z takiej konfrontacji wychodziła zwykle zwycięsko ta strona, która miała broń. Wątpliwe, czy Trayvon o tym wiedział. Uniewinnienie Zimmermana doprowadziło do tego, że kraj był teraz pogrążony w konflikcie – gliniarze kontra czarni.

Brama na drodze dojazdowej do zamkniętego osiedla Retreat at Twin Lakes, gdzie zginął Martin, była zniszczona i połamana, więc wjechaliśmy bez przeszkód. W miejscu, w którym umarł, nie było pamiątkowej tabliczki, kwiatów, pluszowego misia ani ekip telewizyjnych. Było cicho i nieswojo.

Retreat to osiedle integracyjne: biali, czarni, Azjaci i Latynosi wjeżdżali do swoich garaży, automatyczne drzwi zamykały się za nimi, a sąsiedzi byli sobie całkiem obcy.

– Moja żona mówi, że nie mogę z wami rozmawiać – wyszeptał przez okno na piętrze starszy czarny mężczyzna, którego zaczepiłem. Jego sylwetka była ledwo widoczna za siatką rozpiętą na framudze, a dom wyglądał dokładnie tak samo jak wszystkie pozostałe, z bramą garażową jako najbardziej widocznym elementem.

– Tutaj się naprawdę o tym nie mówi – wyznał. – To tabu. Wszyscy po prostu próbują się dogadać. My po prostu staramy się o tym zapomnieć. Tak będzie najlepiej, naprawdę. Dla dobra wszystkich.

Powiedziałem mu, że tam dalej, w prawdziwym świecie, milczenie nie działa.

Teksas

Kwiecień

Wróciliśmy do Teksasu, do przygranicznych miast Brownsville, McAllen i Laredo. Trump podążył naszym śladem kilka tygodni później i wciskał

wszystkim swój wielki mur. Kobiety i dzieci z Ameryki Środkowej wróciły, ale teraz było ich więcej niż dwa lata temu, kiedy stały się tematem międzynarodowego widowiska. Teraz to Trump był międzynarodowym widowiskiem i mało kto z prasy przejmował się tym, co się dzieje na granicy.

W Laredo kilku agentów patrolu granicznego, sami Latynosi, badało wąską rurę prowadzącą na brzeg Rio Grande. Była wypełniona butami i koszulami oraz innymi pozostałościami po ludzkiej migracji, więc agenci wywołali centralę przez radio i zasugerowali, że ktoś mógłby przyjechać i ją zaspawać. Podejrzewali, że przemytnicy mogą tędy prowadzić ludzi.

– Stary, cały ten pierdolnik wymknął się spod kontroli – powiedział mi jeden z agentów. – Gdyby tylko ludzie się dowiedzieli, co tu się naprawdę wyprawia. Ale mur się nie sprawdzi. Nie da się zbudować muru na rzece.

Granica z Kanadą w Lynden w stanie Waszyngton to w zasadzie kanał.

Właściwie to nawet nie jest kanał. To metrowej wysokości rów przecinający

cztery pasy krajowej autostrady. Ci wszyscy Amerykanie, którzy grożą, że przeprowadzą się do Kanady, jeśli Trump zostanie prezydentem, powinni go sforsować bez problemu.

Ale nikt nie przeprowadzał się do Kanady. Tam jest zimno.

W największych miastach pełno ćpunów. Opieka zdrowotna trzeszczy, a pieniądze są z plastiku – i to przezroczystego, normalnie wszystko przez nie widać. Może to dlatego waluta straciła jedną czwartą wartości.

A co z osiemdziesięcioma tysiącami Kanadyjczyków pracujących nielegalnie w Stanach Zjednoczonych? Było jasne, że północna granica wymknęła się spod kontroli. Justin Bieber i Ted Cruz – jak oni się tu dostali?

Może od Kanady też trzeba się odgrodzić murem.

Zrobiliśmy

więc

materiał

o

Wielkiej

Białej

Północy.

Z niewytłumaczalnych przyczyn tydzień później Trump zjawił się

w maleńkim miasteczku po zachodniej stronie czterdziestego dziewiątego równoleżnika i urządził tu wiec, na którym trąbił o tym swoim wielkim meksykańskim murze.

Dziwne. Zaczęliśmy podejrzewać, że jego sztab wpuścił nam do biura konfidenta.

Detroit

Maj

Mike Duggan, burmistrz Detroit, znowu w akcji. Na swoim prywatnym koncie na Twitterze zamieściłem następujące dziewięćdziesiąt trzy znaki:

„Czegoś się dziś dowiedziałem. FBI prowadzi dochodzenie w sprawie programu wyburzeń w Detroit”.

Następnego dnia tak samo brzmiały nagłówki obu miejscowych gazet.

Biedne gazety. Nikt ich już nie kupował nawet do wyściełania ptasiej klatki.

W telewizji natomiast nic na ten temat nie mówili.

Cleveland

Lipiec

Poranne wiadomości osiemnastego lipca były straszne: policjanci ostrzelani w Baton Rouge, trzech zabitych i trzech rannych. Dodajmy do tego pięciu zabitych przez byłego żołnierza w Dallas na początku miesiąca. Nagłówki pojawiły się natychmiast: *Strzelanina w Baton Rouge może położyć się cieniem na krajowym kongresie Partii Republikańskiej*.

Akurat.

Machina wielkiej bańki zawitała do miasta w liczbie piętnastu tysięcy dziennikarzy, więc do Cleveland w stanie Ohio trzeba było zwieźć niemal podwójne siły policyjne i wojskowe do ochrony tego telewizyjnego kokonu.

W połączeniu z morderczym upałem kociokwik z talerzy satelitarnych, kamer wysokiej rozdzielczości i mikrofonów na żurawiach budził skojarzenie z gigantyczną piszczałką.

Medialni notable sprawiali wrażenie, jakby nie mieli pojęcia o rozmiarach konfliktu, jaki targał amerykańskim społeczeństwem na zewnątrz ich

ochronnego pęcherzyka. Kryli się za barierkami i błąkali bez celu w swoich drogich garniturach. Najwyraźniej ostatni krzyk mody wśród kwiatu dziennikarstwa politycznego płci męskiej stanowiły brązowe buty.

Razem z kilkoma agentami Secret Service stałem u stóp ruchomych schodów w centrum medialnym i podziwiałem obuwie. Gama kolorystyczna była wyjątkowo szeroka: od jasnego brązu, przez orzech włoski, khaki, wielbłądzi, cappuccino, koniakowy, karmelowy, średni brąz, ciemny burgund, tytoniowy, po ciemny brąz, kawowy i piaskowy.

Galanteria występowała w takich oto wersjach: skóra lakierowana, matowa, licowa, zamsz, vintage oraz postarzana. Style: sznurowane loafersy, oksfordy cap toe, oksfordy rower toe, oraz, a jakże, oksfordy snub toe. Były klasyczne brogsy (zarówno z perforacją, jak i gładkie), brogsy z wydłużonym noskiem, pantofle z klamrą, loafersy piccadilly i ich niższej klasy kuzyni, pensówki. O, patrz, stary, sznurowane cap toe z perforacją! Import z Włoch.

Made in India.

– W tej telewizji to im chyba nieźle płacą – rzucił jeden agent.

– Na pewno nie za oryginalność – powiedział drugi.

Dyskusje toczące się w pomieszczeniu dla mediów nie dotyczyły pogłębionej analizy powodów niezadowolenia w Ameryce czy przyczyn popularności Trumpa. Deliberowano o tym, kto wziął ostatniego bajgla ze stołu szwedzkiego albo kto jest następny w kolejce do makijażu. Kobiety w papilotach i szlafrokach przygotowywały się do występu na gigantycznej niebieskiej platformie, która służyła jako studio telewizyjne. Mniejszym ekipom lokalnych wiadomości przydzielono miejsce z boku i na podłodze.

W korytarzu członkowie neokonserwatywy, którym zawdzięczamy wojnę w Iraku, szeptali i śmiali się między sobą. „Ta afera z Rogerem Ailesem to coś poważnego?” Przybyło im lat i kilogramów, twarze mieli teraz bardziej czerwone, no i wszyscy nosili brązowe buty, ale jednak ciągle tu byli i nadal pozowali w telewizji na ludzi, którzy znają odpowiedzi. Ja pierdolę, jak to możliwe, że oni tu ciągle są? Nie rozumiałem tego. Kto ich tu wpuścił?

Był i czarny szeryf z Milwaukee, który miał w zwyczaju zaprzeczać, jakoby w Ameryce istniał problem policyjnej brutalności – w dżinsach i słomianym kowbojskim kapeluszu z wywiniętym rondem. Jezu, on przynajmniej nie miał na sobie brązowych butów.

Normalnie cyrk. Musieliśmy się wyrwać z tej bańki, więc pojechaliśmy z Mattem na zachód od miasta, tam, gdzie Tamir Rice, dwunastoletni czarny chłopiec z pistoletem śrutowym, został zastrzelony przez policję. Czterdzieści osiem godzin później Ferguson zapłonęło po raz drugi.

Nie był to szczególnie oryginalny pomysł i spodziewałem się, że zastanę tam dziesiątki ekip informacyjnych i prowizoryczne miejsce pamięci pod altaną w parku, w którym zginął, ze zniczami i z balonami, które stanowiłoby posępne i naturalne tło barierek i reflektorów otaczających teren partyjnego zjazdu. Na szczęście nie było tam ani jednego reportera. Ani jednej kamery.

Na ławce siedział tylko drobny czarny facet i palił mentola.

Był ubrany w kombinezon roboczy, bo właśnie skończył poranną zmianę w fast foodzie, gdzie smażył kotlety za osiem dolarów piętnaście centów za godzinę. Dostawał wypłatę co dwa tygodnie, a kiedy już rząd odciągnął od niej podatki, potrzebował godziny, żeby zarobić na śniadanie w knajpie, w której sam pracował. Więc ukradł śniadanie. Na głowie miał pogniecioną czapkę z wystrzępionym daszkiem, a na nogach czarne, zniszczone adidasy, utytłane posypką z pączków i syropem dolewanym do kawy.

– Nie to, żeby te gliny w Luizjanie se na to zasłużyły – powiedział. – Tam to była zasadzka. No ale ten chłopaczek? Tamir? Z pistoletem zabawką?

Żeby go jeszcze chociaż ostrzegł, ten policjant. A ten nic, wyskakuje z radiowozu i od razu w niego wali. To jak to jest, po czyjej stronie człowiek ma być, jak tu dzień w dzień takie coś się odpierdala?

– A ty po czyjej stronie jesteś? – zapytałem.

Skinął w stronę drogi. Kilkadziesiąt metrów dalej stał obelisk na cześć Jonathana Schroedera, białego policjanta z Cleveland, zastrzelonego dziesięć

lat wcześniej na służbie podczas próby ujęcia gwałciciela czarnej kobiety, której nawet nie znał.

– A po czyjej mam być?

– Nie wiedziałem, że koniecznie trzeba być po czyjejś – odpowiedziałem.

– O, musisz wybrać stronę. Czasami tylko ją po prostu zmieniasz.

Detroit

Lipiec

Wybrałem stronę niepojawiania się nigdy więcej na żadnej politycznej konferencji. Odwołałem wyjazd na koronację Hillary Clinton u demokratów w Filadelfii i wróciłem do Detroit na końcówkę procesu Barry'ego Ellentucka, sygnalisty afery rozbiórkowej.

Co można było zyskać w Fili? Ujawnione wskutek wycieku mejle od najwyższych urzędników Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej nie powiedziały nam niczego, czego byśmy już nie wiedzieli: rozgrywka była ustawiona i toczyła się w kadzi z gnojówką. Partia należała do Clintonów.

Jeden z najwyższych urzędników posunął się nawet do sugestii, że partia powinna wykorzystać żydowskie pochodzenie Sandersa przeciwko niemu.

Tak naprawdę Bernie sam był winien tego, że przegrał o włos. Jego kampanii brakowało konkretów i szczegółowości. Nie chciał napieprzać w Clinton za to, że była żądną władzy kłamczuchą z establishmentu, która cynicznie zmieniła poglądy w zależności od wyników najnowszych sondaży w kwestiach takich jak globalizm, Wall Street, handel światowy oraz prawo i porządek w centrach miast. Ostatecznie Bernie uprzejmie skapitulował, podczas gdy tysiące jego zwolenników zgromadziło się pod centrum kongresowym, gdzie przemawiał prezydent Obama. Krzyczeli: „Jebać Hillary Clinton!”.

W Detroit Ellentucka też właśnie mielono na miazgę w trybach machiny

Clinton. W zasadzie facet został całkiem zniszczony przez oskarżenia o próbę wyłudzenia od miasta kilku tysięcy dolarów przeznaczonych przez rząd na prace wyburzeniowe. Cała branża budowlana odwróciła się od człowieka, który był w stanie wojny z urzędującym burmistrzem Detroit, blisko powiązanym z Hillary Clinton. W razie wyroku skazującego Ellentuck był

skończony na zawsze.

Przysięgli obradowali trzy godziny, wliczając przerwę obiadową.

Ellentuck został oczyszczony z zarzutu wyłudzenia sześciu tysięcy dolarów.

Mimo werdyktu jego żona była wściekła. Całego procesu można było uniknąć, gdyby prokurator zadał sobie trud porozmawiania z Ellentuckiem,

który podejrzewał pułapkę i potajemnie nagrał, jak kluczowi świadkowie strony rządowej zaprzeczają złożonym pod przysięgą zeznaniom.

Zawstydzony młody prokurator wyszedł z sali sądowej bez komentarza. Ale nie wstydził się długo. Trzy miesiące później otrzymał z rąk gubernatora nominację na stanowisko sędziego sądu okręgowego i orzekał w sali bezpośrednio nad sędzią, który mnie częstował truskawkową drożdżówką.

Dwa dni po uniewinnieniu Ellentucka burmistrz Duggan stał na scenie podczas filadelfijskiej konferencji demokratów i pod niebiosa wychwalał

cnoty Oszustki Hillary. Mówiło się, że obiecano mu stanowisko w jej rządzie, być może sekretarza do spraw mieszkalnictwa i urbanistyki albo kombatantów. Żadne media, ani lokalne, ani ogólnokrajowe, nie pytały, dlaczego Clinton zaprosiła do zabrania w jej imieniu głosu człowieka, w

którego

sprawie

władze

federalne

prowadziły

dochodzenie

antykorupcyjne. Dla mnie to właśnie było sedno wszystkiego, co było nie tak.

Jedyne, co mogłem zrobić, to wrzucić to na Twittera.

Milwaukee, Wisconsin

Sierpień

Zaledwie kilka dni po zjeździe demokratów zagotowało się w czarnym zakątku stanu Milwaukee. Tym razem to czarny policjant zabił czarnego podejrzanego, który wiózł kradziony pistolet i pięćset sztuk amunicji w wynajętym samochodzie. Podejrzany, Sylville Smith, uciekał z bronią, a oficjalna wersja była w owym czasie taka, że policjant obawiał się o swoje życie.

Ojciec zmarłego przeprosił widzów przed telewizorami za to, że nie był

lepszym wzorem do naśladowania. W miejscu śmierci Smitha jego adopcyjna matka powiedziała mi, że policjant i ofiara znali się wcześniej, że strzelanina mogła być wynikiem konfliktu o dziewczynę.

Raczej mało prawdopodobne, by poszło o dziewczynę. W drugą noc zamieszek funkcjonariusz Dominique Heaggan-Brown siedział ponoć w barze z mężczyzną poznanym na Facebooku, oglądał na żywo transmisję z płonącego miasta i przechwalał się, że może zrobić, co tylko zechce, bez żadnych konsekwencji. Heaggan-Brown został później oskarżony o to, że zabrał tego mężczyznę do domu i tam zgwałcił.

Został również oskarżony o zabójstwo Smitha, gdy na nagraniu z kamery osobistej z jego munduru zobaczono, jak go zastrzelił podczas pościgu między dwoma domami. Heaggan-Brown wpakował drugą kulę w klatkę

piersiową Smitha półtorej sekundy po tym, jak Smith wyrzucił swoją broń za płot, padł na ziemię i podniósł ręce nad głowę. Prokuratorzy uznali pierwszy strzał za uzasadniony, drugi – za morderstwo. Przysięgli się nie zgodzili.

Haeggan-Brown został uniewinniony.

– Dopiero gdy zaczęło się palić, ludzie się zainteresowali – powiedział

James Flippin, fryzjer z zakładu Sho’Nuff nieopodal zgliszczy stacji benzynowej na Burleigh Street. – Ale nie paliło się, dopóki nie przyjechała telewizja – dodał po chwili. – To już stały scenariusz w Ameryce. Chodź no tu, piesku, chodź tu bliżej. Światła, kamera, akcja. Jesteśmy w wiadomościach. Chcemy, żeby nas zobaczyli. Chcemy, żeby nas usłyszeli.

Ale nikt tak naprawdę nie słuchał. Nie przyjechał żaden przedstawiciel wybieranych władz. Ani biały burmistrz demokrata, ani mocny w gębie szeryf w typie kowboja z przedmieścia, ani biały republikański gubernator.

Hillary Clinton też nie przyjechała. Było oczywiste, że bali się swoich własnych ludzi.

Natomiast Donald Trump, świeżo nominowany republikański kandydat na prezydenta, zjawił się, zanim popiół po północnej stronie miasta zdążył

ostygnąć. To znaczy tak naprawdę nie przyjechał do miasta, ani nawet do hrabstwa Milwaukee. Wystąpił czterdzieści kilometrów dalej, na przedmieściach West Bend, gdzie w końcu przemówił do czarnej Ameryki przed widownią złożoną niemal wyłącznie z białej i nieco zdezorientowanej publiczności.

Przemówienie było proste, dokładnie takie, jakie mu podpowiadałem kilka miesięcy temu: „Dlaczego nie zagłosujecie na mnie? Co macie do stracenia?”.

Flint, Michigan

Wrzesień

Przez jakiś miesiąc Trump zwracał się do czarnej Ameryki, stojąc przed białą Ameryką i chowając się za telewizyjnymi kamerami.

A potem przyjechał do Flint na wycieczkę po stacji uzdatniania wody i wygłosił – moim zdaniem po raz pierwszy w życiu – przemówienie do prawdziwych czarnych ludzi w miejscowym kościele.

Tak się akurat złożyło, że również byłem wtedy we Flint. Normalnie jakbyśmy się umówili. Nowy Jork, Floryda, Waszyngton, Wisconsin, a teraz Michigan. Bardzo dziwne. Przyjechałem do miasta z kabinami prysznicowymi i chromowaną cysterną pełną świeżej wody z Ann Arbor, bo ze znajomym filmowcem chcieliśmy nakręcić materiał o braku postępów z zatrutą wodą. Biuro burmistrza wydało mi pozwolenie na ustawienie pryszniców przed ratuszem, ale kiedy dotarło do nich, o co nam chodzi, natychmiast je cofnęli. Wściekłem się i popędziłem do ratusza, żeby zażądać zwrotu opłaty manipulacyjnej w wysokości dwudziestu pięciu dolarów.

Ktoś z biura burmistrza zadzwonił od mnie i powiedział, że moją odmowę opuszczenia ratusza zgłoszono na policję i że moja cysterna nielegalnie zajmuje miejsca parkingowe. W drugiej rozmowie telefonicznej zostałem również poinformowany, że Trump właśnie wylądował na lotnisku i jedzie do zakładu wodociągowego. Spróbujcie to sobie wyobrazić: policjanci gonią za moją chromowaną cysterną, a ja w tej chromowanej cysternie gonię Trumpa po całym mieście.

Uciekając przed policją, przegapiliśmy kawalkadę Trumpa, ale dotarliśmy do kościoła w samą porę, żeby zobaczyć, jak odjeżdża. Pastor przerwał mu wystąpienie, bo Duży Don brzydko się wyrażał o Oszustce Hillary.

Na parkingu wpadłem na Sama Riddle’a, mojego ulubionego doradcę politycznego po odsiadce, który kilka lat wcześniej trafił do więzienia za udział w skandalu korupcyjnym w Detroit.

– Dlaczego nie – powiedział Riddle o Trumpie. – Dlaczego nie? Jak Hillary przyjechała, żeby się z nami pokazać, to dostaliśmy marne parę

butelek wody. Dlaczego więc nie pozwolić Trumpowi, żeby i on się z nami

pokazał? Dlaczego nie?

Detroit

Wrzesień

Kiedy byłem we Flint, Ken Steil, sierżant policji z Detroit, został ranny podczas próby zatrzymania szaleńca, który ukradł samochód, postrzelił

własnego ojca i groził, że zabije matkę.

Pięć dni później sierżant Steil zmarł w wyniku zakrzepu, stając się tym samym czterdziestym w 2016 roku amerykańskim funkcjonariuszem policji, który zginął na służbie. Poznałem Steila, gdy jeździliśmy z jego jednostką operacyjną po ulicach Detroit i kręciliśmy materiał o tym, jak bankructwo miasta wpłynęło na policję.

Moim zdaniem, jeśli źli gliniarze rzeczywiście stanowili prawdziwy problem amerykańskich miast, to ludzie tacy jak Ken Steil z pewnością byli jego rozwiązaniem. Dowodził elitarnym oddziałem, który polował na najgorsze indywidua: gwałcicieli, morderców dzieci, zbrodniarzy szaleńców.

Jego ekipa chodziła po ciemnych zaułkach i opuszczonych domach, w kompletnych ciemnościach, nie licząc światła księżyca wpadającego przez rozbite dachy.

W ciągu dwudziestu lat służby Steil ani razu nie wystrzelił z broni palnej i nie otrzymał ani jednego upomnienia czy skargi. Zginął, próbując złapać człowieka, który chciał zamordować własnego ojca i szalał po mieście z karabinem. Ktoś wezwał policję i sierżant Steil odpowiedział na wezwanie.

O nic nie pytał. A teraz był martwy.

Zadzwoniłem do jego chłopaków, żeby im złożyć kondolencje, ale nie chciałem niepokoić wdowy JoAnn. Tak trzeba, jeśli jesteś dziennikarzem.

Już dawno, po wydarzeniach z jedenastego września, nauczyłem się, że

reporter pukający do drzwi pogrążonej w żałobie rodziny to nic innego jak emocjonalny aceton, który rozpuści resztki trzymającego ich razem kleju.

Ale JoAnn skontaktowała się ze mną przez kolegę męża. Chciała się ze mną spotkać. Chciała o czymś powiedzieć światu. Podjechaliśmy więc do niej z Mattem i zaparkowaliśmy kilka domów dalej, w takiej odległości, żeby rodzina i przyjaciele mogli nas w porę zobaczyć i przygotować się na naszą wizytę. Przed wejściem stał samochód przysłany przez wydział policji –

z maski obłaziła farba, a tam, gdzie kiedyś była kalkomania, widać było wielkie koło rdzy. Kpina.

W domu panowała smutna atmosfera. Dwóch małych synków Steila odprowadzili do szkoły jego bracia od munduru. Na przeciwległej ścianie stało akwarium, które własnoręcznie zbudował. JoAnn zaśmiała się cicho i powiedziała, że nie ma pojęcia, jak się zajmować rybkami, ale spróbuje.

Matt ustawił kamerę, a JoAnn wzięła głęboki oddech.

– Wybaczam człowiekowi, który go zabił – powiedziała – bo wiem w duchu, że gdyby wiedział, co nam zabiera, toby tego nie zrobił. W tym kraju potrzeba nam teraz więcej miłości.

Myślałem, że pęknie mi serce. Wdowa przebacza mordercy męża.

Następnie prosi nas wszystkich, żebyśmy się wzajemnie kochali. A czy ktoś okazał miłość jej i jej dzieciom? Podczas pogrzebu Steil otrzymał pośmiertny awans na stopień kapitana. Ładnie to wypadło przed kamerą, ale żona i dzieci wcale nie dostały wyższej renty. Z finansowego punktu widzenia nadal był

sierżantem. A z powodu bankructwa miasta jego rodzina traciła prawo do ubezpieczenia zdrowotnego. Pełne godności wystąpienie tej kobiety wzruszyło jednak decydentów na tyle, że stan Michigan przyznał jej i jej synkom świadczenia zdrowotne… na pięć lat. Kiedy starszy chłopak skończy dziesięć lat, będzie musiał radzić sobie sam.

Najbardziej uwłaczająca była sprawa rachunku pogrzebowego. Pomimo całej

pompy i okoliczności, pomimo że burmistrz wyrzucał z siebie statystyki przestępczości nad trumną za pogrzeb Steila nie zapłaciło miasto, w którego służbie zginął, ale rodzina, którą pozostawił.

Jeśli w Ameryce toczyła się wojna z policją, to wyglądało na to, że snajperzy są po każdej stronie: wśród przestępców, aktywistów, załganych polityków, komentatorów. Ale wdowa nawoływała nie do wojny, a do miłości. Wszystko, co mogłem dla niej zrobić za pomocą telewizji, to marne pięć lat wizyt u pediatry.

Jej słowa – jej sytuacja, twarze jej synków – wszystko to wstrząsnęło mną do głębi. Jej mąż zobowiązał się do służby i dotrzymał obietnicy. Politycy, prawnicy i bankierzy tego nie zrobili – potrafili tylko brać. I było już za późno, żeby Steil mógł się wycofać z umowy. Oto kolejny druzgocący przykład ogromnej przepaści między rządem a ludźmi, między rasami, między klasami. To wszystko było tak oczywiste: biały facet w Garbutt i wdowa po gliniarzu w Detroit, czarny mężczyzna na ulicach Ferguson

i Latynoska polerująca nagrobek Reagana w Simi Valley mieli ze sobą tyle wspólnego, ale nie potrafili znaleźć płaszczyzny porozumienia. A telewizja jedynie pogłębiała dezorientację. Rozstrój zatruł mnie jak opary benzyny.

Niszczył mnie od środka. Potrzebowałem powietrza. Musiałem się stąd wyrwać.

Southfield, Michigan

Listopad

Może i byłem korespondentem krajowym, człowiekiem na amerykańskiej ulicy wysłanym przez gigantyczne przedsiębiorstwo medialne, ale noc wyborów należała do facetów w brązowych butach na tle niebieskiego studia.

Koty domowe, tak ich nazwaliśmy. W zasadzie nie miałem nic do roboty, ale i tak przyjechałem do siedziby stacji w Detroit, na wypadek gdyby ktoś był

ciekaw, co myślę.

Nie byli ciekawi. Hillary Clinton miała zwycięstwo w kieszeni. Wszystkie sondaże i media mówiły o tym od miesięcy. Ja nie byłem taki pewien.

Mój kolega robił na Facebooku transmisję z newsroomu, rzekomo po to, żeby pokazać widzom stacji, jak to wszystko wygląda od dziennikarskiej kuchni w wieczór wyborów. Podszedł do mnie i zapytał, czego się spodziewam, no bo przecież wcześniej byłem *tam*, na zewnątrz .

Przejechawszy ten wielki kraj wzdłuż i wszerz, doszedłem do wniosku, że czarni mieli swojego człowieka w Obamie. Było w nim coś, co podnosiło ich na duchu, dawało im inspirację i nadzieję, ale w ciągu tych ośmiu lat ich życie nie uległo znaczącej poprawie. A teraz, gdy odszedł, niewiele przemawiało za tym, że tak samo licznie zagłosują na Clinton. Co do Latynosów, to przypomniałem sobie wizytę w Kalifornii. Nawet jeśli nielegalny imigrant wygląda tak jak ty i ma podobnie brzmiące nazwisko, to i tak staje się obcy, jeśli musisz z nim konkurować o środki do życia. Biała klasa robotnicza? Niektórzy myśleli, że Trump to w końcu ktoś dla nich. Był

nie tyle odzwierciedleniem nienawiści wśród białych, ile ich reakcją na krzywdę doznaną od establishmentu, który nimi manipulował, nie pytał

o zdanie albo zupełnie ich ignorował.

Za dużo było ICH, a za mało NAS. Wszyscy mówiliśmy to samo –

wszyscy martwiliśmy się o swoje dzieci, a jednak nie słyszeliśmy siebie nawzajem, bo zagłuszały nas krzyki, hałas tłuczonego szkła i wycie syreny karetki. Nikt się nie spodziewał, że cokolwiek może się zmienić niezależnie od wyniku, jaki zostanie ogłoszony tego wieczoru. Ale owszem, powiedziałem koledze. Zaskoczy was wynik głosowania. Do gry wszedł stan

Michigan i pas rdzy. Media nigdy nie rozumiały, czym dla ludzi jest interes własny.

Nie przewidziałem wygranej Trumpa, bo tylko największy desperat, który nie ma już nic do stracenia i tylko chce się odegrać, mógłby postawić na gwiazdę nagrania o łapaniu za cipki. Warto pamiętać, że kobiety nie stanowią

mniejszości.

Myślałem jednak, że będzie to zwycięstwo o włos. Uważałem, że sondaże się myliły. Nie było przecież tak, że ludzie bali się mówić, że głosują na Trumpa. Sądzę, że po prostu nienawidzili ankieterów i reporterów.

A ankieterzy, tak jak wielu reporterów, pracują na telefonach zamiast na ulicach.

Wróciłem do biura na tyłach budynku, oddzielonego od niebieskiego studia ścianą z pustaków. Włączyłem telewizor. Następnie wyjąłem z szuflady biurka butelkę wódki, którą podarował mi gość jednego z wielu programów kulinarnych produkowanych przez stację, w pracowniczej lodówce znalazłem jakieś stare kostki lodu i rozsiadłem się wygodnie.

Z każdą kolejną godziną na twarzach prowadzących i komentatorów malowała się coraz większa groza. Docierało do nich, że kraj, o którym dyskutowali w swoich relacjach, istniał tylko w ich wyobraźni, a ten prawdziwy jest zupełnie inny.

Około drugiej nad ranem było po wszystkim. Wypłukałem szkło, zgarnąłem zdjęcia z biurka do torby i pojechałem do domu. Rano musiałem zawieźć córkę do szkoły.

2 0 1 7

Białe niewymowne

Detroit

Pierwsze dwanaście miesięcy Anno Trumpini spędziłem w gaciach, przy biurku, w pokoju z widokiem na drogę ekspresową.

Byłem wyczerpany i zniechęcony, miałem dość całego tego shitshow: rzuciłem pracę w telewizji. Nie śledziłem nikogo na Twitterze. Przestałem oglądać wiadomości na kablówce. Całą swoją energię przelałem na karty tej książki. Mimo to medialne delirium przesączyło się przez deski podłogi jak

ropa z czyraka.

Przyznaję, że złapałem się na klikbajty. Melodramatyczne i sztampowe oburzenie przygnębiało mnie, ale i tak nie mogłem się powstrzymać od śledzenia zdarzeń. Każdego ranka zamykałem się w pokoju nieogolony i nieuczesany, mając na sobie tylko wczorajsze majtki, i godzinami siedziałem bezproduktywnie przed laptopem. Jak większość ludzi w Ameryce, byłem teraz tylko wirtualnym uczestnikiem narodowej debaty, kurem domowym ze swoją operą mydlaną, towarem uwięzionym w klatce przez platformy mediów społecznościowych.

Oglądałem konferencje prasowe na żywo z rozbawieniem i melancholią, jaką niosą ze sobą bezrobocie i bezczynność. Trump i media. Co nowego dzisiaj? Z czym dzisiaj wyskoczyła jego pomarańczowość? Największa w historii widownia na inauguracji? Obama miał go podsłuchiwać? Albo całkiem odjechane: Duży Don boi się much? Donny uważa, że Biały Dom to rudera? (Powinien się cieszyć, że nie mieszka w hotelu Trump International w Las Vegas. #melina!). Dlaczego Melania włożyła szpilki podczas huraganu? Albo śmiertelnie poważne: czy Trump utrudniał działania wymiaru sprawiedliwości, kiedy zwolnił dyrektora FBI Jamesa Comeya? Czy jego kampania była prowadzona w zmowie z rosyjskimi agentami wywiadu?

Czy nieświadomie wpakował się w zarzut o obstrukcję prawa? Czy zostanie zdjęty z urzędu? Czy zbombarduje Małego Rakietnika z Korei Północnej?

Niektóre z tych kwestii były ważne. Trudno było jednak ocenić które, ponieważ o wszystkich mówiło się tak samo głośno i obficie. Wprawdzie rosły od tego oglądalność i liczba kliknięć, ale wszystko to miało niewiele wspólnego z codziennymi problemami Amerykanów.

Trump i jego małe kłamstwa, i jego mali poplecznicy, którzy nazywali te kłamstewka „faktami”, doprowadzili do tego, że *Rok 1984* Orwella na nowo wskoczył na listę bestsellerów. W tej futurystycznej przypowieści o dystopijnym społeczeństwie światem rządziła nienawiść, a każde słowo przywódcy uznawano za prawdę.

Ja czytałem *Nowy wspaniały świat* Huxleya. Uznałem, że bardziej pasuje do

sytuacji. W opisanym tam świecie przyszłości szefowie partii, biurokraci, redaktorzy gazet i producenci farmaceutyków wspólnie spiskują, żeby nauczyć masy kochać zniewolenie, dając ludziom dokładnie to, czego we własnym mniemaniu pragną: nieskrępowaną i pustą rozrywkę, seks bez zobowiązań i nieograniczony dostęp do narkotyków. To była łagodniejsza, bardziej

złowroga

opresja.

Miejsce,

w

którym

obywatel

traci

wolność, nawet sobie tego nie uświadamiając. W skrócie – shitshow.

Nie ulega wątpliwości, że polityczna debata toczyła się w ostrzejszym i bardziej przenikliwym tonie, odkąd Trump wkroczył na scenę wielkiej polityki, ale wydawało mi się, że przez słuchawki słyszę znajome echo. Na przykład spora część białych suprematystów, którzy przemaszerowali z pochodniami przez Charlottesville w Wirginii w proteście przeciwko usunięciu pomnika konfederacyjnego generała Roberta E. Lee, to ci sami ludzie, których spotkałem dwa lata wcześniej, podczas przejażdżki przy księżycu z Wielkim Smokiem KKK do Columbii w Karolinie Południowej.

To, co działo się w Charlottesville, było smutne i haniebne, ale tych suprematystów zebrało się kilkuset. Nie tysiące, dziesiątki tysięcy, ani setki tysięcy. To nie była armia. Media podobno potrafiły oszacować miliony, które wzięły udział w inauguracji nowego prezydenta na podstawie zdjęć lotniczych, ale nie były w stanie policzyć oddziału rasistowskich

orangutanów. Shitshow.

Jeśli chodzi o rzeczy, które mają znaczenie w życiu codziennym, to niewiele się zmieniło: wciąż brakowało dobrej pracy, płace nadal były za niskie, koszty opieki zdrowotnej rosły, weteranów wojennych traktowano

skandalicznie. Nierozwiązane pozostawały kwestie deficytu budżetowego, długu publicznego, wsparcia dla korporacji, upadających systemów emerytalnych, zbyt wysokiego czesnego oraz imigracji.

Pomijając śniadaniowe tweety Trumpa i karuzelę kadrową z udziałem osób, których nazwiska mają znikome szanse zapisać się w historii, Białym Domem nadal rządzili Goldman Sachs i Kolegium Połączonych Szefów Sztabów. Kongresem nadal rządziły partykularne interesy. A podatnicy nadal dotowali senacką siłownię i saunę. (Jak na ironię, sauna jest dostępna wyłącznie dla członków, więc jest to jedyne miejsce w całym Waszyngtonie, gdzie nie zobaczysz, jak lobbysta masuje członka Kongresu).

Tutaj w Detroit krajowy korpus prasowy rozpływa się w zachwytach nad administracją demokratycznego burmistrza Mike'a Duggana, pomimo że w dzielnicach ciągle kwitnie przestępczość, a strzelaniny są niemal na porządku dziennym. Reporterzy wpadają tu napić się mojito w otwartym niedawno bistro w centrum miasta, przejechać nową kolejką, zrobić wywiad z „jegokscelencją" i ogłosić „Wielki Powrót" Detroit. Redakcje lokalnej prasy, odchudzone w rezultacie cięć budżetowych i zmniejszającej się liczby czytelników, chętnie promowały prostą huxleyowską narrację, a wiadomości telewizyjne po prostu kopiowały ich nagłówki. Nikt nie mówił o federalnym dochodzeniu w sprawie korupcji w programie wyburzeń. Musiałem o tym tweetować w gaciach. W chwili, kiedy piszę te słowa, dochodzenie w tej sprawie jeszcze się nie skończyło.

Jeśli chodzi o Flint, ludzie gubernatora ogłosili, że woda jest oficjalnie bezpieczna do picia, ale niewielu ludzi w to uwierzyło. Sam gubernator nigdy już nie przyjechał do Miasta Samochodów, żeby napić się kranówki, a mieszkańcy musieli teraz płacić pełną stawkę za dostęp do wody.

W Chicago, Baltimore i St. Louis liczba zabójstw wzrosła, odkąd policjanci

przystopowali z pracą. Warto zauważyć, że żaden z opisanych w tej książce policjantów nie został skazany za nielegalne użycie siły, a w skali całego kraju od 2013 roku skazano dwóch. Warto również wspomnieć, że od czasu wydarzeń w Ferguson około pięćdziesięciu funkcjonariuszy organów ścigania w całych Stanach Zjednoczonych zginęło na służbie.

Na południu robotnicy przemysłowi nadal nie chcieli się zrzeszać z związkach, a w zakładach Nissana w Missisipi i w fabryce Boeinga w Karolinie Południowej odrzucili propozycję związkowców zdecydowaną

większością głosów. W tym samym czasie przedstawiciele związku przyznali się do przyjmowania łapówek od kadry kierowniczej przedsiębiorstwa Fiat-Chrysler w zamian za przychylność dla firmy przy stole negocjacyjnym.

Na Zachodzie Jon Ritzheimer, wyrywny „patriota” z pistoletem, przyznał

się do udziału w spisku podczas wydarzeń w Oregonie i został skazany na rok i jeden dzień w więzieniu federalnym. Nie pogodził się jednak z wyrokiem, nadal twierdzi, że obecny rząd jest nielegalny, a on sam to Rosa Parks Zachodu. Buda, fałszywy snajper, również przyznał się do winy i odsiedział dziewięć miesięcy. Proces Clivena Bundy’ego i jego synów za rolę, jaką odegrali w przejęciu Bunkerville, został unieważniony, gdy sędzia orzekł, że prawnicy rządowi celowo zataili dowody, które mogły pomóc obronie. Nie ma możliwości ponownego postawienia Bundych przed sądem, a rząd prowadzi obecnie dochodzenie w sprawie własnych prawników.

Shitshow.

Na Północy Junior, biały dzieciak z Garbutt, wbrew przewidywaniom nie zaczął ładować heroiny. Zamiast tego poszedł za radą ojca, ukończył szkołę średnią i zapisał się na studia z ratownictwa medycznego na lokalnej uczelni.

Werbownicy wojskowi czasem jeszcze się z nim kontaktują.

Na Środkowym Zachodzie próbowałem znaleźć DJ-a, odważnego czarnego faceta z Ferguson w stanie Missouri, który bezskutecznie próbował

uratować należący do Araba sklep. Zniknął i nikt w Ferguson wie, gdzie jest.

Podejrzewam, że żyje własnym życiem i wychowuje syna. Wierzę w to, bo tak właśnie robią prawdziwi mężczyźni.

W firmie cała masa prominentów wyleciała z pracy za molestowanie seksualne. Roger Ailes, odsunięty od stacji Fox z odprawą w wysokości czterdziestu milionów dolarów, poślizgnął się i upadł w swojej prywatnej łazience w domu, uderzył w głowę i zmarł. Niech mu ziemia lekką będzie.

Bill O'Reilly poleciał jako następny, po nim Harvey Weinstein, a następnie cały szereg mężczyzn, którzy dzierżyli stery władzy w mediach, rozrywce i polityce. Przez cały ten czas Trump, mężczyzna oskarżony o obmacywanie licznych kobiet i nagrany, jak się tym przechwala, trzymał

się kurczowo najwyższego stołka w kraju.

Reporterzy zadawali teraz prezydentowi pytania, za które kilka miesięcy wcześniej wylecieliby z pracy.

„Czy jest pan rasistą?"

Moje pląsy w spin roomie wyprzedziły swój czas.

Wszystko stało na głowie. Zdawało się, że kraj zerwał się z cumy, a Waszyngton schował głowę w piasek. Ale może była jakaś nadzieja.

Ilekroć Waszyngtonowi udaje się dokonać „wielkich rzeczy", Amerykanie dostają po tyłku. Rynek nieruchomości się załamuje. Praca wędruje do Meksyku. To, co miało skapywać, wcale nie skapuje, tymczasem drogi się rozpadają. Podobnie jak było z NAFTA czy wojną w Iraku, konsekwencje jedynego, co udało się przeforsować Kongresowi – gigantycznych obniżek podatków wprowadzonych w ostatniej chwili – poznamy dopiero z perspektywy czasu. Może więc impas jest najlepszym lekarstwem na to, co nas niepokoi, gdy próbujemy złapać zbiorowy oddech, poskładać kawałki rozbitej przyszłości, a także wytyczyć drogę dla naszych dzieci.

Jednak łatwo się zniechęcić, kiedy człowiek patrzy w ekran, a potem wstaje, idzie do łazienki, zagląda do muszli klozetowej i uświadamia sobie, że wszystko zmierza w tym samym kierunku. Płyniemy ściekiem, a sceneria ani na chwilę się nie zmienia. Bogaci mają bogactwa. Biedni mają dzieci.

A prowadzący udaje oburzenie.

Szanowni państwo, za chwilę dalszy ciąg programu!

Przypisy

[1] Mało kto o tym wie, ale mężczyźni w telewizji malują się takimi samymi kosmetykami co kobiety. Ja się nigdy nie daję pomalować.

[2] Cyt. za: Uwspółcześniona Biblia Gdańska, 2017.

[3] Badania wśród naczelnych wykazały, że takie zachowanie jest objawem początku szaleństwa spowodowanego brakiem sensownej stymulacji sensorycznej.

Document Outline

Table of Contents